

SYGNALE
Kultura donosu
i jej przemiany

ILUZE POLEXITU
PiS nie rozumie,
po co nam Unia

NIEMIECKI SYNOD
Gdzie są granice
demokracji w Kościele

MISTRZ HORRORU
Hodujemy potwory
dla Stephena Kinga

WALENTYNKI
Średniowieczne
igraszki

Kraków 16 lutego 2020 nr 7 (3684)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

DRUGIE ŻYCIE POLAKÓW

Jak skoki nas uskrzydla



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





Holandia i Niemcy, czyli tulipany i sztuka

Program wycieczki: **Dz.1** Wyjazd z Warszawy do Niemiec. Nocleg w pobliżu granicy niemiecko-holenderskiej. **Dz.2** Muzeum Narodowe w Amsterdamie. Zakwaterowanie w hotelu w miejscowości Amersfoort. **Dz.3** Przejazd do Amsterdamu na rejs statkiem. Dom Rembrandta (dodatkowo płatne). Powrót do Amersfoort. **Dz.4** Ogrody Keukenhof. **Dz.5** Muzeum Van Gogha (dodatkowo płatne). Wyjazd z Holandii i przejazd w kierunku Berlina. **Dz.6** Wyspa Muzeów w Berlinie (dodatkowo płatne). Powrót do Polski.

Wyjazd z Warszawy 15/04 2020



Malta i Gozo - śladami Rycerzy Maltańskich

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot do Valletty. **Dz. 2** Wycieczka po Valletcie (UNESCO). Katedra św. Jana i Pałac Wielkiego Mistrza. Prom na Cospicue i zwiedzanie zabytkowego miasta Vittoriosa. **Dz. 3** Megalityczna świątynia Hagar Qim, Błękitna Grota i miasteczko rybackie Marsaxlokk. **Dz. 4** Kościół w mieście Mosta. Grota św. Pawła, Mdina, lokalne maltańskie rękodzieło i Ogrody San Anton. **Dz. 5** Dzień wolny. **Dz. 6** Wyjazd na wyspę Gozo. Cytadela w Victorii i zatoka Xlendi. **Dz. 7** Dzień wolny lub wycieczka do Valetty (dodatkowo płatna). **Dz. 8** Lot powrotny do Warszawy.

Wyloty z Warszawy 30/05 i 12/09 2020



Bałkańska Przygoda

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. Przylot do Tirany w Albanii i objazd miasta. Przejazd do Ulcin w Czarnogórze. **Dz. 2** Czarnogóra. Zwiedzanie Cerkwi Św. Trójcy w Budwie, Katedry w Kotorze, degustacja wina w Njeguš. **Dz. 3** Przejazd przez Podgoricę w Czarnogórze. Szkodra w Albanii – Archikatedra Świętego Szczepana i Prawosławna Katedra Narodzenia Pańskiego. **Dz. 4** Kosowo. Meczet Sinan Paszy w Prizrenie oraz klasztor w Gracanicy. Przyjazd do Skopje w Północnej Macedonii. **Dz. 5** Północna Macedonia. Zwiedzanie Skopje – Pomnik Aleksandra Wielkiego, meczet Mustafy Paszy, twierdza Kale. Starożytne wykopaliska w Stobi. **Dz. 6** Północna Macedonia. Wizyta w wiosce Gorno Nerezi. Kanion Matka. Tetovo. Przyjazd do Ochrydy. **Dz. 7** Zwiedzanie Ochrydy w Północnej Macedonii – kościół św. Zofii, twierdza Cara Samuela, Jezioro Ochrydzkie. Rzeką Czarny Drim w Strudze. **Dz. 8** Przejazd z Ochrydy do Tirany. Wylot do Polski.

Wyloty z Warszawy 08/05 i 11/09 2020



Najpiękniejsze Parki Narodowe USA

Program wycieczki: **Dzień 1** Wylot z Warszawy do Los Angeles. **Dz. 2** Los Angeles – Calico – Laughlin. **Dz. 3** Laughlin, Route 66 i Grand Canyon. **Dz. 4** Tuba City, Monument Valley, Horseshoe Bend, Lake Powell i Page. **Dz. 5** Page, Kanion Antylopy i Park Narodowy Bryce. **Dz. 6** Bryce Canyon – Dolina Ognia – Las Vegas by Night. **Dz. 7** Las Vegas. Zapora Hoovera i czas wolny. **Dz. 8** Death Valley i Tulare. **Dz. 9** Tulare – Park Narodowy Yosemite – Modesto. **Dz. 10** San Francisco: most Golden Gate, Chinatown, Wzgórza Twin Peaks. **Dz. 11** San Francisco. Alcatraz, Fisherman's Wharf i czas wolny. **Dz. 12** San Francisco – 17 Mile Drive – Monterey – Carmel – Santa Maria. **Dz. 13** Santa Maria – Solvang – Santa Barbara – Getty Center/Villa i Los Angeles. **Dz. 14** Wylot z Los Angeles. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

Wyloty z Warszawy 08/07, 26/08 i 16/09 2020

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP02

KS. ADAM

Boniecki: Mili sygnaliści

TO WSPANIAŁE, ŻE DO POLICYJNEGO CENTRUM Kontaktu wpływa coraz więcej raportów. W pierwszym roku działalności (2013) wpłynęło ich 13 tys., w roku 2019 – 400 tys. Dobrze też, że w ciągu ostatnich trzech lat przybyło zgłoszeń do warszawskiej Straży Miejskiej. Świetnie, że policyjna skrzynka mailowa „Stop agresji drogowej” otrzymuje z każdym rokiem więcej zgłoszeń. Rośnie więc u nas świadomość obywatelskich obowiązków, o czym w tym numerze pisze Krzysztof Story („Poradnik skarżypyty”). Ofiary przemocy domowej mogą bardziej niż dawniej liczyć na pomoc sił porządkowych, a kierowcy, wiedząc, że są obserwowani, pięć razy się zastanowią, zanim zablokują chodnik nieprzepisowo zaparkowanym samochodem. Nawet wypity alkohol nie powinien zaćmiewać świadomości ryzyka, już nie tylko nadziania się na patrol drogowki, ale i na kogoś w samochodzie obok, kto zauważywszy niebezpieczeństwo, nagra, potem zatelefonuje, gdzie trzeba, i za chwilę odpowiednie organy przystąpią do badania wydychanego powietrza pod kątem zawartości promili. System ułatwiający sygnalizowanie umożliwia objęcie opieką obszarów trudno dostępnych dla władzy chociażby szkół. Szkoła Podstawowa im. Marii Zientary-Malewskiej w Barcikowie nazwała swoją skrzynkę „skrzynką zaufania”: „Drogi uczniu, drogi rodzicu, jeśli coś cię martwi, niepokoi, tobie lub komuś dzieje się krzywda, byłeś świadkiem agresji lub przemocy, możesz to opisać i wrzucić do »skrzynki zaufania« (znajdziesz ją w budynku szkoły »czerwonej cegle« przy sali nr 7) lub skorzystać z »wirtualnej skrzynki zaufania«, lub napisać do nas na podany adres e-mail”. Dobrze, że z naszego życia zostaje po trochu wypierana obywatelska obojętność.

Ujawnienie nieprawidłowości w swoim miejscu pracy czasem wymaga odwagi, o czym pisał w jednym z poprzednich numerów „Tygodnika” Przemysław Wilczyński („Sygnaliści bez ochrony”, powszech.net/sygnalisci-ochrona). Żadna instytucja tego nie lubi.



Ci, którzy pamiętają, jak chętnie władze PRL korzystały z sygnałów różnych TW, muszą się uwolnić ze złych skojarzeń. Tu nie Chiny. Czytałem, że od 20 marca ubiegłego roku w prowincji Guangdong, czyli w Kantonie w południowo-wschodnich Chinach, obowiązują przepisy zachęcające do donoszenia władzom na „podziemne” struktury katolickie i protestanckie. Obywatele, którzy poinformują władze o „nie-

legalnych działaniach religijnych”, mogą liczyć na nagrody pieniężne od 3 do 10 tys. juanów (czyli od 400 do ponad 1,3 tys. euro). Donosy mogą być zgłaszane telefonicznie, drogą pocztową lub osobiście. Rozumiem, że przywoływanie takich przykładów jest całkiem nie na miejscu. Tu chodzi o reagowanie na nadużycia, na krzywdę, na zło.

Jednak pozostaje pewne ryzyko. Widząc z okna, jak sąsiad, z którym toczę wojnę, nieprawidłowo parkuje samochód, z ochotą spełnię obywatelski obowiązek i zadzwonię do Straży Miejskiej. Przecież nie zadzwonię, jeśli to będzie stary kumpel. Zadzwonię wtedy do niego. Łatwo też może się zjawić silna pokusa śledzenia kogoś, kogo nie znoszę, żeby go na czymś przyłapać i „dla jego dobra” zawiadomić, kogo należy. No i jeszcze... są ludzie z przerośniętą potrzebą wychowywania swoich bliźnich. Dla nich możliwość łatwego, anonimowego zawiadomienia policji o prawdziwym czy domniemanym, poważnym czy błahym przewinieniu bliźniego jest wymarzoną sposobem zmanifestowania własnej wyższości.

Chciałbym dopisać moje *post scriptum* do „Poradnika skarżypyty” Krzysztofa Storego. Drogi Skarżypyto, zanim zadzwonisz (pobiegiesz, wyślesz SMS-a, maila, list) na policję (do Straży Miejskiej, NIK-u, Urzędu Skarbowego, kuratorium), zadaj sobie pytanie, czy jesteś powodowany troską o dobro, czy chęcią poprawienia własnego samopoczucia. Jak już będziesz wiedział, że chodzi o to pierwsze – proszę bardzo, do dzieła.

© P



FOT. GRAŻYNA MAKARA



**Festiwal Conrada, „Lekcje czytania”,
magazyn literacki „Książki w Tygodniku”,
Copernicus Festival...
Na powszech.net/fundacja2019
opowiadamy o projektach, które
powstały dzięki Państwa darowiznom.**

**Już dziś wesprzyj Fundację Tygodnika Powszechnego.
Przekaż nam 1% w rozliczeniu rocznym, wpisując numer**

KRS 0000 125 605

22 Jak nas uskrzydla**DARIUSZ KOSIŃSKI**

Skoki są w Polsce ruchomym świętem i narodową sagą. Przedstawiają nam nas samych w sposób, na jaki bezpośrednio byśmy się nie zdobyli. We wzniostym i radosnym dramacie.

**32 Zamiast piramidy****ARTUR SPORNIAK**

Niemiecki Kościół zapoczątkował eksperymentalną Drogę Synodalną. Biskupi razem ze świeckimi, rozmawiając „jak równy z równym”, szukają odpowiedzi na kryzys wywołany przypadkami pedofilii.

**72 Joker z Korei****ANITA PIOTROWSKA**

Nieczęsto się zdarza, by to, co namaszczone Złotą Palmą, triumfowało również na Oscarach. Tak się stało w tym roku z „Parasite” Bonga Joon-ho.

Noah Baumbach za „Historię małżeńską” musiał zadowolić się tylko jedną statuetką – za drugoplanową rolę Laury Dern.

**62 Król jest jeden****MARCIN NAPIÓRKOWSKI**

Stephen King jako niszowy autor nie miałby sensu. Bo potwór spod naszego łóżka, by się wyżywić, potrzebuje milionów przerażonych głosów zjednoczonych w krzyku.

**78 Słodkie obłężenie****MAGDALENA ŁANUSZKA**

Średniowieczne Walentynki?

W rycerskich romansach miłość może i przedstawia się jako szlachetna i pochłaniająca – ale na pewno nie jako „czysta”.

**50 Rewolucja rodzi się w górach****AGNIESZKA ROSTKOWSKA**

W Afganistanie nie ma ani jednego rodzimego instruktora wspinaczki wysokogórskiej. To niedługo się zmieni – i to za sprawą kobiet, które w ośnieżonych szczytach dostrzegły szansę na dokonanie społecznego przewrotu.



6 Najpierw zemsta, potem uśmiechy

ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 Wiadomości / Komentarze**20-21 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA■ ■ **KRAJ****22 Jak nas uskrzydla**

DARIUSZ KOSIŃSKI

26 Iluzje polexitu OLAF OSICA:*Brakuje nam pomysłu i woli do potraktowania integracji europejskiej jako przedłużenia własnych celów politycznych***29 Odszkodowanie od losu**ROZMOWA Z DOROTĄ
DANIELEWICZ, AUTORKĄ
KSIĄŻKI „DROGA JANA”: *Życie z Janem, jakkolwiek byłoby ono piękne, jest pełne ograniczeń*■ ■ **WIARA****32 Zamiast piramidy**

ARTUR SPORNIĄK

36 Maria strajkujeZUZANNA FLISOWSKA: *Katolicyzmi niemieckie mówią, że rozdźwięk między Ewangelią a kościelną rzeczywistością stał się za duży***38 Trucizna i antidotum**PIOTR SIKORA: *Jak uniknąć popadnięcia w fanatyzm?*■ ■ **ŚWIAT****42 Księgi Samera**MARCIN ŻYŁA Z IRACKIEGO
KURDYSTANU: *Mniisi z Alkusu chronili swoje manuskrypty przed wojną i ogniem. Teraz opat chce je uratować raz na zawsze*

TEMAT TYGODNIKA



MAGDA WOLNA DLA „TP”

12 Poradnik skarżypyty

KRZYSZTOF STORY

W „donoszeniu” w ogóle nie chodzi o to, żeby komuś zrobić na złość. Chodzi o wspólne dobro. Żle zaparkowane auto denerwuje wszystkich.

Palone śmieci trują każdego, włącznie z właścicielem. A machanie ręką niczego nie zmienia.

15 Zatkany gwizdek sygnalisty

ROZMOWA Z PROF. BEATĄ ŁACIAK, SOCJOLOGKĄ:

W Polsce człowiek informujący o nieprawidłowościach jest nadal uważany za ptaka, który kala własne gniazdo.

■ **FELIETONY** ■**61** WOJCIECH BONOWICZ **76** JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZOkładka: KAMIL STOCH I DAWID KUBACKI
Zdjęcie: Stanko Gruden/AGENCE ZOOM/GETTY IMAGES
Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI**46 Romowie są w domu**PATRYCJA BUKALSKA: *W Słowacji kampania wyborcza toczy się wokół pytania, czy krajowi grozi brunatna fala***48 Pokój potrzebny od zaraz**ROZMOWA Z MERONEM
RAPOPORTEM: *Plan Trumpa oddala szanse na porozumienie na Bliskim Wschodzie***50 Rewolucja rodzi się w górach**

AGNIESZKA ROSTKOWSKA

■ ■ **HISTORIA****54 Kaszubski szok** JANSZKUDLIŃSKI: *Sto lat temu Pomorze Gdańskie wróciło do Rzeczypospolitej*■ ■ **NAUKA****58 Inżynierowie Dedala**KAMIL KOPIJ: *W greckiej mitologii spotkać możemy nie tylko bogów i herosów, ale również roboty*■ ■ **KULTURA****62 Król jest jeden**

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

66 Okrutna czułość PIOTRKOSIĘWSKI: *Piękno prac Miriam Cahn budzi największy niepokój***70 Co o nas mówią wiktorianie**

JAKUB MAJMUREK o nieustannych powrotach postaci sprzed stu lat

72 Joker z Korei

ANITA PIOTROWSKA

76 Sen Cyriaka LEKTOR o książce

„Maskarada geniuszy” Fritza von Herzmanovskyy’ego-Orlando

■ ■ **ZMYŚŁY****78 Słodkie obłędzenie**

MAGDALENA ŁANUSZKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Woś się jeży**Od kilku lat prawica wchodzi w przestrzeń zajmowaną kiedyś przez lewicę – pisze w autorskim cyklu **RAFAŁ WOŚ** i zauważa, że chyba zaczyna jej się tam podobać. tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy➔ **Styczeń w nauce [Podkast Powszechny]**1 stycznia 2020 roku w „Nature” ogłoszony został algorytm, który diagnozuje raka piersi trafniej niż lekarze. Potem było już tylko lepiej – w nowej audycji **ŁUKASZ LAMŻA** przygląda się naukowym newsom minionego miesiąca i zastanawia się, co właściwie z nich wynika. powszech.net/styczen-nauka**Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA****Autorski serwis specjalny**[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



NAJPIERW ZEMSTA, POTEM UŚMIECHY

Prezydent podpisał ustawę dyscyplinującą sędziów, bo chroni ona jego samego. Zakazuje bowiem badania podpisanych przez niego nominacji sędziowskich, które są kulawe. Ich podważenie byłoby dla Andrzeja Dudy efektowną katastrofą.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

NIE BYŁO CIENIA SZANS NA TO, BY PREzydent odmówił podpisania ustawy zwanej kagańcówą. Sytuacja była zupełnie nieporównywalna do tej z 2017 r., gdy Duda zawetował ustawy sądowe PiS – to była pierwsza próba wzięcia sądów pod but. Od tego czasu prezydent zdążył wrócić na łono partii i pod rękę z wybraną w podejrzanym okolicznościach Krajową Radą Sądownictwa zaczął powoływać sędziów. Właśnie ten proces nominacji był kwestionowany metodami prawnymi przez sędziów kry-

tycznych wobec działań PiS w wymiarze sprawiedliwości. Zażądali m.in. ujawnienia list poparcia pod kandydaturami członków KRS wybranych następnie przez posłów PiS – symbolem tej walki stał się olsztyński sędzia Paweł Juszczyszyn.

Ustawa dyscyplinująca powstała przeciwko Juszczyszynowi i jemu podobnym – PiS postanowił wprowadzić kary za kwestionowanie powołań sędziów przez obecną KRS pod rękę z Dudą. Z tego też powodu prezydent musiał podpisać tę ustawę. Gdyby się

*Prezydent
Andrzej Duda,
Warszawa,
sierpień 2019 r.*

okazało, że z podpisami członków KRS jest coś nie tak, to sędziowskie nominacje Dudy stałyby się nic niewarte. Teraz obóz władzy liczy, że zagrożeni karami sędziowie przestaną się interesować KRS.

Duda ma jednak bezpiecznik, gdyby zakaz był nieskuteczny. Otóż w wywiadzie dla tygodnika „Wprost” zaczął przekonywać, że nawet jeśli z listami poparcia do KRS jest coś nie tak, nie będzie miało to znaczenia dla statusu powołanych dotąd sędziów. „Nie będzie miało, ponieważ otrzymali oni nominację sędziowską od prezydenta Rzeczypospolitej. Kropka” – oznajmił. To brawurowa wykładnia konstytucji, w której prezydent samym swym podpisem uzdrawia koślawe instytucje czy felerne nominacje. Inna rzecz, że tymi słowami Duda pośrednio przyznał, że z podpisami rzeczywiście jest coś nie tak.

Ale są także inne powody, dla których podpis był oczywistością. Prezydent autentycznie zionie nienawiścią do Sądu Najwyższego i chciał się odegrać za swą porażkę z 2018 r., gdy usiłował pozbawić stanowiska I prezesa Sądu Najwyższego prof. Małgorzatę Gersdorf. Wspierany przez PiS Duda próbował wówczas skrócić jej sześćioletnią konstytucyjną kadencję zmieniając przepisy emerytalne. Potem musiał się wycofać pod presją Unii Europejskiej, po drodze się kompromitując – na zastępującego Gersdorf prezesa wskazał sędziego Józefa Iwulskiego, który w stanie wojennym skazywał opozycjonistów. Ta porażka uwiera Dudę do dziś, dlatego gdy w ostatnich tygodniach wypowiadał się na temat sądów, sędziów i przepisów dyscyplinujących, puszczały mu nerwy.

Ustawa dyscyplinująca to świetne narzędzie rewanzu, bo poza karami dla niepokornych sędziów zmienia mechanizm wyboru przez prezydenta nowego I prezesa SN w miejsce odchodzącej z końcem kwietnia Gersdorf. Spodziewając się bojkotu wyborów ze strony starych sędziów Sądu Najwyższego, PiS przygotował taką procedurę, by wskazani przez tę partię sędziowie mogli podsunąć prezydentowi własnego kandydata. Oczywiście będzie to kandydat lojalny wobec Dudy i PiS. Choćby prof. Małgorzata Manowska, była zastępczyni Zbigniewa Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Czy taka brutalna rozgrywka nie zaszkodzi Dudzie w wyborach prezydenckich? Obóz władzy liczy, że gdy uda mu się wybrać swego I prezesa SN, temperatura konfliktu spadnie. A Duda będzie miał jeszcze kilka tygodni kampanii, by zacząć się uśmiechać i mówić o porozumieniu. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Skandal przy Kanoniczej w Krakowie



JACEK PRUSAK SJ

PANI MONIKA OPISUJE, JAK W WIEKU 15 lat stała się ofiarą bp. Jana Szkodonia, jak była przez niego wykorzystywana seksualnie aż do pójścia na studia i manipulowana także po ich zakończeniu, i jakie szkody z tego powodu poniosła w życiu. Reportaż Marcina Wójcika „Zły dotyk biskupa z Krakowa” opublikowany w „Gazecie Wyborczej” jest porażający.

Sprawa najpierw trafiła do prokuratury, która jednak umorzyła postępowanie z powodu przedawnienia. Ale w uzasadnieniu zaznaczono, że „zgromadzony dotychczas materiał dowodowy wskazuje na wysokie prawdopodobieństwo popełnienia czynu objętego dochodzeniem”. Pani Monika wniosła sprawę też do nuncjatury i w tej chwili toczy się postępowanie wyjaśniające prowadzone przez watykańską Kongregację Nauki Wiary.

W reakcji na zarzuty o wielokrotne i wieloletnie molestowanie seksualne bp Szkoń w oświadczeniu na stronie internetowej Archidiecezji Krakow-

skiej napisał: „Stanowczo oświadczam, że przedstawione mi oskarżenia są nieprawdą oraz że godzą w moje dobre imię, którego zamierzam bronić”. Choć nikt nie był świadkiem tego, co działo się w biskupim apartamencie, rodzina pani Moniki jeszcze do niedawna uważająca biskupa za „przyjaciela domu” potwierdza, że łączyła go z ich córką „wyjątkowa” więź. Bp Szkoń zapewnia, że zależy mu na „szybkim poznaniu pełnej prawdy”, ale uważa, że padł ofiarą zemsty Moniki i jej ojca, którzy obwiniają go o rozpad jej małżeństwa.

Przyjęta przez niego linia obrony ma jednak słabe punkty. Z drugiej strony ani w słowach i postawie domniemanej ofiary, ani jej najbliższego otoczenia nie widać wrogości do Kościoła czy szukania osobistego rewanzu, poza domaganiem się sprawiedliwości. Na razie jedno jest pewne: mylił się abp Marek Jędraszewski oceniając całą sprawę jako „absolutnie niepewną”. Dziś, gdy znamy uzasadnienie prokuratury, widać, jak błędna jest to ocena. ©

O monopolach swojskich i obcych

POLSKA MINISTER ROZWOJU Jadwiga Emilewicz wraz z kolegami z Niemiec, Francji i Włoch apeluje do Komisji Europejskiej o lepszą ochronę unijnych firm przed konkurencją z Chin i USA. W liście otwartym, który ministrowie wystosowali w ubiegłym tygodniu do Margrethe Vestager, unijnej komisarz ds. konkurencji, politycy przekonują również, że dalsze ograniczanie fuzji i przejęć europejskim korporacjom pozbawia je szans na skuteczną rywalizację z gigantami spoza Unii.

Europejska obawa przed megakorporacjami nie jest irracjonalna. Firmy obracające setkami miliardów dolarów w skali roku i zatrudniające dziesiątki tysięcy ludzi w wielu krajach są nie tylko „za duże, by upaść” – co zwykle oznacza, że muszą je ratować podatnicy. Na rynku zdominowanym przez gigantów relacja sprzedający–kupujący niebezpiecznie upodabnia się do relacji urząd–petent. Karleje też konkurencja. Przykłady? Klient niezadowolony z telefonów z systemem operacyjnym Android od Google’a (ok. 75 proc.

światowego rynku smartfonów) ma dziś do wyboru produkty Apple (23 proc.) lub poszukiwanie aparatów wyposażonych w tak egzotyczne platformy operacyjne jak KaiOS czy mobilną wersję Windows. Złożenie reklamacji w megakorporacji od pewnego etapu również zamienia się w pisanie na Berdyczów. Do tego obowiązko-wo po angielsku.

Dlatego europejska polityka gospodarcza od lat próbuje nie dopuścić do narodzin podobnych mastodontów na wspólnym rynku. W 2019 r. Bruksela nie zgodziła się np. na fuzję francuskiego Alstomu i części niemieckiego Siemensu w obawie, że nowy gracz zduś konkurencję na unijnym rynku taboru kolejowego. Sęk w tym, że poza Europą tutejsi giganci często okazują się najwyżej średniakami. List kwartetu polityków reprezentujących największe gospodarki Unii można zatem czytać jako próbę uzmysłowienia Brukseli, że europejscy konsumenci są już skazani na oligopol. Mogą tylko wybrać – swojskie lub obce.

© MAREK RABIJ

Emerytura za więzi

AKT ŚLUBU nie wystarcza do przejęcia emerytury po zmarłym małżonku – orzekł właśnie Sąd Najwyższy. ZUS może więc odmówić takiego świadczenia osobom pozostającym np. w nieformalnej separacji.

Wyrok zapadł w sprawie o nabycie prawa do świadczenia, którą jedna z wdów wytoczyła ZUS. Zakład odmówił, gdyż małżonkowie od dawna nie mieszkali ze sobą. Sprawa trafiła do sądu, który w najwyższej instancji orzekł, że brak rozvodu istotnie nie jest dostateczną przesłanką za umożliwieniem żonie przejęcia emerytury męża, gdy w chwili jego śmierci „nie istniały między małżonkami ani wspólne pożycie, ani więzi gospodarcze, ani wreszcie więzi emocjonalne czy duchowe”.

Prawo do renty rodzinnej w wysokości 85 proc. świadczenia wypłacanego zmarłemu małżonkowi przysługuje osobie, która w chwili jego śmierci przekroczyła wiek emerytalny lub była niezdolna do pracy. W Polsce korzystają z niej głównie kobiety, którym z powodu niższych zarobków i stażu pracy skróconego przez obowiązki macierzyńskie bardziej opłaca się przejąć świadczenie po zmarłym mężu, niż pozostać przy swojej emeryturze.

© P. MR

O jeden pestycyd mniej



MARIO DE MOYA / ADOBE STOCK

6 LUTEGO FIRMA CORTEVA ogłosiła, że do końca roku wygasi produkcję chlorpyrifosu. To skuteczny, powszechnie stosowany i kontrowersyjny środek ochrony roślin. Badania pokazują, że w organizmie matki upośledza rozwój mózgu płodu, może powodować autyzm czy obniżone IQ.

Żywność z chlorpyrifosem często trafia na nasze stoły. W ciągu ostatnich trzech lat Główny Inspektorat Sanitarny wykrył 37 przekroczeń normy (to ponad 30 proc. wszystkich wykonanych analiz ryzyka). Stężenie pestycydu było 70 (sałata lodowa) czy nawet 100 (kapusta) razy wyższe niż dopuszczalny poziom. Chlorpyrifos w polskich produktach znajdowały też służby Szwecji, Czech i Danii.

Decyzja firmy to efekt zmian w prawie unijnym i amerykańskim. Zezwolenie na stosowanie chlorpyrifosu w UE pochodziło z 2005 r. Było kilkakrotnie przedłużane, a jego ponowna ocena odkładana. W grudniu 2019 r. substancja została ostatecznie zakazana.

Polscy rolnicy będą szukać alternatywy. To także zadanie dla służb, które będą musiały poradzić sobie z próbami przemytu. Już teraz Europol szacuje, że w Polsce nawet 25 procent pestycydów może pochodzić z nielegalnych źródeł.

© P. KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

POCZĄTEK KAMPANII

„Prezydent nie jest aż tak popularny, jak gminna wieść niesie. Zależy, kto robi sondaże” – powiedziała w wywiadzie dla „Wprost” Małgorzata Kidawa-Błońska, tracąca według tychże sondaży ok. 15 proc. do Andrzeja Dudy. Tracący ok. 35 proc. Szymon Hołownia zaczął kampanię od wycofania spotu, w którym kadr z drzewem i papierowym samolocikiem skojarzył się niektórym odbiorcom z katastrofą smoleńską.

Tracący zaś 40 proc. Krzysztof Bosak – od ślubu (żona – jak poinformował – jest ekspertem Ordo Iuris, „angażuje się na rzecz realizacji konserwatywnych idei”, a jej pasją sportową jest taniec towarzyski).

KONIEC KAMPANII

W niedzielę wyborczą, podobnie jak w dniu ostatnich wyborów samorządowych, w kościołach czytany będzie Psalm 33 z passusem: „Pan miłuje prawo i sprawiedliwość”.

KULISY KAMPANII

Na partyjnych zaplecach też spory ruch: PO wybiera nowy zarząd, w którym nie ma już Grzegorza Schetyny, w PiS zaś przechodzi na emeryturę zaufana sekretarka prezesa Kaczyńskiego Barbara Skrzypek (a osoby związane z partią mówią dziennikarzom w całkiem poważnym tonie, że „na Nowogrodzkiej kończy się pewna epoka”).

LICZBA TYGODNIA

4385

– tylu obywateli Polski nosiło w ubiegłym roku nazwisko Nguyen. Nad Wisłą mieszka ok. 50 tys. osób pochodzenia wietnamskiego – więcej osiedliło się jedynie w Niemczech i we Francji.



MICHAEL REYNOLDS / EPA / PAP

USA: początek wyborczego chaosu

UNIEWINNIE NIE PREZYDENTA TRUMPA przez Senat, które zakończyło procedurę impeachmentu, chyba nikogo w USA nie zaskoczyło. Kontrolowany przez Republikanów Senat odrzucił stawiane prezydentowi zarzuty nadużycia władzy i utrudniania śledztwa Kongresu. Pierwszy oddalono stosunkiem głosów 52 do 48, a drugi 53 do 47. Za odwołaniem Trumpa z urzędu zagłosował tylko jeden Republikanin, Mitt Romney (Trump nazwał go „tajnym agentem” Demokratów). Już po głosowaniach prezydent odwołał Gordona Sondlanda, ambasadora przy Unii Europejskiej, i Alexandra Vindmana, eksperta w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Obaj złożyli kłopotliwie dla Trumpa zeznania przed komisją Izby Reprezentantów. Emocji dostarczyła też spikerka tej izby Nancy Pelosi. W miniony wtorek po dorocznym orędziu Trumpa o stanie państwa podarła tekst jego przemowy. Powód? Prezydent nie chciał jej podać ręki.

Ameryka śledziła też prawyборы Demokratów w Iowa. Z powodu problemów technicznych pełne wyniki ogłoszono dopiero po trzech dniach; minimalną liczbą głosów zwyciężył Pete Buttigieg. Tuż za nim byli Bernie Sanders, Elizabeth Warren i Joe Biden, dotychczas faworyt w wyścigu o nominację. Starcie pokazało, że wśród Demokratów brakuje lidera. Niewiadomą jest wciąż Michael Bloomberg, któremu rośnie poparcie w sondażach, choć nie brał udziału w debatach i nie startował w Iowa. Prezydenturę Trumpa ocenia pozytywnie 49 proc. Amerykanów. Bez mocnego kandydata, który przyciągnie wyborców w tzw. stanach wahających się, trudno będzie pokonać Trumpa.

©

MARTA ZDZIEBORSKA z San Diego

Ambicje i motywacje Emmanuela Macrona

WOJCIECH PIĘCIAK



HISTORIA SIĘ NIE POWTARZA. BYWA JEDNAK, że powtarzają się mechanizmy i motywacje.

75 lat temu, 5 lutego 1945 r., Charles de Gaulle – niezaproszony do Jalt – zażądał dla Francji statusu „zwycięskiego mocarstwa” (zastrzeżony dla USA, Wlk. Brytanii i Sowietów, dawał on wtedy przywilej kształtowania świata). Generał, który od niedawna był premierem (nieco samozwańczym, bo ciągłość państwa uosabiał obalony rząd Vichy), zagrał *va banque*. Jego aktywa były minimalne: przez cztery lata Francja była sojusznikiem Rzeszy, a jej wkład w pokonanie Hitlera był znikomy i nieporównywalny z wkładem Polski. Jednak de Gaulle wygrał (czemu, to osobny temat), a jego motywacje – w tym chęć ograniczenia wpływów USA i przekonanie, że przywódcza rola po prostu się Francji należy – miały charakter założycielski dla powojennej francuskiej polityki.

Dziś timing też nie jest przypadkowy. Zraz po tym, gdy Wielka Brytania opuszcza Unię, prezydent Francji zaczyna przemyślaną grę. Jej elementami są starannie aranżowane wystąpienia – jak w paryskiej École

de Guerre (Akademii Wojennej) w ostatni piątek; kolejne będzie w ten weekend, na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium – i równie starannie kreowane „nowe otwarcia”. Zwłaszcza to podczas wizyty w Polsce – najważniejszym kraju Europy Środkowej, który ostatnio stał się, mówiąc językiem analityki, proamerykańskim hubem polityczno-militarnym w regionie, i który nieufnie odnosi się do francuskiego flirtu z Putinem. Cel jest jasny: Macron wzywa Unię do budowania wspólnoty obronnej pod przywództwem Francji. Inaczej niż de Gaulle, nie musi grać *va banque*: kuś argumentem, że po brexicie Francja to jedyny kraj Unii mający broń atomową (w wielu komentarzach pojawia się więc już wizja francuskiego parasola atomowego chroniącego Unię). Natomiast, podobnie jak u de Gaulle’a, dużą rolę w grze Macrona odgrywa zapewne pogląd, że nie byłoby nic złego, gdyby USA ograniczyły swą obecność w Europie.

Zabiegi te warto obserwować. Podobnie jak reakcje w Unii, zwłaszcza w Niemczech. Koniec końców to one mogą być ważniejsze niż ambicje Macrona. ©©

#MeToo: najtrudniejszy skok łyżwiarki

EWELINA BURDA



POWINNAM BYĆ SZCZĘŚLIWA, JEDNAK JUŻ nie potrafię. Jestem sparaliżowana strachem. Miałam 15 lat. Byłam bezbronna, a on to wykorzystał. Dziś strach nie odpuszcza – napisała Sarah Abitbol, francuska łyżwiarka, w autobiografii „Zbyt długie milczenie” wydanej w ubiegłym tygodniu. Oskarżyła w niej swojego wieloletniego trenera Gilles’a Beyera o wielokrotne gwałty i wykorzystywanie seksualne. Sprawą zajęła się prokuratura. Trener wydał oświadczenie, w którym przyznał się do „niewłaściwych relacji z byłą podopieczną” i zapewnił, że jest do dyspozycji organów ścigania, jednak zaprzeczył oskarżeniom o gwałt.

Po wyznaniu 44-letniej dziś Abitbol milczenie przerwały trzy francuskie łyżwiarki: oprócz Beyera oskarżeni zostali inni trenerzy zrzeszeni we Francuskiej Federacji

Sportów Łyżwiarskich (FFSG): Jean-Roland Racle i Michel Lotz. Sprawą zajmują się policja i prokuratura, angażuje się w nią także francuska minister sportu. Prezes FFSG Didier Gailhaguet podał się do dymisji – zapewnił, że dowiedział się o sprawie dopiero z książki.

Abitbol to jedna z największych gwiazd francuskiego łyżwiarstwa (rywalizowała w kategorii par sportowych ze Stéphane’em Bernadisem), jest wielokrotną medalistką mistrzostw Francji, Europy i świata.

Ciało, które dla Abitbol było narzędziem pracy, które od dziecka trenowała do wykonywania piruetów i skoków na granicy ludzkich możliwości, zostało jej brutalnie zabrane. Abitbol publicznym wyznaniem chce je odzyskać nie tylko dla siebie, ale też dla wielu innych kobiet i sportswomenek. To odwaga prawdziwej mistrzyni. ©©

Chiny i świat walczą z koronawirusem

908 0508 zabił dotychczas w Chinach wirus 2019-nCoV, zakażonych zostało 40 171, w ostatnią niedzielę w prowincji Hubei ze szpitali wypisano 632 wyleczonych – podały 10 lutego władze. Dane z weekendu według eksperta agencji AP „wskazują na osłabienie dynamiki rozwoju epidemii”. Światowa Organizacja Zdrowia szacuje, że śmiertelność sięga 2 proc. Liczba ofiar (po jednej na Filipinach i w Hongkongu, reszta w Chinach) jest już większa niż podczas epidemii SARS w latach 2002-03. Zakażenia stwierdzono w 30 krajach, m.in. w Niemczech, Finlandii, USA, Włoszech i Francji, kwarantanną objęto w Jokohamie statek Diamond Princess (130 zakażonych).

WIRUS może przenosić się nie tylko drogą kropelkową, ale także przez kał – stwierdzili chińscy badacze w medycznym piśmie „JAMA”. Nie wiadomo jednak, jak długo wirus jest w stanie przetrwać poza organizmem człowieka. Ryzyko infekcji przez kał w największym stopniu dotyczy szpitali.

WŁADZE HUBEI tworzą ośrodki kwarantanny m.in. na stadionach. Opieki wymagają setki osób z objawami zakażenia koczujących pod szpitalami. Brakuje testów do diagnozowania 2019-nCoV. Władze zgodziły się na prowadzenie uproszczonych badań przesiewowych za pomocą tomografii komputerowej (pozwala wykryć zmiany w płucach).

TEGO, CO SIĘ DZIEJE NA ŚWIECIE, nie można nazwać epidemią – uspokaja w „DGP” minister zdrowia Łukasz Szumowski. Według niego większe zagrożenie stanowi w Polsce grypa, na którą rocznie umiera 70–80 osób. Koronawirusa nie wykryto u żadnego z Polaków, którzy wrócili z Chin. Ponad tysiąc osób objęto nadzorem epidemiologicznym.

©© MACIEJ MÜLLER



LI AN / XINHUA / EAST NEWS

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LIST

„W kwestii uchodźców stanowisko Konferencji Episkopatu Polski jest identyczne ze stanowiskiem Stolicy Apostolskiej” – powiedział „Tygodnikowi” ks. Paweł Rytel-Andrianik, rzecznik prasowy KEP. Zapewnił też, że list z Watykanu z apelem, by polski Kościół włączył się w organizowanie korytarzy humanitarnych i przyjął uchodźców z Lesbos, został rozesłany do wszystkich biskupów w kraju. Więcej na: powszech.net/list

POSTĘP

Kościół katolicki i przedchalcadoński Kościoły wschodnie (syryjski, ormiański, koptyjski i etiopski) podobnie rozumieją naturę wszystkich siedmiu



PAPIESKA KOMISJA DS. JEDNOŚCI CHRZESCJAN

sakramentów – ogłosiła Międzynarodowa Komisja Mieszana ds. Dialogu Teologicznego między Kościołem Katolickim i Wschodnimi Kościołami Prawosławnymi, która od 26 stycznia do 1 lutego obradowała w Libanie. Różnice występują tylko w dyscyplinie sprawowania sakramentów (np. kto i w jakich okolicznościach może dany sakrament przyjąć).

POMOC

Wspólnota Sant'Egidio udostępniła aplikację na telefon – przewodnik-gdzie.pl – dzięki której każdy może pomóc osobom bezdomnym. To wirtualna wersja przewodnika po Warszawie „Gdzie zjeść, spać, umyć się” przygotowanego dla osób doświadczających bezdomności i wszystkich, którzy chcą je wspierać. Pełne uruchomienie aplikacji nastąpi wiosną.

Prefekt Domu Papieskiego popadł w nietaskę



EDWARD AUGUSTYN

ABP GEORG GÄNSWEIN, SEKRETARZ PAPIEŻA Emeryta, zniknął.

Media sugerowały, że został zwolniony z funkcji prefekta Domu Papieskiego. Powodem miało być zamieszanie wokół książki o celibacie, której współautorstwo przypisywano Benedyktowi XVI (dopóki ten nie nakazał wycofania swego nazwiska z okładki). Rzecznik prasowy Watykanu zaprzeczył pogłoskom, tłumacząc nieobecność prefekta na audiencjach – za których organizację odpowiada – opieką nad papieżem emerytem. Dopóki Benedykt żyje, arcybiskup zapewne pozostanie w Watykanie.

Najwyraźniej eksperyment z pozostawieniem byłego sekretarza na ważnym stanowisku w kurii dobiegł końca. Gänswein miał być łącznikiem między Franciszkiem i Benedyktem, tymczasem co rusz oskarżano go o manipulowanie przepływem informacji w jedną, drugą czy trzecią stronę (poza mury Watykanu).

Problemem jest też rola, jaką dwóch poprzednich papieży przyznało swym sekretarzom. Benedykt XVI zrobił Gänsweina arcybiskupem i prefektem Domu na krótko przed abdykacją, gruntując jego pozycję w kurii. Słabnący Jan Paweł II wyświęcił osobistego sekretarza na biskupa w 1998 r., tworząc dla niego specjalne stanowisko „dodatkowego prefekta Domu” i dając początek triumwiratowi Wojtyła-Sodano-Dziwisz.

Zdarzało się i wcześniej, że sekretarze (np. Luis Capovilla u Jana XIII czy John Magee u Pawła VI) zostawali biskupami. Ale dopiero, gdy odchodzili z Watykanu, kierowani do pracy duszpasterskiej przez kolejnego papieża. Udzielanie sakry biskupiej własnemu sekretarzowi traci nepotyzmem. Biskupstwo nie jest tu początkiem nowej, bardziej odpowiedzialnej pracy duszpasterskiej czy nauczycielskiej, tylko szczeblem w karierze i zabezpieczeniem na niepewną przyszłość. Do pracy w „apartamencie” naprawdę nie są potrzebne święcenia, zwłaszcza biskupie. ©P

Franciszek o Janie Pawle II w najnowszej książce

„**BARDZO GO POLUBIŁEM**” – opowiada papież o Janie Pawle II w najnowszej książce „Święty Jan Paweł Wielki”. Pretekstem przeprowadzenia rozmów przez włoskiego księdza Luigię Marię Epicoco jest stulecie urodzin papieża z Polski. Ale jak zdradza współautor, chodziło o to, aby zaprzeczyć tezie, że Franciszek zdradza Wojtyłową wizję Kościoła. Stąd pytania o celibat („idąc śladem Pawła VI, a następnie Jana Pawła II i Benedykta XVI, czuję się silnie zobowiązany do myślenia o celibacie jako zasadniczej łasce charakteryzującej łącznie Kościół katolicki”) czy o teologię

wyzwolenia surowo traktowaną przez Wojtyłę („posługiwała się ona analizą marksistowską i groziło jej pójście drogą ideologiczną”).

Największe zainteresowanie wzbudził fragment, w którym Franciszek mówi o teorii gender jako o groźnym współczesnym złu, zaznaczając, że nie chodzi mu o homoseksualistów („Katechizm zaprasza nas do towarzyszenia i opieki duszpasterskiej nad tymi braćmi i siostrami”). Zdaniem papieża gender niweluje chcianą przez Boga różnorodność. Mówiąc o różnorodności, papież ma na myśli zakładaną przez teologię kobieco-męską dualność natury ludzkiej (tymczasem nauki wskazują na większą jej różnorodność), co tylko pogłębia zamieszanie wokół pojęcia płci kulturowej. ©P ARTUR SPORNIK



YOUTUBE

JEŹDZI NA DESCE, wyciska sztangi, prowadzi vlog i właśnie zadebiutowała profesjonalnym singlem. Siostra Janina ze Zgromadzenia Służebniczek NMP NP na co dzień pracuje z młodzieżą, jest katechetką i rekolekcjonistką. Jej pielgrzymkowe „Despacito” było hitem Wrocławskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę (2,5 mln wyświetleń na YouTube). Utwór „Zajmij się mną” zapowiada planowaną na kwiecień płytę – element, jak mówi siostra Janina, posynodalnego projektu muzyki chrześcijańskiej. Za produkcję odpowiada Tomasz Konfederak, współtwórca sukcesów Kasi Popowskiej i Sarsy. Współautorem muzyki jest Josh Harris, nagrywający m.in. z Madonną, The Killers i LCD Soundsystem. ©P MOC



NICK UT / AP / EAST NEWS

Kirk Douglas: odejście ikony

LATO '66, kino Żeglarz w Jastarni. Jedena-stolatek, oglądam „Ostatni zachód słońca” Roberta Aldricha, western z Rockiem Hudsonem i Kirkiem Douglasem. Douglas gra (nie pierwszy raz) postać bynajmniej nie kryształową, ale wyrazistą – ta męska twarz z intrygującym dołeczkiem w brodzie!

Nazywał się Issur Demski, pochodził z rodziny ubogich żydowskich imigrantów z Rosji. Był wielką gwiazdą, choć Oscara dostał dopiero za całokształt twórczości. Założył niezależną wytwórnię (tam zaczęła się kariera Stanleya Kubricka), a zatrudniając wyklętego za prokomunistyczne sympatie Daltona Trumbo jako scenarzystę „Spartakusa”, doprowadził do likwidacji „czarnej listy Hollywood”. Był hojnym filantropem i człowiekiem legendą, jednym z ostatnich świadków Złotego Wieku kina. Zmarł mając 103 lata. ©© TOMASZ FIAŁKOWSKI

Podwodne oklaski

DLA SSAKÓW komunikacja pod wodą nie jest łatwym zadaniem. Ewolucja wyposażyla wiele gatunków – także foki – w umiejętności emitowania rozmaitych dźwięków, ale one jako jedyne wzięły także sprawy w swoje łapy. Zespół Davida Hocklinga nagrał film, na którym foka komunikuje się pod wodą za pomocą klaskania. Sygnał ten służy głównie do zwracania uwagi innych osobników. Jest to prawdopodobnie swoisty wynalazek kulturowy. Foki stają się tym samym drugim – obok człowieka – znanym nauce gatunkiem, który klaszcze w naturalnym środowisku.



ADOBE STOCK

© P Ł K

KULTURA W SKRÓCIE

ZERWANY KONTRAKT

Zmarł George Steiner, krytyk i historyk literatury, erudyta, jeden z najwybitniejszych intelektualistów naszych czasów. Pisał na temat związków pomiędzy językiem, literaturą i społeczeństwem, a także o Holokauście. Miał 90 lat.

DROŻSZY NIŻ BUGATTI

Malarka epoki art déco Tamara Łempicka znów bije rekordy na aukcjach. Za jej „Portret Marjorie Ferry” zapłacono ponad 82 mln zł – to najdrożej sprzedany polski obraz w historii (jeszcze w listopadzie była to „Czerwona sukienka” wyceniona na ponad 50 mln zł). Tymczasem na Broadwayu powstaje inspirowany życiem łempickiej musical, a do 24 lutego w Madrycie trwa poświęcona jej twórczości wystawa.

IKONA ŚLĄSKA

Kościół pw. Ducha Świętego w Tychach został wpisany do rejestru zabytków województwa śląskiego. To jedyne miejsce w regionie i jedno z niewielu w Polsce, gdzie znajdują się polichromie Jerzego Nowosielskiego. Zamówił je w 1982 r. ówczesny proboszcz tej parafii ks. prałat Franciszek Resiak. Głównym projektantem był architekt Stanisław Niemczyk.



MAGDALENA ŁANUSZKA

(tekst na str. 78) będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 12 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcaściach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie

Olimpijskie triki



MONIKA OCHĘDOWSKA

STRZELANIE DO GOŁĘBI BYŁO JEDNĄ Z MEDALOWYCH dyscyplin drugiej letniej olimpiady w Paryżu. Jej miłośnikiem był ponoć sam Ernest Hemingway. Cztery lata później w St. Louis Amerykanie nie mieli sobie równych w dryfowaniu na odległość. W tym samym roku zaczęto ćwiczenia z maczugami, dziś jednym z przyrządów gimnastyki artystycznej. Czy widzowie polubią włączone do programu tegorocznych igrzysk popisy deskorolkowców?

W Tokio ma być miejsko i młodzieżowo. Kilka miesięcy temu światowe media rozpiswały się o jedenastolatce z Los Angeles, której niesamowite triki zapewniły piąte miejsce na międzynarodowych zawodach w Nankinie. Sky Brown pojawi się także na olimpiadzie. Branża deskorolkowa warta jest dzisiaj miliony dolarów, a MKOl walczy o oglądalność, stawiając na coraz młodsze dyscypliny i media społecznościowe. Podczas igrzysk w Pjongczangu po raz pierwszy w historii transmisje prowadził vloger Krzysztof Gonciarz.

Temperaturę imprezy podkreca już zaprezentowana w sieci streetwearowa kolekcja ubrań Nike SB x Parra. Tymczasem w Tokio pojawił się koronawirus z Chin. Gubernator Yuriko Koike zebrał sztab, w którym dyskutowano o stopniu zagrożenia. ©©

Więcej niż spacer

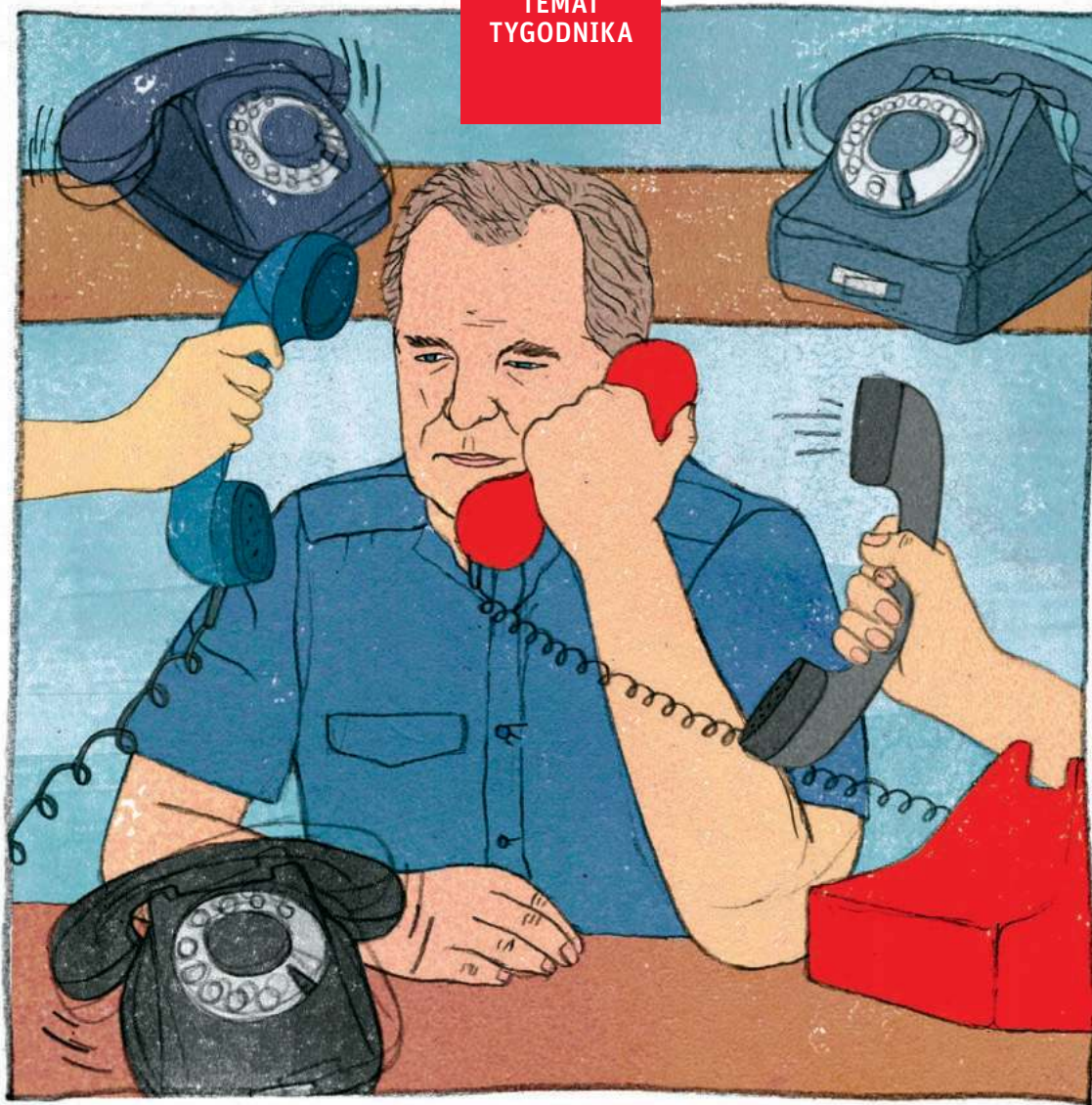
CHRISTINIE KOCH po 328-dniowej podróży służbowej na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) należy się 656 dolarów diety. Ale dla nauki jej lot był czystym zyskiem. Koch jest dopiero czwartą osobą, i pierwszą kobietą, która spędziła na orbicie niemal rok. Wiedza o tym, jak organizm znosi rok bez ciężenia, jest bezcenna dla przyszłych misji marsjańskich czy księżycowych. Astronauci to jednak nie bierne szczury laboratoryjne ani turyści: każdy dzień na ISS to 6,5 godziny pracy w laboratorium. Przez 11,5 miesiąca Koch nie tylko odbyła wraz z Jessicą Meir pierwszy „kobięcy” spacer kosmiczny, ale pracowała też nad systemami poprawiającymi wydajność odsalania wody, hodowała białka w nieważkości, co może dać nam nowe leki; zainstalowała pierwszą kosmiczną biodrukarke 3D. I wyhodowała na stacji kapustę.

Teraz stanie twardo na ziemi. Największy problem? „Znowu będę musiała robić pranie, w kosmosie nosimy ubrania, dopóki nie nadadą się do wyrzucenia”, tłumaczyła. Największa radość? „Pierwszy gorący prysznic od 11 miesięcy”. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI



NASA

TEMAT
TYGODNIKA



PORADNIK SKARŻYPYTY

W „donoszeniu” w ogóle nie chodzi o to, żeby komuś zrobić na złość.
Chodzi o wspólne dobro. Źle zaparkowane auto denerwuje wszystkich.

Palone śmieci trują każdego, włącznie z właścicielem.

A machanie ręką niczego nie zmienia.

TEKST KRZYSZTOF STORY ILUSTRACJE MAGDA WOLNA

SPÓJRZMY NA JĘZYK. KIM JEST OBYWATEL dzwoniący na policję? Donosicielem? To słowo jest nacechowane jednoznacznie. Według słownika synonimów możemy zastąpić je: kapusiem, szpiclem, kablem, agentem, szpiegiem, skarżypytą. Wszystkie równie negatywne. Jedynym neutralnym skojarzeniem jest „informator”, ale to raczej słowo z oficjalnych raportów niż mowy codziennej. Dużo bardziej codzienne jest słowo „konfident”. Masowo pojawia się na murach, ścianach i przystankowych graffiti. Jako najgorsza obelga.

W długim słowniku nie lubimy donosicielstwa. Jeśli ktoś łamie prawo, wypada go chronić albo przynajmniej udawać, że nic się nie dzieje. Patrząc w drugą stronę. Nawet słowo „oszust” ma lepszą chmurę skojarzeń niż „donosiciel”. Bo oszust to oczywiście: naciągacz, obłudnik i szarlatan, ale też: spryciarz, kanciarz, chytry lis. Cwaniak, któremu udało się przechytrzyć zły system.

Długie lata PRL-u ugruntowały ten model, w którym telefonu na policję należy się często wstydzić bardziej niż samego łamania prawa. Model, który właśnie zaczyna się zmieniać.

Skromne „tak”

W 2013 r. w Warszawie powstało Miejskie Centrum Kontakt. Specjalny numer telefonu 19115, portal internetowy, aplikacja mobilna. Warszawiacy mogą tam skontaktować się z urzędem, uzyskać informację, zgłosić problem. Te ostatnie zgłoszenia to tzw. interwencyjne. W pierwszym roku działania MCK przyjęło 13 tys. takich raportów. Rok później – 73 tys. W 2019 r. zgłoszeń było już ponad 400 tys. 30 razy więcej niż na początku.

Podobny trend notują wszystkie służby w kraju. Warszawska Straż Miejska trzy lata temu przyjmowała 1550 zgłoszeń dziennie, w zeszłym roku – 1720. Popularność policyjnych skrzynek mailowych „Stop agresji drogowej” każdego roku rośnie około dwukrotnie – w 2019 spłynęło na nie ponad 30 tys. wiadomości i nagrań.

– Mój brat regularnie zgłasza „wydobytą się dym” z okolicznych kominów – mówi Iga z Wrocławia, lat 26. – Ja też. Obok mojego domu trwa także budowa, która notorycznie zaśmieca wszystko dookoła. Ostatnio styropian latał po całej ulicy. Zadzwoniłam.

– Nie wstydzisz się?

– Ja w ogóle nie uważam tego za donoszenie. Ktoś jest idiotą, tnie styropian na wietrze, robi sporą szkodę otoczeniu. I to ja mam się wstydzić? Ja po prostu chciałabym mieć czysto. Więc nie, nie mam oporów.

Na pytanie, czy zaczynamy lepiej rozumieć obywatelski obowiązek, rzecznik prasowy Straży Miejskiej w Warszawie odpowiada: – Skromne, ostrożne „tak”.

Drogi, śmieci, smog

Na co donosimy najczęściej? Według statystyk z warszawskiego numeru 19115 ranking wygląda następująco: drogi, śmieci, komunikacja. Nie obejmuje on oczywiście cięższych wykroczeń i przestępstw, te trafiają bezpośrednio na policję. Najbardziej wyczuleni jesteśmy na to, co dzieje się na drogach. Żle zaparkowane samochody, piraci drogowi, jazda po alkoholu. W tych przypadkach coraz częściej nie wstydzimy się zadzwonić na policję, a wręcz traktujemy to (słusznie) jako zapewnienie bezpieczeństwa sobie i innym. Coraz częściej, zwłaszcza w przypadku pijanych kierowców, korzystamy również z artykułu 243 kodeksu karnego, który mówi o możliwości obywatelskiego zatrzymania. To oczywiście ostateczność, ale tylko w ostatnim miesiącu media opisywały kilka takich zatrzymań w całej Polsce.

Coraz częściej zwracamy też uwagę na środowisko. Nielegalne składowiska odpadów, zaśmiecanie i przede wszystkim smog. Służby coraz częściej kontrolują i wykrywają palenie śmieci. W 2017 r. Straż Miejska w Warszawie miała 8427 takich interwencji, w 2019 – ponad 14 tys. Podobnie jest w całym kraju.

– Obserwujemy znaczący wzrost liczby interwencji i zgłoszeń – mówi Krzysztof Smolnicki z Dolnośląskiego Alarmu Smogowego. – Także służby reagują coraz skuteczniej. Problem stał się rozpoznawalny publicznie. Jest obecny w mediach, coraz częściej słyszymy i czytamy na temat szkodliwości smogu. U nas, na Dolnym Śląsku, dużo dobrego zrobił też list biskupów odczytany z każdej ambon. Nauczyliśmy się, że jeśli ktoś pali odpadami, to naprawdę truje siebie, nas, naszą rodzinę, także dzieci i osoby starsze. Przystajemy to lekceważyć.

Skarżenie jest OK

– Pamiętam, jak po raz pierwszy w życiu dzwoniłam na policję. To jest irracjo-

nalne, ale bardzo się stresowałam – wspomina Aleksandra Konarska. – Sytuacja była na tyle groźna, że się przełamalam. Samochód przed nami co chwilę zjeżdżał na drugi pas, wydawało się, że kierowca jest pijany. Patrol czekał na skrzyżowaniu w następnym mieście.

Aleksandra jest programistką, od dwóch lat mieszka w Szwecji.

– Jakiś wrodzony wstyd kilka razy powstrzymał mnie przed telefonem do Straży Miejskiej. To zawsze było bardziej emocjonalne niż logiczne. Racjonalnie zawsze wiedziałam, że to jest właściwa rzecz. Myślę, że często wykroczenie zwyczajnie nie wkurzało mnie na tyle, by chciało mi się sięgać po telefon. Typowe machnięcie ręką. Chyba po prostu musiałam się kilka razy zdenerwować, żeby mi to przeszło.

– Wrodzony wstyd?

– Od dziecka, już w szkole, uczysz się, że skarżenie nie jest w porządku. Ale teraz już zupełnie tego uczucia nie mam. Ostatnio byłam w Krakowie, zauważyłam dym z komina, a przecież jest zakaz. Zadzwoniłam.

– Skąd taka zmiana?

– Myślę, że pobyt w Szwecji zrobił swoje. Teraz wiem, że w takim „donoszeniu” w ogóle nie chodzi o to, żeby komuś zrobić krzywdę czy na złość. Chodzi o wspólne dobro. Żle zaparkowane auto denerwuje wszystkich. Palone śmieci trują każdego, włącznie z właścicielem. I warto być bardziej aktywnym. Zwrócić uwagę, wziąć do ręki telefon, zamiast tylko się denerwować.

Cztery powody

Wszystkich rozmówców, którzy opisywali podobne sytuacje, dręczyło to samo. Irracjonalne uczucie wstydu i stresu związane z prostym telefonem w służnej przecież sprawie. Mimo to coraz częściej decydujemy się ten telefon wykonać.

– Zaczynamy inaczej myśleć – potwierdza Krzysztof Smolnicki. – Nie dzwoniśmy przeciwko komuś, tylko dla kogoś. Donosząc np. o spalaniu śmieci, o nielegalnym wysypisku, nie chronię tylko siebie i swojej rodziny kosztem sąsiada. Chronię wszystkich dookoła, także tego sąsiada.

Wydaje się, że ciągły wzrost liczby zgłoszeń wynika z czterech głównych powodów.

Powód pierwszy: zmiana pokoleniowa. Coraz częściej „donosicielami” są ludzie młodzi, którym donoszenie nie kojarzy się już z kolaboracją, współpracą →

→ z opresyjną władzą, bo tej po prostu nie pamiętają. Chmura skojarzeń powoli się zmienia, nawet jeśli język został w tyle.

Powód drugi: widoczność problemu. Ten aspekt dotyczy szczególnie środowiska. Im więcej wiemy o danym zagrożeniu, tym poważniej je traktujemy. I tym krócej wahamy się, by zacząć działać.

Powód trzeci: dostępność. Wystarczy spojrzeć na sukces Warszawy i numeru 19115. Łatwość zgłoszenia przekłada się na ich liczbę. Władze to dostrzegają i uruchamiają kolejne usługi. Policja uruchomiła Krajową Mapę Zagrożeń, na której w tym momencie tylko w Krakowie jest ponad 6 tys. zgłoszeń. W Krakowie, Golicach i Niepołomicach działają aplikacje mobilne do zgłaszania nielegalnych palenisk. Aplikację mobilną ma także Warszawa. Pięć lat temu z aplikacji pochodziło mniej niż 3 proc. zgłoszeń. W ubiegłym roku – ponad jedna czwarta.

Powód czwarty: reakcja służb. Coraz częściej nasz telefon czy wpis na stronie przynosi wymierne skutki. Nawet w małych miastach służby kontrolują paleniska. Wrocław z budżetu miasta opłaca specjalne ekopatrole. Policji jest też łatwiej reagować dzięki nowym technologiom. Lawinowo rośnie liczba aut wyposażonych w wideorejestratory. Na podstawie takiego nagrania dużo łatwiej ukarać pirata drogowego. Nie ma też ryzyka dla „donosiciela”, bo przy zgłoszeniu nie trzeba już podawać własnych danych.

Dowodów brak

Arek jest policjantem od siedmiu lat. Pracuje w jednym z małopolskich komisariatów. Przyznaje, że zgłoszeń przybywa. Ale zaraz dodaje, że nie zawsze jest to zaletą.

– Weźmy przykład Krajowej Mapy Zagrożeń – mówi. – Bardzo dobry system, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto wykorzysta go bez sensu. Ostatnio mieliśmy taki przypadek: pan wyjechał sobie na ferie, a w systemie codziennie dodawał nowe zgłoszenie koło swojego mieszkania. Jeździliśmy tam przez dwa tygodnie. Chyba chciał, żebyśmy mu pilnowali domu.

Dostrzega jednak też pozytywne zmiany: – Nie akceptujemy już alkoholu za kółkiem. Dostajemy takie telefony. Marka auta, rejestracja, kierunek. Wtedy praktycznie nie mamy szans złapać takiego kierowcy, bo nie wiemy, czy za minutę nie skręci w inną drogę. Na szczęście coraz więcej ludzi nie odkłada słuchawki. Jadą za takim autem i prowadzą patrol.



Wtedy faktycznie mamy szansę na skuteczną interwencję.

Pytam Arka o bezradność policji w wielu sprawach. Bezradność, która często zniechęca do jakichkolwiek obywatelskich postaw.

– Pamiętaj, że nas zawsze wiąże prawo. A najczęściej dzwonią do nas ludzie, którzy go nie znają. Jest wiele przestępstw i wykroczeń, które możemy karać tylko na wniosek poszkodowanego. A to oznacza, że poszkodowany musi być gotowy zeznawać w sądzie. Z imienia i nazwiska. Inaczej nic nie możemy zrobić.

Tak jest np. z zakłócaniem spokoju. Problem pojawia się również wtedy, gdy policja nie jest w stanie nikogo złapać na gorącym uczynku.

– Ktoś anonimowo donosi, że sąsiad wyrzuca śmieci do lasu. Przyjeżdżamy na miejsce i nie mamy żadnych dowodów. Osobiście tego nie widzieliśmy. Wszyscy dookoła wiedzą, kto to, ale nikt oficjalnie nie zezna, bo przecież boi się donosić na sąsiada. Wszyscy chronią się nawzajem. I chociaż nawet my wiemy, kogo należałoby ukarać, to okazuje się, że przyjechaliśmy na darmo.

– To jest źle pojęta solidarność – uważa Aleksandra Konarska. – Nie zeznajemy, bo ktoś nie przyjmie mandatu i trzeba będzie chodzić po sądach. Albo sąsiad nas obrazi. Szkoda, że te wyrzucone śmieci nie obrażają nas równie mocno.

Rodzice na straży

Oczywiście zeznawanie przeciwko sąsiadowi, zwłaszcza w małej społeczności, wymaga odwagi. Wśród historii zebranych do tego tekstu znajdują się i takie, których bohaterowie się na to zdecydowali.

Daria Dziecichowicz-Latała: – Różnie wspominam moje kontakty z władzami. Ostatnio zgłaszając palenie śmieciami, usłyszałam, że „na coś trzeba umrzeć”. Ale chyba najtrudniejsza była historia z 2010 roku. Mieliśmy sąsiada z sądowym zakazem prowadzenia pojazdów. Mimo to stale jeździł autem. Bez prawa jazdy, często nietrzeźwy. Wszyscy o tym wiedzieli. Wiele razy byliśmy u niego, rozmawialiśmy o tym.

– Tylko rozmawialiście?

– Do narodzin dziecka nie zrobiłam nic więcej. Potem pamiętam, że szłam z wózkiem, on minął mnie tym samochodem, jechał o wiele za szybko. Wtedy już nic mnie nie obchodziło, że to sąsiad, że wstyd. Skończyło się w sądzie, musiałam zeznawać. Siedział kilka miesięcy w zakładzie karnym w Trzebini. Jego żona pięć lat się do mnie nie odzywała.

– Nie bałaś się?

– Bałam, czy on mi czegoś złego nie zrobi. Nawet policjanci przy interwencji byli zdziwieni, że chcę zeznawać. Ale nie żałuję.

W wielu opowieściach powtarza się ten sam mechanizm: osoby wychowu-

jące dzieci dużo częściej reagowały na niebezpieczne zdarzenia. Ania z Warszawy przyznała wprost: – Nie wiem, na ile to jest regułą, ale od czasu urodzenia dzieci nie mam już ręką. Nie mam w dupie. Po prostu działałam.

Niechże pan dzwoni

Są oczywiście sprawy, w których interwencje nie przyniosą efektu. Półtora roku temu nad mieszkaniem Pauli w Warszawie wprowadziła się młoda para. Od tego czasu praktycznie codziennie Paula wysłuchuje krzyków, awantur i wyzwisk. Czasami wydaje jej się, że słyszy bójkę, w której obie strony biorą aktywny udział.

– Na początku myślałam, że przesadzam. Że nie powinnam się wtrącać. Ale mnie samą to bardzo stresowało, chodziłam po mieszkaniu cała spięta. W końcu zadzwoniłam.

Od tego czasu dzwoniła ponad dziesięć razy, ograniczając się do wyjątkowo głośnych dni. Za każdym razem przyjeżdżała policja albo straż miejska. Za każdym razem nic nie byli w stanie zrobić. Paula nadal myśli o zmianie mieszkania.

– To często „przypadki beznadziejne” – mówi Arek, policjant. – Policja nie może zareagować, dopóki osoba bita nie chce tego oficjalnie zgłosić. Zazwyczaj są to kobiety. Wielokrotnie z nimi rozmawiamy, przekonujemy. Często mamy takie interwencje. Przyjeżdżamy, widzimy, że kobieta jest cała posiniaczona. Zatrzymujemy faceta, ona czasem trafia szpitala. Następnego dnia, kiedy ma się stawić do nas na jednostkę, wycofuje wszystkie zeznania i mówi, że bardzo go kocha. Nic nie możemy wtedy zrobić, a bez zeznań świadka postępowanie w sprawie pobicia kończy się niczym.

Takich historii jest więcej. Michał z Krakowa: – Miałem kiedyś za sąsiadów starszą parę. Czasem pili, on czasem ją bił, ona czasem krzyczała. Powtarzało się to, a sąsiedzi potwierdzali, że się powtarza. Zadzwoniłem. Przyjechali, zwinęli faceta. Wrócił po dwóch dniach, wpuściła go, został. Jakiś czas później sytuacja się powtórzyła. Zadzwoniłem, zwinęli go, i tak kilka razy. Któregoś dnia spotkałem dzielnicowego i zapytałem, co mogę jeszcze zrobić i czy w ogóle warto dzwonić, skoro to nic nie zmienia. Popatrzył na mnie dobrotliwie i powiedział: „Niechże pan dzwoni, przecież jak któregoś dnia on ją zabije, to już na zawsze będzie pan miał wyrzuty sumienia, że nie zadzwonił”.

© KRZYSZTOF STORY

Zatkany gwizdek sygnalisty

PROF. BEATA ŁACIAK, SOCJOLOŻKA:

W Polsce człowiek informujący o nieprawidłowościach jest nadal uważany za ptaka, który kala własne gniazdo.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zdażyło się Pani donieść?

BEATA ŁACIAK: Dawno temu, ale pamiętam tę historię dobrze – była dla mnie emocjonalnie i moralnie trudna. Na ostatnim roku studiów zostałam przez swojego profesora zatrudniona do organizacji jego badań ankietowych. Miałam znaleźć wykonawców, zlecić im pracę, a następnie się z nimi rozliczyć. Gdy ankiety zostały dostarczone, profesor – na bazie uzyskanych odpowiedzi – opublikował wstępne wyniki. Wtedy podczas luźnej rozmowy z jednym z ankietów usłyszałam: „Czuję się trochę jak frajer, bo się najeździłem, a Kaśka uznała, że to robota głupiego. Siadła i machnęła te ankiety sama”.

Sfingowała odpowiedzi?

Jak się później okazało, nie ona jedna. Ustaliłam, że ta dziewczyna i pozostali podejrzani – wszyscy z czwartego roku studiów – nie zjawili się pod większością sprawdzonych przeze mnie adresów. Poczułam się moralnie zmuszona, by zareagować. Najpierw z nimi porozmawiałam. Ostrzegłam, że będą musieli te wywiady – tym razem już bez wynagrodzenia – przeprowadzić, a ja powiem profesorowi o całej sprawie. Jedna z dziewczyn powiedziała, że bym się stuknęła w głowę, bo ona niczego dodatkowego za darmo robić nie będzie. Reakcja drugiej była jeszcze ciekawsza: „Tylko spróbuj, donosicielko!”.

Powiedziała Pani profesorowi?

Naturalnie. Profesor napisał sprostowanie, zgłosił też sprawę do uczelnianej komisji dyscyplinarnej. Sytuacja była dla mnie o tyle trudna, że co prawda nie miałam wątpliwości,

iż należy zareagować, lecz równocześnie bałam się, że ci studenci zostaną wydalen z uczelni, i to z wilczym bilet na lata. Na szczęście tak się nie stało.

To był donos? Takiego słowa by Pani użyła?

I tu się zaczyna problem – z pojęciami. To słowo jest przecież obciążone złymi znaczeniami. Obarczone piętnem donosu politycznego, mającego w Polsce długą historię, sięgającą zaborów, okupacji, a później okresu PRL.

Więc nie, to nie był klasyczny donos.

A co to było?

Dziś myślę o sobie jako o sygnaliście. W czasach, w których to słowo jeszcze nie istniało.

Lektura książki „Skarżypyty, donosiciele, sygnaliści?”, której była Pani współredaktorką (wraz z Jolantą Arcimowicz i Mariolą Bieńko; publikacja ukazała się nakładem Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych UW), przekonuje, że słowo to w zasadzie nadal nie istnieje.

Rzeczywiście: pojęcie sygnalisty – czyli osoby, która informuje o nieprawidłowościach, zwykle w swoim miejscu pracy bądź środowisku, mając na uwadze dobro wspólne – nie tylko nie weszło pod strzechy, ale nie jest nawet znane w grupach, po których byśmy się tego spodziewali. Autorka jednego z rozdziałów, Anna Krajewska, ustaliła, iż słowo to jest obce wielu przedstawicielom organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

→ **Za to słowa o zabarwieniu negatywnym – donosiciel, kapuś, denuncjator – hulają w potocznym języku w najlepsze.**

Podczas gdy np. w angielskim mamy rozgraniczenie między *denunciation* i *whistle-blowing* [pierwsze oznacza „donos”, drugie „sygnalizowanie” – red.]. Przy czym to drugie też jest znane, spopularyzowane, choćby przez takie wydarzenia jak afera Watergate – w której źródłem informacji był Mark Felt, zastępca dyrektora FBI – czy też działania takich osób jak Erin Brockovich, aktywistka zaangażowana w demaskowanie przestępstw ekologicznych.

W Polsce słynnych sygnalistów brak. W dodatku informatorów nie chroni prawo.

Więcej: jak wykazały badania Instytutu Spraw Publicznych i Fundacji Batorego, los sygnalistów jest nie do pozazdroszczenia. Nawet jeśli ich zarzuty po jakimś czasie się potwierdzają, ludzie ci są często traktowani jak ptaki, które skalały własne gniazdo. Jeśli doniesienie dotyczyło miejsca pracy, to nie ma co prawda podstaw, by taką osobę zwolnić lub ukarać, ale zawsze można uprzykrzać jej życie, zmuszając do rezygnacji. I tak się nieestety często dzieje.

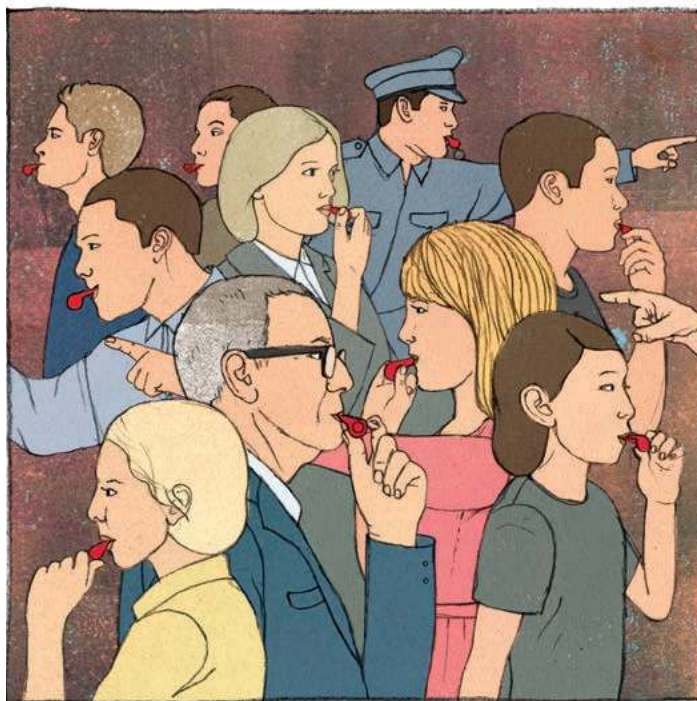
Z drugiej strony, nie jestem zdecydowaną zwolenniczką dodatkowych regulacji prawnych. Nigdy nie wiemy, jakie skutki będą miały takie zmiany. Mam na myśli także te polityczne: czy dodatkowa ochrona nie otworzy furtki dla motywowanych niskimi pobudkami donosów?

Których w świecie polityki i tak jest sporo.

Politycy zresztą grają też pojęciem „donosiciel”, wiedząc, że to słowo źle się kojarzy. Partia rządząca nie raz oskarżała opozycję, że ta „donosi Europie na Polskę”. Tak jakby Unia Europejska była ciałem obcym, wrogiem, a nie strukturą, której jesteśmy częścią.

Nie nauczyliśmy się w Polsce odróżniać zjawiska donosu od konstruktywnego informowania o nieprawidłowościach. A nie nauczyliśmy się tego, bo istnieje w tej dziedzinie wielka edukacyjna luka. Już od przedszkola i szkoły.

Tu mamy nieśmiertelnego skarżypytę Brzechwy. „Współcześnie powstają kolejne wersje tego klasycznego



utworu (...). Nieodmiennie jednak postać małego donosiciela przedstawiana jest (...) w niekorzystnym świetle” – pisze Mariola Bieńko, przytaczając jeden z utworów: „Nikt skarżypytę w szkole nie znosi, bowiem na wszystkich uczniów donosi. Pani dyrektor jest załamana, gdy słyszy skargi z samego rana (...).”

Ten przeżył to też problem szkolnych podręczników, które badała moja koleżanka, odnajdując w nich niewiele wątków związanych z informowaniem, a jeśli już, to głównie w wersji negatywnej. Nie uczymy dzieci, że informowanie może być chwalebne.

Podam przykład. W szkołach zjawisko ściągania jest już dość powszechnie uważane za złe, ale doniesienie o ściąganiu nadal uchodzi za coś obrzydliwego. Inny przykład, znacznie bardziej dramatyczny. Na pewno pamięta pan głośną sprawę dziewczynki, która popełniła samobójstwo, bo była dręczona przez rówieśników. Nie tylko nikt się nie przeciwstawił tym praktykom, ale też nikt nie zgłosił niczego dorosłym.

A edukacja poprzez kampanie społeczne?

Prawie ich nie ma, a jeśli nawet są, to zwykle byle jakie albo wręcz szkodliwe.

Była np. kampania kierowana do świata biznesu, w której doniesienie o zmoiwie cenowej wiązało się z gratyfikacją w postaci uniknięcia kary.

Co w tym złego?

To nie jest najlepszy model, bo odbywa się wedle logiki funkcjonowania świadka koronnego: żeby nim zostać, to wcześniej trzeba być przestępcą, któremu pali się grunt pod nogami. Jest w tym moralna dwuznaczność. Oczywiście, ta instytucja ma nas chronić przed jeszcze większym złem, ale pytanie, czy to jest model godny promowania?

Inna kampania zachęcała pracowników do informowania o nieuczciwych praktykach dotyczących pirackiego oprogramowania komputerowego. Problem w tym, że pojawiła się tu motywacja odwetowa. Twórca spotu sugerował, że jeśli szef nie szanuje ciebie i twojej pracy, to możesz – odbiorco – mu się odwzajemnić, sprawdzając, czy nie korzysta z nielegalnego oprogramowania... To nie jest zachęta do bycia sygnalistą, ale szantażystą.

A jakie wzorce daje nam popkultura?

Mogę trochę powiedzieć o treści seriali, bo je pod tym kątem badałam. Tam to zjawisko pojawia się albo w poetyce humorystyczno-anegdotalnej, albo jednoznacznie negatywnej. Albo jest szalona,

natrętna sąsiadka, która notorycznie wydzwaniała do służb, że ktoś źle zaparkował lub przeszedł przez trawnik, i wszyscy uważają ją za nieszkodliwą wariatkę, albo pojawia się motyw bezinteresownej zawiści: porzucona kochanka donosi – fałszywie zresztą – na swojego byłego partnera, by się zemścić. W popularnym serialu „Ranczo” księża zakładają telefon zaufania, ale dzwoni na niego obywatel chcący uprzejmie donieść, że jego sąsiad musi robić przekręty, skoro kupił sobie nowy samochód.

W tym samym „Ranczu” kłusownicy zakładają wnyki, wpada w nie pies. Wszyscy są tym faktem oburzeni, ale na koniec się okazuje, że lokalsi sami wymierzają winowajcy sprawiedliwość, bo – jak mówią – „donoszenie nam przez gardło nie przejdzie”.

Ten obraz to przegięcie twórców seriali czy celny portret społeczeństwa?

Jeśli to drugie, to faktycznie serial nie odbiega zbyt od rzeczywistości. Gdy przeprowadzaliśmy wywiady, rzadko zdarzali się wśród przepytanych kłasiczni sygnaliści. Owszem, wiele osób deklarowało poparcie dla informowania czy donoszenia w uzasadnionych ich zdaniem sytuacjach, ale już deklaracji, że taka sytuacja im się przydarzyła, było niewiele. Wiele było za to opowieści osób, które padły ofiarami donosów wrednych, nieuzasadnionych dobrem społecznym, a jedynie własnym, czasami wręcz kłamliwych. Sporo ludzi opowiadało o tego typu donosach w miejscu pracy.

„U nas konkurencja zawsze była, u nas są niektórzy na śmieciowych [umowach], no to jeden drugiego wygryza” – mówi respondentka. Albo: „Každy się bronił, czym tylko mógł, i koleżanka koleżance stawiała się wilkiem. Po prostu wszyscy na wszystkich donosili, żeby zachować miejsce pracy”.

Jesteśmy społeczeństwem na dorobku: trzydzieści lat temu odrzuciliśmy stare zasady, nie dorabiając się w to miejsce nowych. Społeczeństwo konsumpcyjne, agresywna rywalizacja, ale też rosnące nierówności ekonomiczne tworzą warunki dla tego typu postaw. Nie tylko zresztą na rynku pracy: statystyki niektórych urzędów, choćby skarbowych, a także wywiady współautorki wspo-

Pijany kierowca to jedna z niewielu sytuacji, w których **nie wstydzimy się faktu alarmowania służb.**

Drugim tego typu tematem jest przemoc wobec zwierząt.

mnianej książki, Jolanty Arcimowicz, z urzędnikami świadczą o tym, że liczba donosów motywowanych egoistycznymi pobudkami rośnie.

Równocześnie – opornie, bo opornie – tworzą się chyba nowe przesłanie dla sygnalistów. Mobbing, molestowanie seksualne, produkowanie smogu – w tych tematach łatwiej dziś o obywatelskie reakcje zwolnione ze stygmatu „donosicielstwa”?

Jeśli chodzi o ostatni z tematów, na pewno rośnie świadomość w rejonach, gdzie smog jest odczuwalny. Nasze badania przeprowadzaliśmy w trzech miastach, z których jedno – niewielkie – ma gorsze powietrze niż Katowice. I tu dość dużo osób umieszcilo palenie niedozwolonymi substancjami na liście sytuacji, które usprawiedliwiają doniesienie.

Jeśli chodzi o molestowanie w miejscu pracy i mobbing, też widać zmianę. To wypadkowa nagłaśniania tych spraw. Ważne są też dobre praktyki: wewnętrzne uregulowania w miejscach pracy. Dwa lata temu zmieniałam miejsce pracy i ku mojemu zaskoczeniu dostałam długą listę wytycznych, co robić i do kogo się zgłaszać w odniesieniu do różnych niedopuszczalnych zachowań.

Z jakiegoś też powodu właśnie teraz – po dekadach – ofiary pedofilii w Kościele otwarcie mówią o swoich krzywdach.

Choć w reakcjach na te historie nadal widać ślady fałszywie pojmowanej solidarności korporacyjnej. Kościół katolicki jest zresztą ciekawą – i jak dotąd niezbadaną – instytucją, jeśli chodzi o donosy. Usłyszałam ostatnio od znajomego księdza profesora, jak wiele przychodzi ich do kurii.

Z jednej strony mamy więc bardzo poważne sprawy, jakimi są przypadki molestowania seksualnego przez duchownych, sprawy przecież długo trzymane w tajemnicy właśnie w imię fałszywej solidarności. A z drugiej strony, coraz większą liczbę donosów w stylu: „Ksiądz proboszcz zebrał dużo więcej niż kosztowała dzwonnica”.

A przemoc domowa? Pozbyliśmy się już nieśmiertelnego „Co w rodzinie, pozostaje w rodzinie”?

Tu byłabym dużo ostrożniejsza. Z jednej strony, nasi respondenci dość często umieszczali ten temat – zwłaszcza w przypadku krzywdy dzieci – na liście zachowań usprawiedliwiających złożenie doniesienia. Jednak zdarzały się też głosy, że takie zgłoszenie to później same problemy, a w ogóle to w sprawy rodziny nie należy się wtrącać. Równocześnie widać, że realnie takich zgłoszeń na policję czy do MOPS-u wcale nie jest wiele. Już chętniej donosimy, że sąsiad kupił samochód, mimo że nie ma pracy...

Albo że puszcza głośno muzykę.

Wypowiedzi, w których respondenci opisywali donosy dotyczące kłopotliwego hałasu, było rzeczywiście całkiem sporo.

W ocenie zjawiska donoszenia ważny bywa światopogląd. Badała Pani narzeczane prasowe dotyczące zgłaszania przypadków przemocy. Dominujący ton: dezaprobatą wobec przemocy i aprobatą w stosunku do sąsiedzkich doniesień o jej stosowaniu. Wyjątkiem był „Nasz Dziennik”.

We wszystkich opublikowanych przez tę gazetę tekstach na ten temat z dezaprobatą odnoszono się do zgłoszeń, prezentując ich autorów jako kłamliwych donosicieli. Tego typu publikacje mogą jedynie utrwalać niechęć do ingerowania w życie rodziny, nawet jeśli ktoś jest krzywdzony.

Media w ogóle – niezależnie od światopoglądu – odgrywają rolę dwuznaczną. Stanowią forum dla sygnalistów, albo same pełnią taką rolę. Ale mają też drugą twarz.

Chodzi głównie o tabloidy, które wchodziły brutalnie w życie prywatne ludzi znanych, w dodatku – co wyjątkowo obrzydliwe – strojąc się w szaty strażników →

→ jakiegoś, bliżej nieokreślonego, dobra wspólnego bądź jawności.

„Co to za masowe usłużne donosicielstwo? – pytała na Facebooku Krystyna Janda. – Co to za »bliskie znajome«, »przyjaciółki«, »znajomi rodziny«, »przyjaciele«, »osoby dobrze poinformowane«, na które powołuje się ta prasa? Co to za szczegółowe opisy chorób, zdarzeń, nawet myśli i intencji bohaterów artykułów dla szarej gawiedzi spragnionej czyichś łez, moczu i krwi”.

Warto więc przy każdej okazji powtarzać, że sygnalista to nie jest ktoś, kto informuje wszystkich o wszystkim. To ktoś, kto dostrzegając nieprawidłowość godzącą w ważne wartości, informuje o tym społeczeństwo. Takich przykładów demaskatorskiej roli mediów jest na szczęście bardzo dużo.

Często media nie są potrzebne: obywatel wyposażony w zainstalowaną w samochodzie kamerę, aparat fotograficzny bądź dyktafon w telefonie załatwia sprawę sam.

I tu znowu pojawia się – obecna w naszej rozmowie od początku – ambiwalencja. Te same narzędzia mogą przecież służyć wścibskiemu dokumentowaniu „łez, moczu i krwi”, jak też chwalebniemu sygnalizowaniu.

Ale skoro mówi pan o samochodowych kamerach, to warto przy tej okazji zauważyć wzrost świadomości w dziedzinie bezpieczeństwa na drogach. Ni-



LESZEK ŻYCH / POLITYKA

PROF. BEATA ŁACIAK jest socjolożką, członkinią zarządu Instytutu Spraw Publicznych, pracuje na Wydziale Bezpieczeństwa Narodowego w Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie. Współautorka pracy „Skarżypyty, donosiciele, sygnaliści? Studium socjologiczno-prawne” (2018).

gdy może nie było aprobaty dla pijaków na drodze, ale nie było też chyba tak wyraźnego jak dzisiaj przyzwolenia na informowanie o tego typu zachowaniach. Tymczasem z naszych badań wynika, że pijany kierowca za kółkiem to jedna z niewielu sytuacji, w których nie tylko nie wstydzimy się faktu zaalarmowania służb, ale nawet czerpiemy zeń dumę. Drugim tego typu tematem jest przemoc wobec zwierząt.

Cytowany przez Panie, nieżyjący już Wiktor Osiatyński, pytany przez „Gazetę Wyborczą”, co sądzi o donoszeniu na osoby uzyskujące nieuczciwie renty, powiedział: „Oczywiście, że donosić. Wobec kogo mamy być lojalni? Wobec krętacza, który kombinuje, czy wobec społeczeństwa (...)? Powoli uświadamiamy sobie, że kto oszukuje system, okrada nas wszystkich (...). Znika folwarczna i komunistyczna mentalność, która powstała w czasach, kiedy »pan« był właścicielem wszystkich środków i należało mu coś z tego uszczknąć”. Rozumiem, że nie jest Pani tak optymistyczna jak Osiatyński był w 2005 r.?

Uważam, że – odwołując się do teorii Durkheima – mamy do czynienia z anomią. Chodzi mi o niejasność norm i reguł, którą widać też w wypowiedziach naszych respondentów. Więc nie: nie żyjemy jeszcze, moim zdaniem, w społeczeństwie, które wymarzył sobie Wiktor Osiatyński.

Żyjemy w społeczeństwie, w którym jedni uważają, że lepiej jest nie reagować na zło, inni zaś uznają, że wolno donieść w niemal każdej sytuacji, która może komuś zaszkodzić, a nam przynieść pożytek. Naturalnie jest też pewna przestrzeń między tymi skrajnymi postawami. Warto ją pielęgnować i promować.

©© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grzyżyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Sumer-Bryś,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (członkini)

Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl

Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl

Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmienia mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom. „Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



PAWEŁ

Śpiewak: Ład kosmiczny i ład moralny



DWIE OPowieści o Stworzeniu zapisane w pierwszych częściach Tory zdają się być różne i nie do pogodzenia. Możemy jednak uznać, że są to dwa spojrzenia na świat, na ludzką historię, z dwóch odmiennych punktów widzenia. Pierwsza opowieść ma wymiar kosmologiczny. Widzimy świat ulegający podziałowi, będący stale w ruchu, w czasie wyznaczonym przez Boga. Zwraca się ku tym, którzy poszukują ładu świata, wiedzy o naturze (choć słowo „natura” Hebrajczykom nie było znane). Kosmos nie posiada charakteru boskiego, choć ma tajemnicze pochodzenie i stworzony jest z tak ulotnej materii, jaką jest słowo. Pojawienie się człowieka androgyna jest spełnieniem aktu Stworzenia, ponieważ on potrafi ów ład dostrzec i przyjąć, a być może zrozumieć.

Druga opowieść, którą zaczyna obraz narodzin człowieka, wyznacza perspektywę polityczno-moralną. W pierwszej człowiek zdaje się zdążyć do potęgi, w drugiej odkrywamy go w jego słabościach. Życie ludzkie nie ma w drugim akcie Stworzenia nic z niewinności, pełni i szczęśliwego spełnienia. Człowiek staje wobec swoich pragnień – obdarzony wolnością, wyobraźnią, rozumem, mową, pychą i samoświadomością, potrzebą seksualności, niewiedzą, w sprzecznościach wewnętrznych, wzajemnej zależności i braku samokontroli.

Wiedza o ładzie wszechświata, choć niezbędna, nie nauczy nas, jak żyć dobrze i sprawiedliwie. Nie wystarczy do rozpoznania moralnych dylematów. Kosmos nie jest i być nie może źródłem naszych moralnych nakazów. Co więcej – pokazuje to z cudowną zrzeczością Tora – dana nam świadomość i samowiedza nie wystarczają do odnalezienia się moralnego w tym świecie. Trzeba czegoś więcej. Pierwsza opowieść o Stworzeniu jest wyzwaniem dla przekonania, że w świecie-kosmosie zawarta jest świętość i godność, druga podważa przekonanie, że można w życiu kierować się jedynie wolną wolą i rozumem. Biblia od początku pomniejsza wagę tego, co „naturalne”, dane nam z natury rzeczy, a co spełnia się w filozofii i aktywności myślicieli. Oni nie mogą dać dobrych odpowiedzi, ponieważ natura nie ma charakteru boskiego. Pełne zakotwiczenie w ludzkim i naturalnym ładzie daje nam Bóg. Podporządkowanie Bogu, a nie samodzielne poszukiwanie mądrości przez najlepsze z umysłów, jest prawdziwym i godnym sposobem życia. Na początku był nakaz Boga. Łatwy i, jak się okazuje, niemożliwy do spełnienia.

Dwa opisy Stworzenia wzajem się uzupełniają i oba zdają się być, choć dla odmiennych potrzeb, niezbędne. Nie ma między nimi sporu. Jednak najwięcej niepokoju i ciekawości wzbudza ta opowieść, w której to Adam-człowiek, mężczyzna, zostaje z prochu ulepiiony, a nozdrzami Bóg wypełnia go tchnieniem (*ruach*) życia. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Co wybierasz, to dostaniesz



SŁOWO RAKA ZNACZY TYLE, CO GŁUPIEC, dosłownie: pusta głowa, a jest nim człowiek niezdolny do tworzenia międzyludzkich relacji. Drugie greckie słowo, *moros*, również znaczy głupiec, a jest nim człowiek niezdolny do pozostawiania we właściwej relacji z Bogiem, czyli bezbożny. Tak czytamy w komentarzu do Ewangelii św. Mateusza autorstwa ks. Antoniego Paciorka. Mówiąc najkrócej, głupim i bezbożnym człowiekiem jest ten, kto nie potrafi kochać ani ludzi, ani Boga, i nie widzi, że nie są to dwie różne miłości, ale jedna. W pierwszej chwili trudno się z tym nie zgodzić. Wciąż słyszymy, że największym nieszczęściem ludzkości są ateści, do niedawna bezbożnicy. O ile godziliśmy się na istnienie wyznawców innych religii, to bezbożników nadal miewamy za ludzi niespełna rozumu, bo niby jak można nie wierzyć w żadnego boga? A jednak Jezus mówi: „Kto powie bratu: »Głupcze«, stanie przed Wysoką Radą. A jeśli mu powie: »Durniu«, skazany zostanie na ogień potępienia”.

Tę przestrożę Jezus wygłosił zaraz po Kazaniu na Górze, czyli po zarysowaniu sylwetki chrześcijanina, którego cechą podstawową jest bycie ubogim w duchu. Według egzegetów ten rodzaj ubóstwa cechuje człowieka, który zna swoje ograniczenia, swoją grzeszność, i dlatego oddaje siebie w ręce Boga. Nie chodzi o to, czy jest się bogatym w sensie materialnym, czy też bez żadnego majątku, ale o to, by nie stawiać siebie wyżej od innych, np. ateistów. Nie być jak ów faryzeusz, który patrząc na modlącego się razem z nim celnika mówił do Boga: „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie: zdziercy, niesprawiedliwi, cudzołóznicy, albo jak ten celnik”. Jak widać, nienawistna mowa nie jest dzisiejszym wynalazkiem. Sprzeciwiać się złu też trzeba po chrześcijańsku.

Trzeba pamiętać, aby „nigdy nie posługiwać się językiem niegodnym ucznia Chrystusa” – mówi bp Józef Guzek. Nawiązując do homilii Jana Chryzostoma dopowiada: „Jak długo jesteśmy owcami, zwyciężamy. Otoczeni gromadą wilków, stajemy się mocniejsi. Gdy jednak stajemy się wilkami, ulegamy, ponieważ jesteśmy pozbawieni pomocy Dobrego Pasterza. Wszak nie jest on pasterzem wilków, ale owiec. Jakże to jest ważne, żebyśmy się nie »zwilczyli«, byśmy stosowali metody godne chrześcijanina. (...) Musimy być otwarci na tych, którzy znajdują się na obrzeżach lub poza dostrzegalnymi granicami Kościoła”. W sferze duchowej nic nie można osiągnąć „na rozkaz”.

„Na początku [Bóg] tak stworzył człowieka – mówi Syracusz – że może wybierać między swymi skłonnościami. Jeśli chcesz, będziesz zachowywał przykazania, a wierność będzie owocem twojej dobrej woli (...). Przed człowiekiem: życie albo śmierć, co wybierze, to będzie mu dane”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Na wzburzonym morzu

Człowiek odosobniony
nie chce być tym lub
tamtym, bo kto chce być
tym lub tamtym, ten chce
być czymś, odosobnienie
natomiast chce być niczym.

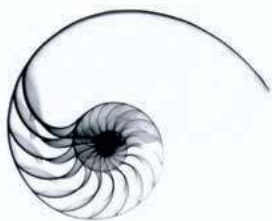
Dlatego pozostawia
w spokoju wszystkie rzeczy.

MISTRZ ECKHART



Rozpoznawszy
we wszystkich
stworzeniach siebie
i wszystkie stworzenia
w sobie, od „ja”
i żądy posiadania wolny,
bądź szczęśliwy.

ASZTAWAKRAGITA



Wybrał PIOTR SIKORA



WSZYSCY TRZEJ SYNOP-
tycy opisują to wyda-
rzenie. Jezus mówi do
swoich uczniów:
„Przeprawmy się na
drugą stronę [je-
ziora]”. Wsiadają do łodzi. On za chwilę
zasypia. Tymczasem zrywa się potężny
wiatr, wzbudza fale zalewające łódź. Do
tego momentu ewangelisci są zgodni
w swoich narracjach (zob. Mk 4, 35-37;
Mt 8, 18. 23-24; Łk 8, 22-23). W następnym
zdaniu opowiadania pojawia się jednak
znacząca różnica – zdesperowani ucznio-
wie budzą Jezusa i krzyczą: „Panie, zbaw
nas, giniemy!” (Mt 8, 25); „Nauczycielu,
Nauczycielu, giniemy!” (Łk 8, 24); „Mi-
strzu, nic Cię to nie obchodzi, że gi-
niemy?!” (Mk 4, 38).

Pod piórem Łukasza okrzyk aposto-
łów jest po prostu dramatyczną infor-
macją, u Mateusza staje się natarczywą
prośbą: „zbaw nas”; u Marka natomiast
jest wyrzutem i pretensją: „Nic Cię nie
obchodzimy”. Jest jak wyrzut Marty
skierowany do Jezusa wtedy, gdy jej sio-
stra usiadła u Jego stóp, by Go słuchać:
„Nic Cię to nie obchodzi, że zostawiła
mnie samą przy usługiwaniu?!” (zob.
Łk 10, 40).

Nic Cię to nie obchodzi... Nasz los jest
Ci obojętny. Śpisz, kiedy my zmagamy
się z falami i wichrem, kiedy walczymy
o swoje i Twoje życie. Zostawiłeś nas sa-
mych wobec przeciwności. Nie chodzi
o to, jak wygląda jezioro i niebo; chodzi

o to, jak postrzegają Jezusa. W zapisie
Markowym problemem uczniów nie
jest wyłącznie burza na jeziorze – stanęli
przed wyzwaniem, które wydaje się ich
przerastać; ich ważniejszym problemem
jest to, że wraz z przeciwnościami przy-
szła na nich próba wiary i tej... nie zdali:
wiara jest bowiem w swej istocie nie tyle
przekonaniem, że Bóg istnieje („*credo
Deum esse*”), co raczej powierzeniem się
Bogu („*credo Deo*”) – jest relacją zaufania.
Stąd też bierze się wyrzut Jezusa: „Jakże
brak wam wiary!” (Mk 4, 40).

Przypomina się przepiękne, wręcz sza-
lone wyznanie wiary Hioba: „Choćby
mnie zabił Wszechmocny – ufam!”.
„Co nas może odłączyć od miłości Chry-
stusa?” – pyta Paweł w Liście do Rzy-
mian (Rz 8, 35nn). To znaczy: co nas
może wybić z doświadczenia bycia uko-
chanymi przez Chrystusa? „Utrapienie,
ucisk czy prześladowanie, głód czy na-
gość, niebezpieczeństwo czy miecz?”.

Sztorm? Wysoka fala? Silny wicher?

Chodzi o to, czy wierzę, że On ma moc
uciszyć każdą burzę.

Chodzi o to, czy Mu ufam, gdy „śpi”
podczas atakującej mnie zawieruchy.

Czy ufam Jego milczącej obecności?
Czy ufam Jego spokojowi? Czy żądam, by
uciszył morze? A może jednak wystarczy
mi przekonanie, że razem z Nim mogę się
zmierzyć z każdą falą? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 II)

6. niedziela zwykła: Syr 15, 15-20;
Ps 119; 1 Kor 2, 6-10; Mt 5, 17-37;
Poniedziałek: Jk 1, 1-11; Ps 119; Mk 8, 11-13;
Wtorek: Jk 1, 12-18; Ps 94; Mk 8, 14-21;
Środa: Jk 1, 19-27; Ps 15; Mk 8, 22-26;

Czwartek: Jk 2, 1-9; Ps 34; Mk 8, 27-33;
Piątek: Jk 2, 14-24. 26; Ps 112; Mk 8, 34 – 9, 1;
Sobota: 1 P 5, 1-4; Ps 23; Mt 16, 13-19;
7. niedziela zwykła: Kpl 19, 1-2. 17-18;
Ps 103; 1 Kor 3, 16-23; Mt 5, 38-48.

KRAJ



JAK NAS USKRZYDLAJĄ

Skoki narciarskie są w Polsce od dwudziestu lat ruchomym świętem i narodową sagą. Przedstawiają nam nas samych w sposób, na jaki bezpośrednio byśmy się nie zdobyli. We wzniosłym i radosnym dramacie.

DARIUSZ KOSIŃSKI



*Kamil Stoch i Adam Małysz,
ostatni konkurs Pucharu Świata,
Planica (Słowenia), 20 marca 2011 r.*

MATIC KLANSEK VELEJ / EXPA / PAP

OTO JEDNA Z NAJDIWNIJSZYCH DISCYPLIN sportowych. Przez kilka miesięcy w roku grupa kilkudziesięciu młodych mężczyzn o specyficznym ukształtowanym ciałach jeździ po Europie i Azji, by dwa razy w tygodniu popisywać się na specjalnie dla nich zbudowanych, drogich, brutalnie ingerujących w przyrodę obiektach, które poza tymi kilkoma dniami stoją prawie nieużywane. Zawody mogą wydawać się wyjątkowo monotonne, bo różnice między kolejnymi

skokami są minimalne i w zasadzie można powiedzieć, że wszyscy robią to samo.

Seryjni Dedale

Organizatorom udało się jednak te wady przekształcić w zalety. Monotonność i powtarzalność uczynili podstawą formatu, który – zwłaszcza w wersji telewizyjnej – przypomina serial. Puchar Świata to sportowa telenowela ze stałym zespołem dobrze znanych postaci, do którego nowe

osoby wchodzić rzadko i powoli, by prowadzić łatwo zrozumiałą, a nieagresywną rywalizację.

Ten mechanizm serialowy działa szczególnie mocno w przypadku oglądania relacji telewizyjnych. Regularność prezentacji, ich stały rytm i przebieg sprawiają, że oglądanie skoków nabiera cech rytuału, będąc jednocześnie okazją do towarzyskich spotkań. Bo skoków wcale nie trzeba oglądać uważnie i w całości. Przez to, że skoczkowie robią w zasadzie to samo, można spokojnie w czasie zawodów rozmawiać, wychodzić, na długie chwile porzucić transmisję, która nawet wtedy zachowuje pozycję centralnego punktu organizującego spotkanie. Gdy tylko na belce siądzie któryś z „naszych”, rozmowy cichną na kilkadziesiąt sekund skoku, by potem wrócić w ożywionych komentarzach do tego, co właśnie się stało.

Ponieważ te rytuały powtarzają się już od kilkudziesięciu lat, wytworzyła się też wśród kibiców grupa specjalistów, oglądających nie fragmenty z „naszymi”, ale uważnie śledzących całe zawody i potrafiących dyskutować o subtelnych różnicach w stylu, spierać się o jakość telemarku, a nawet (co już jest wyższą szkołą jazdy) dostrzec spóźnione wybiście z progu. Zaangażowani eksperci często wchodzić w klasyczny konflikt z „piknikami” i niszczą towarzyskie spotkania okrzykami zachwytu, jakie wywołuje u nich niespodziewanie udany lot Kiliana Peiera, czy podnieconymi komentarzami na temat niespodziewanej zniżki formy Daniela-Andrégo Tandego. Zaangażowani budzą w „piknikach” podziw, ale i niechęć, bo niestety nawet życzliwe zaproszenia do rozmowy o stosunkach w wielodzietnej rodzinie Prevców traktują jak plotki niegodne prawdziwego kibica.

Może to się wydawać zaskakujące, ale wśród oglądających zawody na żywo dominują postawy zabawowe, a nie poważno-rytualne. Kibicowanie skokom jest czynnością nieciągłą jak one same, a zarazem oddaloną od głównej areny, co w połączeniu ze specjalnymi warunkami oglądania (na zewnątrz, w niskiej temperaturze) sprawia, że większość kibiców bawi się w ramach swoistej karnawałowej dyskoteki do rytmu piosenek serwowanych przez didżeja, tylko w szczególnych momentach („nasi” i ich najgroźniejsi rywale) angażując się we wspieranie zawodników.

→

⇒ Jednak w obu wersjach (telewizyjnej i na żywo) dzięki prostocie zawodów, ich otwartemu i niewymagającemu wyłącznej uwagi charakterowi, bycie kibicem jest stosunkowo łatwe. Nie ma tu bariery spalonego, która tyłu niedzielny kibicom utrudnia oglądanie piłki nożnej. Nawet jeśli ktoś nie wie, co to telemark i punkty za wiatr, widzi przecież, że Dawid skoczył dalej niż Ryōyū.

Wpływa to oczywiście na popularność dyscypliny, ale o niej nie decyduje. Ważniejsze jest chyba coś innego: lot. Jeśli pomyśleć o skokach narciarskich jako o dramacie, to jego sednem byłoby odejście od ziemi i szczęśliwy powrót. Skoki uruchamiają symbolikę bardzo starą, o wielkiej tradycji, a zarazem o specyficznej wymowie etycznej. Skok, który jest lotem i jako lot przede wszystkim istnieje, ma wpisana w swoją dramaturgię konieczność powrotu – i to powrotu nie tylko bezpiecznego, ale też pięknego, a przynajmniej zgodnego z akceptowaną konwencją.

Przeprowadzone na przestrzeni wielu lat zmiany regulaminowe doprowadziły do wytworzenia specyficznej równowagi między długością lotu a wypełnieniem reguły powrotu na ziemię. Ta równowaga jest współczesną wersją lekcji Dedala: wznosić się, wyrwać prawu ciążenia – tak, ale tylko o tyle, o ile pozwala to na bezpieczny powrót. Ta równowaga chroni przed wszelkimi szarżami. Jeśli bowiem w skokach jest – jak często się mówi – romantyzm, to ujęty w pragmatyczne ramy. Jeśli jest szaleństwo, to trzeźwe i oparte na systematycznej pracy i systemowym wsparciu.

Z drugiej strony ta systematyczność równoważona jest przez rolę, jaką odgrywa w skokach przypadek. Cała ogromna praca, jaką wkładają w przygotowania skoczkowie i ich sztaby, może zostać jednak zniweczona przez siłę tak nieprzewidywalną jak wiatr. Skoki zawsze są loterią, a nawet czymś więcej – rodzajem testu, który może mieć nawet aspekt „metafizyczny”. Nie wiemy, co sprawia, że znajdujący się w świetnej formie faworyt nagle przegrywa najważniejsze zawody, a mistrzostwo zdobywa ktoś, na kogo nikt nie stawiał.

Skoki są dyscypliną, w której decydują czynniki tak subtelne, że niezrozumiałe, i postrzegane są jako niekontrolowane przez ludzi. W efekcie sukces, nawet jeśli przygotowany ciężką pracą, nie jest przez

Skoki są dyscypliną, w której decydują czynniki tak subtelne, że niezrozumiałe,

i postrzegane jako
niekontrolowane przez ludzi.

Sukces stanowi dowód na
przychylność tajemniczych sił
z posmakiem metafizycznym.

tę pracę gwarantowany. Stanowi dowód na przychylność tajemniczych sił i ma posmak metafizyczny.

Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe

Fenomen polskich skoków narodził się wraz z nieprawdopodobną historią Adama Małysza, skromnego dekarza, który stał się narodowym bohaterem, „Orłem z Wisły”.

Małysz bardzo długo był zawodnikiem przeciętnym, a nawet mniej niż przeciętnym. Dopiero pod koniec ubiegłego stulecia, gdy zmienił metody treningowe i rozpoczął pracę z psychologiem Janem Blecharzem i fizjologiem Jerzym Żołędziem, nastąpiła zmiana. Ale rytm sezonu i kilka przypadków (m.in. odwołane konkursy na początku sezonu kolejnego) sprawiły, że efekty tej zmiany eksplodowały na samym początku nowego tysiąclecia.

Stało się to w trakcie 31. Turnieju Czterech Skoczni, który Małysz niespodziewanie wygrał, bijąc rywali w pierwszych konkursach milenium: 4 stycznia w Innsbrucku i 6 stycznia (w święto Objawienia Pańskiego) w Bischofshofen. Zwyciężył w obu w stylu nieprawdopodobnym, zyskując kilkadziesiąt punktów przewagi nad kolejnymi zawodnikami i bijąc różne rekordy wyliczane przez statystyków.

Pamiętam dobrze tamto uniesienie, ale też i rodzaj niewiary, że to się dzieje naprawdę. I że po tym sukcesie przychodzą następne. Każde zawody tego niesamowitego sezonu były jak wyzwanie rzucone przekonaniu, że owszem, może nam się zdarzyć jednorazowy tryumf (dosłownie: wyskok), ale regularne zwycięstwa

to nie dla nas. W kontekście skoków potwierdzała to z całą oczywistością historia olimpijskiego złota Wojciecha Fortuny z Sapporo z 1972 roku. Jedno jedyne 111 metrów i potem nic...

Stopniowo przekonywaliśmy się, że Adam Małysz nie jest Fortuną. Trzy tryumfy w Pucharze Świata z rzędu (co wcześniej nikomu się nie udało) były na to najlepszym dowodem. Po szaleństwie małyszomanii w pierwszym sezonie w kolejnych nastąpiło pewne uspokojenie, ale szacunku i pozycji narodowego bohatera Małysz nie stracił nigdy. I już nie straci.

W jego historii jest wiele elementów tak nieprawdopodobnych, że aż doskonałych w swej trafności i fortunności. Najważniejszy może jest ten, że „Orzeł z Wisły” był takim bohaterem, jakiego Polacy może najbardziej na początku tysiąclecia potrzebowali. Skromny i zwykły, bez żadnych znamion celebrytwa, niepozujący, niewygadany, daleki od fizyczności wzorcowych modeli z reklam lepszego życia, był kimś, kogo w każdej chwili mogliśmy spotkać na ulicy i nie zwrócić na niego żadnej uwagi. Postury nikczemnej, jak Michał Wołodyjowski (i z takimż wąsikiem), pokonywał rywali z krajów, wobec których zawsze mieliśmy kompleksy (na czele z Niemcami oczywiście).

Ale nigdy nie uruchamiał wojennych emocji tak typowych choćby dla futbolu. Zawsze też on sam i liczni komentatorzy podkreślali, że jego sukces to efekt ciężkiej pracy nie tylko jego, ale i sztabu ludzi. Był więc zwykłym człowiekiem, który wzleciał orłem, ale ani na chwilę nie zapominał o ziemi, tej ziemi. Jego uniesienia nie były efektem nagłych natchnień, ale wynikały z czegoś, co standardowo uważa się za obce polskiemu charakterowi.

Mówiąc w uproszczeniu koniecznym, bo obrazowym: Małysz łączył harmonijnie romantyczne porywy z pracą u podstaw. Nie tylko przekraczał w ten sposób kolejną stereotypową opozycję „narodową”, ale tworzył też pewien generalny wzorzec skutecznego działania, który dzięki wspomnianym wyżej „metafizycznym” aspektom skoków stawał się u progu z dawną oczekiwanego tysiąclecia czymś w rodzaju przepowiedni. Nadszedł dla nas wszystkich.

Ten model i wytworzony przez Małysz sposób podchodzenia do życia okazał się równie niezwykle skuteczny w go-



ALEXANDER HASSENSTEIN / BONGARTS / GETTY IMAGES

Dawid Kubacki zwycięża w Turnieju Czterech Skoczni, Bischofshofen (Austria), 6 stycznia 2020 r.

dzinie próby. Gdy w czasie olimpiady w Salt Lake City w 2002 r. Simon Ammann dwukrotnie odebrał polskiemu faworytowi złoty medal, było o krok od uruchomienia kolejnego narodowego kompleksu: frustracji wywołanej przez utratę nagrody, na którą przecież zasłużyliśmy, a której złośliwy los nas pozbawił.

Wiara we wszystko, co Małysz zdołał już uosobić, została zagrożona nawałą zbiorowego masochizmu (ach, jak nam się nie udaje! ach, jak nie ma sensu próbować!). Spokój mistrza, szczerze gratulacje dla zwycięzcy (sympatycznego chłopaka nazywanego Harrym Potterem, co też nie było bez znaczenia, bo gdyby to jakiś Hannawald zabrał nam złoto – gorze, bracia!), a przede wszystkim kolejne tryumfy sprawiły, że przeszliśmy ten kryzys i stała się rzecz niemal bezprecedensowa: uwierzyliśmy, że możemy być, albo raczej – że już jesteśmy na trwałe w elicie.

Eskadra

Po wielu latach sukcesów Adam Małysz w sposób naturalny musiał ustąpić innym. Wygrywał coraz rzadziej, coraz częściej mówił o końcu kariery. I wtedy znów nastąpiła seria nieprawdopodob-

nych zdarzeń, historia tak melodramatyczna i nachalnie symboliczna, że gdyby jakiś scenarzysta ją napisał, wylądowałaby w koszu jako zbyt grubymi nićmi szyta.

Zakopane, 23 stycznia 2011 r. Konkurs Pucharu Świata. Adam Małysz upadł po swoim skoku i został odwieziony do szpitala, zawody po raz pierwszy w karierze wygrał Kamil Stoch. „Upadł król, niech żyje król?” – pytała jedna z gazet... Nie, nie upadł. Małysz odszedł z godnością i z godnością przekazał tron swojemu następcy. Ogłosił koniec kariery, a w ostatnim swoim konkursie Pucharu Świata, 22 marca w Planicy, stanął razem z Kamilem Stochem na podium. Odchodzący mistrz zajął trzecie miejsce, następca wygrał.

Ten akt sukcesji potwierdził stabilność pozycji polskich skoków, a zarazem oznaczał początek nowej ery, związanej z dwoma elementami wprowadzanymi przez nowego lidera. Po pierwsze Stoch dopełnił wszystko to, czego zabrakło Małyszowi, na czele z trzema aż złotymi medalami olimpijskimi w konkurencjach indywidualnych (dwa w 2014, jeden w 2018) oraz zwycięstwem w Tur-

nieju Czterech Skoczni po wygraniu każdego z konkursów tego cyklu (sezon 2017/2018). Dopełnił też warunków współczesnej gwiazdy: przystojny, dobrze wypadający w mediach, nie tworzył już wizerunku kogoś, kto z nicości niemal cudem wdarł się na szczyt. W odróżnieniu od Małysza wszedł nań spokojnie, równym tempem człowieka pewnego siebie, który zgodnie z planem rozwija swoje umiejętności, aż osiągnie doskonałość.

W karierze Stocha nie ma zwrotów czy przełomów. Jest profesjonalizm, perfekcja i stabilność. To nie „orzeł”, raczej „lotnik” (do czego zresztą wprost nawiązywał kask z białą-czerwoną szachownicą noszony przez kilka sezonów), wygrywający doskonałością techniki i dowodzący, że nie tylko romantyczne wzloty mogą być źródłem polskich sukcesów. Idealny bohater kraju aspirującego do normalnego, czyli wysokiego poziomu życia, silnego europejskiego gracza już nie walczącego o uznanie, ale cieszącego się nim.

Taki wizerunek bohatera wzmacniał drugi element, który w polskich skokach pojawił się wraz z Kamilem Stochem: drużyna. Małysz długo był samotnym →

→ wojownikiem, wyjątkiem na gorzej niż przeciętnym tle. Stoch stanął na czele drużyny, która zaczęła regularnie odnosić niedostępne wcześniej sukcesy.

Największe z nich, czyli drużynowe mistrzostwo świata w 2017 i brązowy medal olimpijski rok później, dowodziły, że już nie tylko indywidualnie, ale też jako zespół Polacy potrafią się wzniesić nad innych. Co więcej – potrafią skutecznie działać jako zespół bez zamazywania indywidualnych różnic.

Złota drużyna była złożona z indywidualności o zakroju niemal sienkiewiczowskim (poważny dowódca, wspierający go równie poważni aspiranci o odmiennych aparycjach i charakterach oraz nadający całości dynamikę żartowniś), ale konsekwentnie (nawet w reklamach) pojawiała się jako zespół. W podzielonym coraz głębiej kraju stawała się marzeniem o wspólnocie, która istnieje pod skorupą konfliktów i mowy nienawiści, pozwalając nam śnić sen o ukrytej jedności, wierzyć, że „naród nasz jak lawa”.

Pęknięcia?

Bardzo możliwe, że sezon obecny przyniesie w tym trwającym już 20 lat przedstawieniu kolejną zmianę.

Po odejściu trenera Stefana Horn-gachera część zawodników jest w kryzysie. Niedługo pewnie lokującemu się w czołówce Maciejowi Kotowi brakuje formy. Stefan Hula wrócił po kilku dobrych sezonach do dawnego, słabego poziomu. Osiągający w poprzednim sezonie coraz lepsze rezultaty młody kandydat na bohatera Jakub Wolny zawodzi, obniżając (jak ostatnio w Zakopanem) wyniki drużyny. Nawet Kamil Stoch na przełomie roku skakał słabiej i dopiero zwycięstwo w Zakopanem przypomniało, że wciąż ma ogromny potencjał. Na szczęście stabilną formę zachowuje Piotr Żyła, a kibice przeżywają kolejne eksplozje entuzjazmu dzięki sukcesom Dawida Kubackiego.

Przy wszystkich różnicach Kubacki w jakiejś mierze powtarza wzór Mały-sza. Bardzo długo był daleki od szczytów klasyfikacji. Wprawdzie od kilku sezonów lokował się w pierwszych dziesiątkach, ale nie był najsilniejszym ogniwem drużyny. Wydawało się, że to raczej Kot lub Żyła mają szansę stać

się przyszłymi mistrzami. Po jego dość niespodziewanym zwycięstwie w Turnieju Czterech Skoczni znów powróciła opowieść o uporze i ciężkiej pracy, które pomimo chwil zwątpienia w końcu doprowadziły do tryumfów. Powróciła też niestety niepewność, czy nie jest to chwilowy wzlot, a słabość drużyny zachwiała przekonaniem, że już zawsze będziemy w czołówce.

Pojawiły się krytyczne komentarze na temat zaplecza polskich skoków oraz nadziei na przyszłość. Słabe wyniki młodszych zawodników, porażki w zawodach juniorów, krytyka systemu wsparcia i przygotowań – wszystko to są rysy, których na doskonałej dotąd gładkiej powierzchni polskich skoków pojawia się coraz więcej. Być może to tylko – jak zwykli mówić komentatorzy – chwilowa zadyszka. Ale możliwe też, że złota era polskich skoków weszła w fazę schyłkową.

Nie sposób tego przewidzieć, jednak niepewność, jaka pojawiła się w tym sezonie, niepewność przykrywana entuzjazmem dla niekwestionowanych sukcesów „Dawida Fruwackiego”, wydaje się być sportowym odpowiednikiem niepewności pojawiającej się w społeczeństwie i kontrastującej z propagandą trwałego sukcesu i dobrobytu. Czy krytyczne uwagi o tym, co dzieje się na zapleczu polskich skoków, nie przypominają komentarzy różnego rodzaju ekspertów twierdzących, że polskie państwo i ekonomia to kolos na glinianych nogach, który za chwilę runie?

Te lęki na pozór wydają się nie kłopotać tłumów spektakularnie świętujących zwycięstwo Kamila Stocha na turnieju w Zakopanem. Tysiące ludzi z białoczerwonymi flagami i gadżetami dostały to, po co jechały pod Tatry: radosną celebrację triumfującej wspólnoty. Ale czy wracając na niziny w kilometrowych korkach, jakie tworzą się na nowej Zakopanicy, której budowa jest poważnie opóźniona, nie przypomnieli sobie raczej porażki drużyny? Może nie. I pewnie po powrocie do domu opowiadali, że mimo wszystko było warto, bo Kamil, bo Dawid... Bo trzeba wierzyć i być z naszymi, nawet jeśli tyle co zdobyta pewność siebie zaczyna się kruszyć.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



Iluzje polexitu

OLAF OSICA

Zapatrzony w brytyjski przykład obóz rządowy chce, by miejsce wyboru cywilizacyjnego, który po 1989 r. wyrażał się w haśle „powrotu do Europy”, zajął rachunek zysków i strat.

NO I WYSZLI. PO 47 LATACH CZŁONKOSTWA Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej oficjalnie przestało być członkiem Unii Europejskiej. Gdyby próbować uchwycić stan emocji, które towarzyszą temu bez wątpienia historycznemu momentowi,



Prezydenci Emmanuel Macron i Andrzej Duda na dziedzińcu Pałacu Prezydenckiego. Warszawa, 3 lutego 2020 r.

ności państw. O realizm łatwiej w Berlinie czy Paryżu niż w Londynie i Warszawie.

Nowy mit

Mitem założycielskim zwolenników brexitu jest przekonanie, że życie poza Unią Europejską oferuje więcej szans na rozwój i daje większe możliwości wpływu politycznego w świecie. Problem z tym mitem, jak zresztą z każdym innym, polega na tym, że stoi w sprzeczności z realnym doświadczeniem i sytuacją Wielkiej Brytanii. Nie ma bowiem państwa w Unii, którego obywatele, a także elity polityczne i biznesowe nie byłyby krytyczne wobec działań instytucji europejskich, kierunku integracji czy po prostu sytuacji politycznej i gospodarczej w Europie. Nigdzie jednak, mimo kryzysu gospodarczego i finansowego, nie powstała masa krytyczna dla wyjścia z Unii. Nawet w Szwecji czy Danii, które mają silne poczucie własnej odrębności i suwerenności.

Przypomnijmy też, że Wielka Brytania nie jest w strefie euro, choć czerpie z obsługi jej rynku finansowego gigantyczne zyski. Nie należy też do strefy Schengen i ma suwerenną kontrolę nad swoją polityką imigracyjną. W rokowaniach budżetowych korzystała z wynegocjowanego w 1984 r. przez Margaret Thatcher rabatu, który obniża składkę netto Londynu, co daje około 6 mld euro rocznie, pokrywane przez innych członków. Gdzie więc leży problem?

Po pierwsze, w motywach członkostwa. Mimo swej niekwestionowanej europejskości i roli Churchilla w rozwoju idei integracji europejskiej, Wielka Brytania nie przystąpiła do Wspólnoty Węgła i Stali, a następnie traktatów rzymskich. W odróżnieniu od Francji, Włoch, państw Beneluksu, o Niemczech zachodnich nie wspominając, brytyjska elita polityczna żyła w przekonaniu, że zwycięstwo w II wojnie światowej i dobry – na tle ówczesnego kontynentu – stan gospodarki, w połączeniu z dostępem do kolonii, daje jej komfort podążania własną drogą.

Rzeczywistość okazała się bardziej złożona. Imperium w Azji i Afryce zaczęło się →

byłoby nim ogromne zmęczenie. Polityków, biznesu, obywateli i czytelników gazet, którzy przez ostatnie trzy lata byli świadkami najbardziej męczącego procesu politycznego w Europie XXI stulecia.

Zwolennicy brexitu, zarówno ci na Wyspach, jak i na kontynencie, liczą, że stanie się on nowym mitem założycielskim polityki europejskiej: uzdrowi instytucje, otrzeźwi elity i przywróci prymat narodowego nad „brukselskim”. Brexit ma być nadzieją, że wzniesiona na nim nowa „Europa ojczyzn” okaże się konstrukcją solidniejszą i bogatszą niż obecna Europa wspólnych instytucji.

Przeciwnicy brexitu są bardziej pesymistyczni. W styczniowej rozmowie z dziennikiem „Financial Times” Angela Merkel mówi o dzwonku ostrzegawczym dla Unii, która traci swoją konkurencyjność na świecie w obszarze technologii, badań i edukacji. Stwierdza też rzecz oczywistą dla wszystkich: Europa nie jest już centrum światowych wydarzeń, zainteresowanie kontynentem ze strony Stanów

Zjednoczonych maleje, a budowany do spółki z Amerykanami ład światowy odchodzi w przeszłość.

Wyzwaniem dla Europy nie jest więc walka o przywództwo, ale uniknięcie wypchnięcia z grona tych, którzy rozdają karty w grze o nowy kształt świata. Bez Wielkiej Brytanii o sukces będzie jednak trudniej – niezależnie od tego, że Wielka Brytania w pojedynkę skazana jest na rolę statysty.

Kto w tym sporze ma rację i jak potoczą się nasze losy, tego oczywiście nie wiemy. Jeśli nawzajem życzymy sobie dobrze, powinniśmy trzymać kciuki, aby zarówno nadzieje pokładane w brexicie, jak i obawy z nim związane stworzyły nową magiczną formułę integracji europejskiej, w której każdy znajdzie sobie miejsce, a świat odtrąbi renesans Europy.

Problem w tym, że więcej trzeźwego oglądu rzeczywistości w ocenie sytuacji Europy można dziś znaleźć u pesymistów, czyli liberalnych zwolenników integracji, niż optymistów, czyli konserwatywnych zwolenników silnej suweren-

→ rozpadać, Stany Zjednoczone brutalnie egzekwowały swoje „lenne prawa” (kryzys sueski w 1956 r. był tego bolesnym dowodem), a utworzenie Europejskich Wspólnot Gospodarczych przyniosło wzrost konkurencyjności gospodarczej i w efekcie rozwój na kontynencie. Wielka Brytania stanęła więc w kolejce do członkostwa w EWG szukając szans na rozwój gospodarczy, ale bez zainteresowania innymi stronami integracji. Szanse dostała dopiero za trzecim razem, w 1972 r.

Drugim źródłem problemu był rozwijany od lat 80. model rozwoju społeczno-gospodarczego, czyli era Margaret Thatcher. Deregulacja rynków, stopniowe wycofywanie się państwa z funkcji opiekuńczych i przechodzenie gospodarki na model oparty na sprzedaży usług finansowych i doradczych dały Wyspom silny impuls rozwojowy, ale zarazem pogłębiły nierówności społeczne. Przemysł brytyjski tracił konkurencyjność i miejsca pracy. Ratunkiem okazały się inwestycje zagraniczne i ograniczanie globalnej roli. Przestrzenia, w której Wielka Brytania oddawała kolejne perły w koronie, od Hongkongu po Rolls-Royce’a, była już jednak Unia Europejska, a nie pozostałości dawnej Wspólnoty Narodów. A w społeczeństwie narastał gniew.

To, że integracja europejska okazała się dla Wielkiej Brytanii bardziej dotkliwa niż dla Danii czy Irlandii, które razem z nią dołączyły do EWG w 1973 r., było bardziej wynikiem rozpadu imperium rozumianego jako stan umysłu niż reakcją na rzeczywiste przewiny Brukseli. „Błogosławiony spiszek”, którym było członkostwo w Unii – jak pisał Hugo Young w znakomitej książce o takim właśnie tytule („This Blessed Plot: Britain And Europe From Churchill To Blair”, 1998) – pozwalał pielegnować iluzję brytyjskiej potęgi tłumionej przez kontynentalną Europę. Aż przyszło rozszerzenie Unii, a wraz z nim milion migrantów ekonomicznych z nowych państw członkowskich. To była iskra, której brakowało wcześniej.

Zwrot przez rufę

W polskiej debacie politycznej mit brexitu ma mocne oparcie w tezie, że wszystkiemu winna jest polityka Unii Europejskiej (i Donald Tusk). Siła i konsekwencja, z jaką politycy narodowi oraz znaczna część obozu rządowego powtarzają tę tezę, pokazuje, że jesteśmy świadkami

Brakuje nam pomysłu, odwagi i woli

do potraktowania integracji europejskiej jako przedłużenia własnych celów politycznych i interesów gospodarczych.

próby przemodelowania polskiego stosunku do integracji europejskiej. Miejsce wyboru cywilizacyjnego, który po 1989 r. wyrażał się w hasle „powrotu do Europy”, ma zająć rachunek zysków i strat.

Zmiana podejścia do UE na bardziej pragmatyczne, a mniej emocjonalne jest oczywiście nieuchronna. Wiąże się z mocnym osadzeniem naszej codzienności w kontekście gospodarki i polityki europejskiej. Na naszych oczach upadło wiele mitów o „wspaniałym Zachodzie” i związanych z nimi polskich kompleksach. Próba „zwrotu przez rufę” i ustawienia się w kontrze do kontynentu jako neofici anglosaskiej racjonalności jest jednak skazana na porażkę.

Powodem jest nie tylko widoczna gołym okiem różnica potencjałów, kultury, historii, geografii, które odróżniają współczesną, kontynentalną polskość od wyspiarskiej brytyjskości. Jest nim przede wszystkim sens bycia częścią Unii. Dla Wielkiej Brytanii, jak wspomnieliśmy, wejście w integrację europejską było niechcianą koniecznością wymuszoną gospodarczym kryzysem i lękiem przed polityczną marginalizacją u boku USA. Dla Polski członkostwo w Unii wiązało się z odzyskaniem suwerenności i sprawczości rozumianej nie jako dumnie brzmiący zapis Konstytucji, ale narzędzie realnego wpływu na własny los. Było też wehikułem rozwoju gospodarczego, którego Polska nie widziała od kilkuset lat.

Innymi słowy, integracja europejska umożliwiła nam powrót z bardzo długiej podróży po przypisach historii. Dla Brytyjczyków stała się natomiast świadectwem tego, że miejscem Pax Britannica pozostaną już na zawsze podręczniki historii.

Ambitny outsider

Unia Europejska bez Wielkiej Brytanii będzie inna. To oczywiste. Choć od czasu Tony’ego Blaira (premiera w latach 1997–2007) Londyn nie przejawiał większych

ambicji w kształtowaniu polityki europejskiej, to pozostawał jednym z jej kluczowych graczy. Konsekwentnie bronił otwartego modelu Unii zarówno w polityce handlowej i inwestycyjnej, jak w kwestii rozszerzenia. Był w opozycji do polityki francuskiej, akcentującej eksklusywność Unii i forsującej etatystyczny model gospodarczy. Mimo porozumienia z St. Malo z 1998 r., które utorowało drogę budowie unijnej polityki bezpieczeństwa i obrony, spojrzenie Brytyjczyków na NATO i rolę USA było zawsze inne niż spojrzenie Francuzów. W sporze dwóch byłych imperiów, zawzięcie broniących swej suwerenności i wyjątkowości, rolę pośrednika pełniły często Niemcy.

Dzisiaj Francja i Niemcy stają naprzeciw siebie po raz pierwszy jak równi, choć źródła ich przewag są odmienne. Dla Niemiec jest to wciąż gospodarka, dla Francji – siła militarna. Obawy o francusko-niemiecką dominację są jednak przesadzone. Ani Paryż, ani Berlin nie mają wspólnego pomysłu na przyszłość Europy, choć podzielać diagnozę o jej słabnięciu. Będą potrzebować innych do dzielenia się odpowiedzialnością: Hiszpanów, Włochów, a może zrzeszającej małe kraje, nowej Ligi Hanzeatyckiej, która jest nieformalnym rzecznikiem interesów Północy.

Przy mądrej polityce i odrobinie szczęścia także Polska może próbować wypełnić część przestrzeni politycznej opróżnionej przez Wielką Brytanię. Po brexicie jesteśmy największym państwem, które pozostaje poza strefą euro, ale odnotowuje mocny i stały wzrost gospodarczy. Stajemy się najbliższym politycznie spośród dużych sojuszników Waszyngtonu. Trzeba jednak pamiętać, że posiadamy ułamek siły i wpływu, który nad Potomakiem mają Wielka Brytania, Niemcy czy Francja.

Brakuje nam wciąż pomysłu, odwagi i woli do potraktowania integracji europejskiej jako przedłużenia własnych celów politycznych i interesów gospodarczych. Brakuje nam nowej definicji polskości jako nierozzerwalnej części współczesnej Europy. Naszym potencjalnym problemem nie jest polexit, lecz mentalny dryf w stronę ambitnego outsidera, którym była w Unii Wielka Brytania. Państwa, które – wedle słów Hugo Younga – zmagają się z tym, jak „pogodzić przeszłość, której nie potrafiło zapomnieć, z przyszłością, której nie mogło uniknąć”.

© OLAF OSIĆKA



ARCHIWUM PRYWATNE / WYDAWNICTWO LITERACKIE

Dorota Danielewicz z synem Janem, 2019 r.

Odszkodowanie od losu

DOROTA DANIELEWICZ, DZIENNIKARKA, AUTORKA KSIĄŻKI „DROGA JANA”:

Jan tracił wszystkie umiejętności, a ja, jak Syzyf, któremu ciągle stacza się kamień, starałam się, by nie zanikały. A one zanikały tak czy tak.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowiedz o życiu przed narodzeniem Jana?

DOROTA DANIELEWICZ: Najpierw to było życie w Polsce. Ale tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego wyemigrowałam do Berlina Zachodniego. To był traumatyczny wyjazd, właściwie rodzice mnie „uprowadzili”, jak często żartobliwie mówię. Dotąd mieszkalam w Poznaniu, miałam chłopaka, plany, chciałam wrócić do szkoły, sądziłam, że jedziemy tylko na wakacje. Nie znałam języka niemieckiego. Więc szok i trauma.

Co dalej?

Przyzwyczajałam się powolutku do nowego świata. Kiedy wyprowadziłam się z domu, studiowałam slawistykę i antropologię społeczną, trochę podróżowałam,

przez rok pracowałam w ONZ w Nowym Jorku, miałam wielu znajomych, w sumie prowadziłam beztrudne życie. Potem zaczęłam się angażować w pojednanie polsko-niemieckie, organizowałam kilka razy Dni Literatury Polskiej. Na studiach spotykam swojego przyszłego męża – Basila Kerskiego. Już krótko po ślubie oczekuję dziecka. W ciąży czuję się dobrze, z wielkim brzuchem piszemy wspólnie z Basilem reportaże. I jeździmy z Peterem Adamikiem, świetnym fotografem, po terenach granicznych polsko-niemieckich. Wszyscy są ciekawi, co tam się dzieje po upadku muru berlińskiego. Jeszcze szlifuję pracę magisterską o dwujęzycznej twórczości Stanisława Przybyszewskiego, ledwo daję radę skończyć przed rozwiązaniem. 12 września 1993 roku rodzi się Jan.

Dostaje maksymalną liczbę punktów w skali Apgar. Takie rzeczy młodą matkę czynią szczęśliwą.

I wszystko jest w porządku. Problemy jak to z małymi dziećmi: miał kolki, w nocy budził się do karmienia. Może mnie trochę niepokoiła jego nadwrażliwość na moją nieobecność, bardzo domagał się uwagi. Miałam jeszcze kilka egzaminów końcowych i nie mogłam się uczyć, ponieważ jak tylko odbiegałam od niego myślami, natychmiast czułam, że jestem gdzie indziej, i zaczynał płakać. A jeszcze później nie mogłam się sama kąpać, bo stał przed prysznicem i płakał, aż do niego nie podeszłam. To było męczące i wzruszające jednocześnie.

I w granicach normy.

Niepokojące było to, kiedy Jan, już później, nie był w stanie złapać piłki. Wyciągał rączki, ale piłka przelatowała przez nie jak przez dziurawe wiadro. Albo bez powodu przewracał się na ulicy. Albo nie był w stanie zbudować zdania warunkowego – cała gramatyka mu się waliła. To zauważył pediatra, w okolicach czwartego roku życia. Mimo to wychowywałam go dwujęzycznie, dawałam radę. Pierwsze podejrzenie było o epilepsję, potem, że rak. Zrobiliśmy EEG mózgu metodą amerykańską: przez kilka godzin lekarka →

→ dawała Janowi do wykonania zadania, a fale były rejestrowane. Okazało się, że niektóre płyty mózgu nie funkcjonują jak należy. Dostałam tego bardzo dokładny opis, poszłam z Janem do pediatri, który to wszystko zignorował, pocieszał, że to niekoniecznie coś oznacza, że Jan z tych problemów wyrośnie. Prawdę mówiąc, żaden z lekarzy nie miał pojęcia, co zrobić z objawami.

Diagnoza została postawiona po ośmiu latach – kiedy Jan na badania przyjeżdżał już na wózek.

Dopiero z Twojej książki „Droga Jana” dowiedziałam się o istnieniu galaktosialidozy – choroby przemiany materii. Na świecie odnotowano zaledwie 80 przypadków.

Do dzisiaj, jak idę do neurologa, to widzę zdenerwowanego lekarza walącego w klawiaturę laptopa i starającego się odnaleźć jakiegokolwiek informację na temat galaktosialidozy czy prościej: syndromu Goldberga. Chodzi o to, że w pewnym momencie u Jana przestały pracować dwa z przeszło dwóch tysięcy enzymów, a w mózgu zaczęła się zbierać „biała substancja” hamująca przekazywanie sygnałów neurologicznych do ciała. Gdyby choroba przebiegała według prognoz lekarzy, to Janowi powinny wyjść nerki i wątroba. Powinien był oślepnąć i umrzeć przed 18. rokiem życia. A Jan żyje i ma 26 lat.

W Twojej książce są akapity, które opisują prawdę uniwersalną, dotyczącą matek i dzieci chorych i zdrowych, które przez otoczenie są osądzane i wprowadzane w poczucie winy.

Dla otoczenia łatwiej jest, gdy dziecko od początku jest niepełnosprawne albo kiedy następuje jakaś konkretna choroba czy wypadek. A u Jana był proces odwrotny – ze zdrowego człowieka przemieniał się w niepełnosprawnego, bez diagnozy. Wiedziałam, że dostaje od nas dobrą opiekę, lecz środowisko tego nie widziało. Przedszkolanki patrzyły na mnie podejrzliwie, koleżanki dawały złote rady, rodzina mówiła, że mam gapowatego syna, bo go rozpieszczęm. Ciągłe głupie uwagi.

Jak sobie z nimi radziłaś?

Nie radziłam sobie. Milczałam, tłumiłam wściekłość. Za każdym razem byłam zaskoczona, zszokowana, bezradna.

Gdyby choroba przebiegała według prognoz lekarzy,
to Jan powinien był oślepnąć i umrzeć przed 18. rokiem życia.

A Jan żyje i ma 26 lat.

Impulsem do napisania „Drogi Jana” był zorganizowany w Warszawie w 2018 roku protest ludzi niepełnosprawnych i ich opiekunów. Ci ludzie przez 40 dni koczujący w Sejmie zostali kompletnie sami. Nie ujęty się za nimi związki zawodowe, Kościół, lewica. Jeśli coś im okazywano, to obojętną życzliwość.

Gdy ten protest trwał, byłam w Warszawie na finale Nagrody im. Kapuścińskiego, której to kapitułą byłam członkiem. Poszłam pod Sejm w dzień, kiedy do protestujących przyjechał Lech Wałęsa. Z nieba lał się żar, pod Sejmem kilka osób na wózkach inwalidzkich. Wzruszyli mnie wszyscy, którzy tam stali, szczególnie ci starsi, którym słońce musiało dokuczać. Czułam więc z tymi matkami. A jeszcze wcześniej w telewizji widziałam Iwonę Hartwich – liderkę protestów, mamę Jakuba z porażeniem mózgowym – która pytała jakąś posłankę: „Pani wie, jak my się czujemy?”.

Czułam samotność, rozpacz i miłość tych wszystkich matek dzieci, które w większości przypadków nigdy nie będą samodzielne.

W Niemczech system opieki społecznej działa sprawniej?

Też nie jest idealnie. Brakuje płynnej komunikacji pomiędzy urzędami. Nieraz miałam poczucie, że jestem pentką, której jak najszybciej wszyscy chcą się pozbyć. Przykład? Jan miał dostać podstawową rentę, do tego było potrzebne orzeczenie o niezdolności do pracy. Załatwiłam to w urzędzie socjalnym, w którym przechowywane są jego akta. Wiadomo, że jest nieuleczalnie chory, ale została wysłana do urzędu pracy, który miał to ponownie potwierdzić. A to oznaczało, że z Janem na wózku muszę przejechać przez cały

Berlin. Był taki okres, że dzwoniłam od urzędu do urzędu. Ci ludzie podawali sobie Jana jak piłeczkę.

Z jednej strony kulawy system, a z drugiej wspaniali ludzie, jak mężczyzna, który pożyczył Janowi wiolonczelę.

Jana fascynacja wiolonczelą zaczęła się od filmu dla dzieci „Gwiazdka Laury”, na którym byliśmy w kinie. Na punkcie tego filmu miał dosłownie fioła. Rysowałam mu smyczki i wiolonczelę, wycinałam z papieru gwiazdkę, a na jej złamane ramię naklejałam plaster. Kiedyś poszłam zbadać wzrok, bo cierpiałam na dokuczliwe migreny. W ten sposób trafiłam do pobliskiego optyka. Od słowa do słowa opowiedziałam mu o fascynacji Jana, a on na to, że na zapleczu trzyma wiolonczelę, na której miała grać jego córka, lecz nie wykazuje chęci. I w pełnym zaufaniu pożyczył mi instrument. Próbowałam na niej grać. Jana to cieszyło, ale jednak ceni w sztuce profesjonalizm (*śmiech*). A wiolonczela była z nami rok. Potem ją musiałam oddać, bo córka optyka zdecydowała, że będzie grać.

A ta historia z krzyżem?

Jan był jeszcze mały, byliśmy na wakacjach w Polsce i co chwilę natykał się na przydrożne krzyże. Zapytał, dlaczego ten pan wisí na krzyżu. Tłumaczyłam, że Jezus został ukrzyżowany przez niedobrych ludzi.

Naprzeciwko naszego mieszkania w Berlinie stoi ewangelicki kościół św. Marka. Jan bardzo lubił tam chodzić. Nad ołtarzem wisiała figura Jezusa, w białej szacie, z rozpostartymi rękoma, jakby frunął. Piękny i przyjazny Jezus. Ten kościół był otwarty rzadko, w trakcie nabożeństw i przez dwie godziny w sobotę. Naszym sąsiadem był wtedy emerytowany pastor z tego kościoła, kochany człowiek. Kiedy usłyszał, że Jan lubi pożyć w kościele, powiedział: „Musicie mieć wobec tego własny klucz”. I zorganizował klucz, bym mogła tam chodzić, kiedy tylko Jan zapragnie. Nieraz po powrocie ze szkoły patrzył przez nasze okno, skąd widać wieżę kościoła, i pytał, czy możemy odwiedzić Jezusa. Wtedy już źle chodził, więc prowadziłam go pod pachę, musieliśmy zejść z trzeciego piętra obłożeni pluszakami – misiami, pieskami, teletubisiami – bo my Jezusa odwiedzaliśmy sporą grupą. Siadaliśmy

w pierwszej ławce i Jan rozmawiał z Jezusem.

O czym rozmawiał?

Gdy odbyło się w szkole ognisko, to opowiadał, że było ognisko, mówił wtedy „Feuer” i „Springen” – raz w roku na św. Jana dzieci skakały przez ognisko. Jeśli na dworze był śnieg, to mówił „Schnee”, jak miał urodziny, to opowiadał, że dostał prezent. No i śpiewaliśmy „Pszczołkę Maję”, „Pieski małe dwa” lub wymyślone przeze mnie piosenki.

Śpiewaliście dla przyjaciela Jana.

To była modlitwa Jana, dzielenie się swoim życiem. Mieliśmy frajdę: siedzieliśmy w kościele sami i na całe gardła mogliśmy się wydzierać, a akustyka jest w kościele dobra. O dziwo nikt nas tam nigdy nie zauważył.

A później z krzyżem zrobił się ogromny kłopot. Jan już właściwie nie mówił, w głowie utkwiło mu słowo „Kreuz”. Więc wszystkie okna, które były typowo podzielone na cztery części, napawały go lękiem. W łazience mieliśmy takie okno i odmawiał wchodzenia do niej. Ale najgorsze było to, że nie chciał siadać na miejscach dla niepełnosprawnych w autobusie czy w metrze, ponieważ one też są oznaczone krzyżykiem.

Czym dziś interesuje się Jan?

Trudno powiedzieć. Jego sprawność umysłowa jest mniejsza, całkiem też przestał mówić. Na pewno chętnie przebywa pomiędzy ludźmi, reaguje na ładne dziewczyny, od razu się uśmiecha, okazuje zachwyt. I lubi twarze. Od lat robimy dla niego albumy zalaminowane w folii – bo Jan swoją motoryką niszczył książki, wyrzywał kartki. W te zalaminowane kartki wkładamy wycinki z gazet i właśnie zdjęcia twarzy. Ale najbardziej Jan lubi twarz na żywo.

I lubi Aleksandra, swojego młodszego brata.

Aleksandra to Jan kocha. Ale gdy Aleksander był nastolatkiem, negował go. Bardzo wyczuwa nierównowagę emocjonalną, a to część nieodzowna dojrzewania. Wtedy Jan wyrzucał Aleksandra ze swojego pokoju, reagował na niego krzykiem. To Aleksa frustrowało, odbierało chęć kontaktu. Później Aleksander dorósł, zmężniał i zauważył sam, że może bratu pomóc, choćby przytrzymu-

jąc go przy wstawaniu. Odkrył w sobie tę siłę i stał się przez to pewniejszy siebie i bardziej suwerenny. Kiedyś powiedział: „Muszę dobrze zarabiać i mieć wielki dom, żeby się opiekować Janem, jak was nie będzie”. Wybiłam mu to z głowy – ma prawo do własnego życia.

A Ty?

Kiedyś nauczycielka Jana, która go bardzo dobrze знаła, powiedział mi, że powinien zamieszkać osobno. Zauważyła, że nie daję mu żadnych nowych impulsów i że zaczynam go rozpieszczę. Tracił wszystkie swoje umiejętności, a ja, jak Syzyf, któremu ciągle stacza się kamień, starałam się, by one nie zanikały. A one zanikały tak czy tak. To znamie galaktoidalizy.

Kiedy Jan zamieszkał w takim domu dla dzieci i młodzieży, znowu zaczęto tam kombinować, co zrobić, by jednak jadł samodzielnie. I zrobiono dla niego specjalnie przygięty widelec, którym, okazało się, dawał radę jeść. Słowem, Janem musieli zająć się ludzie, którzy go nie znali wcześniej i nie obserwowali tracenia jego umiejętności. Po niemiecku mówi się, że się odbiera kogoś w tym miejscu, w którym stoi, nie oglądając się na przeszłość, liczy się tu i teraz.

Dziś, po kolejnym roku spędzonym ze mną w domu, Jan mieszka w niezwyklej wspólnocie dla osób niepełnosprawnych, z siedmioma innymi ludźmi w wielkim mieszkaniu. Wszyscy są pod opieką asystentów. Regularnie go odwiedzam, nie możemy rozmawiać przez telefon, wszystko trzeba sprawdzać na miejscu, uzyskiwać informacje od opiekunów. W weekendy bywa w domu albo idziemy na spacer.

No dobrze, a Ty?

Życie z Janem, jakkolwiek byłoby ono piękne, jednocześnie było pełne ograniczeń. W ogóle nie mogłam zbudować sobie porządnej, przynoszącej regularne dochody drogi zawodowej. Ktoś musiał ogarnąć dom, dzieci, chorobę. Teraz, kiedy Jan już nie mieszka w domu, mam oczywiście czas dla siebie, ale w moim wieku skończyły się możliwości jakiegokolwiek mieszczańskiej „kariery” zawodowej. I jednocześnie w zamian otrzymałam beczenną wręcz możliwość rozwoju i refleksji. W pewnym sensie to rodzaj odškodowania od losu. Najważniejszą lekcją Jana jest przyjęcie wszystkiego takim,

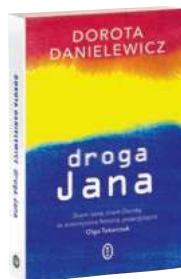
jakie jest – oddanie się życiu, którego nam przyszło doświadczać w całości i bezwarunkowo.

Piekielnie trudne wyzwanie.

Dotąd byłam przede wszystkim zaangażowana w rodzinę, nie tylko w sprawy Jana, ale też Aleksandra i męża. Kiedy Basil poszedł do pracy do Gdańska, ja zostałam w Berlinie. Nie było takiej opcji, aby przenieść się z Janem do Polski, to niemożliwe – w Berlinie są struktury wspierające osoby niepełnosprawne, tu są moi rodzice i przyjaciele. Zresztą Basila pochłoneła praca. Byliśmy ze sobą wiele lat – pięknych i trudnych. To, że dałam Basilowi wolność, aby tworzył ECS, napawa mnie dumą. Widzę w ECS mój specyficzny, ukryty wkład, jego fundament to siła kobiety, siła matki. I Basil jest tego świadomy, powiedział kiedyś, że beze mnie nie byłby tym, kim jest. Kiedy mu gratulowałam Nagrody im. Turowicza, napisał do mnie SMS-a: „Twoja książka jest ważniejsza”. A ja mu odpowiedziałam, że wiem. Lubię moje życie, nawet jeżeli nawiedził je potwór zwany galaktoidalizą. To dzięki niemu dowiedziałam się w całej pełni, jak wielka jest moja moc, moc kobiety.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



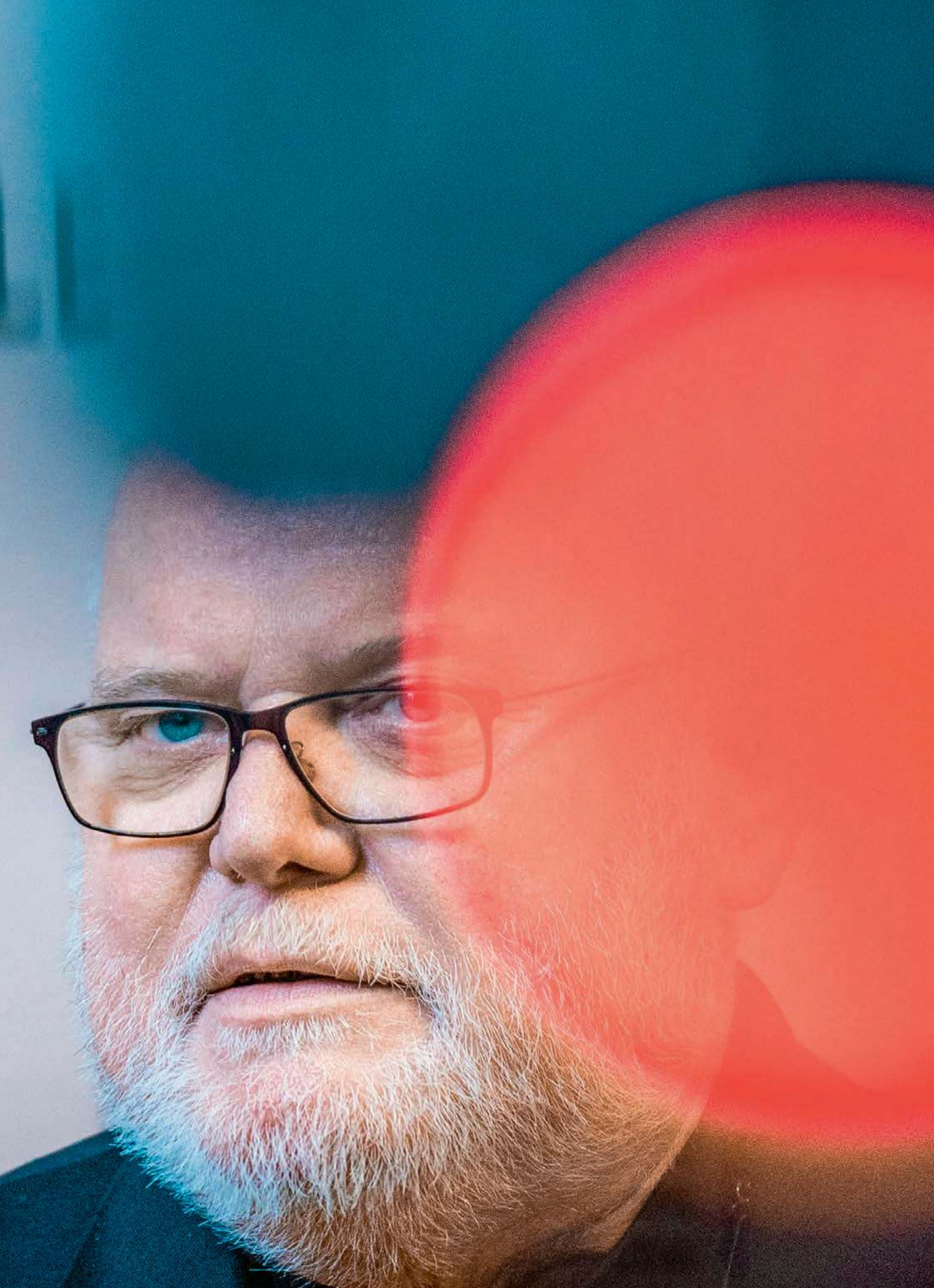
DOROTA

DANIELEWICZ

(ur. 1964) jest dziennikarką, sławistką, pisarką. W wieku szesnastu lat wyemigrowała z rodzicami do Berlina, gdzie mieszka do dziś.

Studiowała na

Freie Universität w Berlinie i Ludwig Maximilians Universität w Monachium. Redaktorka antologii poezji polskiej „Kochać to, co niewidzialne” i, wspólnie z Maciejem Górnym, opracowania „Berlin. Polnische Perspektiven”. W 2013 r. ukazała się jej książka „Berlin. Przewodnik po duszy miasta” (W.A.B.). W tym roku ukazała się kolejna książka – „Droga Jana” (WL).



ZAMIAST PIRAMIDY

Niemiecki eksperyment to wkroczenie na nieznany w Kościele teren. Jak powiedział jeden z uczestników Drogi Synodalnej, „szlak wytyczany jest w miarę wędrówki”.

ARTUR SPORNIAK

WYDARZENIE JEST BEZ PRECEDENSU. Wszyscy urzędujący w Niemczech biskupi – jest ich 69, diecezjalnych i pomocniczych – zdecydowali się zejść z nauczycielskich katedr i jak równy z równym (po niemiecku dosł. „na poziomie oczu” – „auf Augenhöhe”) zacząć rozmawiać ze świeckimi o palących problemach kościelnych i etycznych. O monopolu władzy skupionej w ich rękach, pozostającej w praktyce poza kontrolą i poza odpowiedzialnością. O tym, jak ten monopol przełamać. O zawężeniu dopuszczalnej moralnie ekspresji seksualnej do małżeńskiego stosunku seksualnego (koniecznie „otwartego na życie”, choćby para była bezpłodna), tak jakby inne osoby – nieżyjące w małżeństwach – były asekualne i tak jakby seksualność pojawiała się nagle w gotowej postaci w noc poślubną. O niezrozumiałej dysproporcji (przypisywanej woli Boga) polegającej na tym, że nieliczni przedstawiciele męskiej połowy Kościoła katolickiego mają przywilej decydowania o życiu religijnym m.in. całej żeńskiej połowy. W końcu o celibacie, czyli obowiązkowej beżenności wymaganej od księ-

ży – owszem, generalnie wartościowej i praktycznej w kierowaniu Kościołem, ale czy rzeczywiście zawsze niezbędnej i zawsze dobrej?

Dyskusja na te tematy jeszcze do niedawna – za pontyfikatu Benedykta XVI, a szczególnie za pontyfikatu Jana Pawła II – była skutecznie blokowana. Dziś jest treścią Drogi Synodalnej: dwuletniego eksperymentu podjętego przez niemiecki episkopat wspólnie z Centralnym Komitetem Niemieckich Katolików (ZdK).

Od 31 stycznia do 2 lutego we Frankfurcie nad Menem odbyła się pierwsza sesja tego wyjątkowego forum. Zgromadziła 230 delegatów, w tym 69 biskupów i 70 kobiet. Zgromadzenie kierowane jest przez prezydium, które tworzą przewodniczący episkopatu, kard. Reinhard Marx i jego zastępca, biskup Osnabrück Franz-Josef Bode oraz przewodniczący ZdK Thomas Sternberg ze swoją zastępczynią Karin Kortmann. Ustalono, że wytyczne będą przyjmowane większością dwóch trzecich głosów, pod warunkiem, że za ich uchwaleniem zagłosuje dwie trzecie biskupów, a w zgłoszonych wcześniej przypadkach – ponad połowa kobiet. Na pierwszym spotkaniu wybrano cztery 35-osobowe fora tematyczne, które redagować będą dokumenty. Spotkań przewidziano cztery, wszystkie odbędą się we Frankfurcie. Następne – 3-5 września.

Kard. Reinhard Marx, przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, podczas konferencji prasowej nt. Drogi Synodalnej, Frankfurt nad Menem, 30 stycznia 2020 r.

Nowa epoka

→ „Omawiane we Frankfurcie zagadnienia są dyskutowane w Austrii od ponad 20 lat, ale dotychczas nigdy na oficjalnym poziomie kościelnym” – komentował obrady Wolfgang Rank, przewodniczący austriackiej Katolickiej Rady Świeckich, zaproszony do Frankfurtu jako obserwator. Nie krył entuzjazmu. Rzeczywiście, w 1995 r. Austria przeżyła wstrząs związany z ujawnieniem seksualnego wykorzystywania kleryków przez metropolitę Wiednia kard. Hansa Hermanna Groëra. Groër został później usunięty ze stanowiska, a wśród świeckich w krajach niemieckojęzycznych powstał reformatorski ruch *My Jesteśmy Kościołem* (*Wir sind Kirche*). Wśród postulatów ruchu znalazło się m.in. przewyciężenie przepaści między duchownymi a świeckimi, współdecydowanie o wyborach biskupów, diakonat stały dla kobiet, celibat jako wolny wybór, uznanie prymatu sumienia człowieka w decyzjach dotyczących etyki seksualnej, udzielanie komunii rozwodnikom żyjącym w nowych związkach, interkomunia z protestantami.

Historia w ciągu jednego pokolenia jakby zatoczyła koło. Ale jest ważna różnica: wtedy hierarchia nie zareagowała, dziś rozmawia, zrównując swój głos ze świeckimi. Można rzec: otwiera się nowa epoka w Kościele. Jednak nie rodzi się ona bezboleśnie.

Krytycy i obrońcy

Główny krytyk Drogi Synodalnej, metropolita Kolonii kard. Rainer Maria Woelki (sceptyków wśród biskupów jest pięciu, wszyscy jednak uczestniczą w spotkaniach), po pierwszym spotkaniu powiedział w rozmowie z portalem domradio.de, że „spełniły się wszystkie jego obawy”, a podczas trzydniowych obrad został zakwestionowany porządek hierarchiczny Kościoła. Jego zdaniem w wielu wystąpieniach pominięto „istotne przesłanki natury eklezjalnej w odniesieniu do tego, czym jest Kościół katolicki”. Jeszcze przed rozpoczęciem tego procesu obawiał się, że „po-przez sposób, w jaki to wydarzenie zostało ukonstytuowane, będzie to rodzaj protestanckiego parlamentu kościelnego”. „I to się właściwie stało” – podkreślił kard. Woelki.

Kard. Marx nie chciał bezpośrednio odnosić się do tej krytyki, zauważył jedynie, iż nie powinniśmy się tak wypowiadać,

Reforma oparta
na samooczyszczeniu
Kościoła nie wystarczy.

**Potrzebny jest
ruch niestandardowy.**

jakby „protestanckość” była „brzydkim słowem”.

Kard. Woelki nie wziął chyba pod uwagę, że z wysokości biskupiego stolca można wielu rzeczy nie słyszeć. Na przykład głosu ludzi świeckich wskazujących, że produktem ubocznym obecnego samorozumienia Kościoła i jego funkcjonowania jest klerykalizm, który sprzyja patologiom. Reforma oparta na samorozumieniu i samooczyszczeniu Kościoła nie wystarczy. Potrzebny jest ruch niestandardowy. Wskazuje na to preambuła statutu Drogi Synodalnej: „Koncentrujemy się na pytaniu o Boga i sposobie, w jaki On chce iść dzisiaj z ludźmi. Widzimy, że dla wielu ludzi to sam Kościół przesłania obraz Boga”.

Są też reakcje historyczne. Kard. Gerhard Ludwig Müller, emerytowany prefekt Kongregacji Nauki Wiary, który w obradach nie uczestniczy, porównał Drogę Synodalną z ustawą podjętą przez niemiecki Reichstag w marcu 1933 r., na mocy której władza ustawodawcza przeszła w ręce Adolfa Hitlera. Wypowiedź Müllera spotkała się z ostrą krytyką. Biskup Würzburga Franz Jung uznał jego słowa za „szczególnie niezręczne”. Podkreślił, że takie wypowiedzi w niczym nie pomogą, u podstaw Drogi Synodalnej leżą zaś decyzje episkopatu i „trzeba je szanować”.

Odpowiadając na zarzut bezprawnego zamachu na doktrynę Kościoła, można wskazać, że przyjęty statut wyraźnie stwierdza: „Decyzje Zgromadzenia Synodalnego nie mają same w sobie skutków prawnych. Władza Konferencji Episkopatu i poszczególnych biskupów diecezjalnych, w ramach ich odpowiednich kompetencji ustawodawczych i nauczania, pozostaje nienaruszona przez te uchwały”. Ten zapis powinien uspokoić obawy, że Droga Synodalna chce narzucać zmiany ponad prawem. Uczestnicy Drogi spodziewają się jednak, że uda im się coś zmienić w Kościele, skoro ostatni artykuł statutu brzmi: „Trzy lata

po swoim ostatnim spotkaniu Zgromadzenie Synodalne pod przewodnictwem Prezydium zbierze się znowu, aby ocenić wdrożenie wyników Drogi Synodalnej”.

Tę zagadkową niejasność rozwikłali – jak sami uważają – konserwatywni katolicy północnoamerykańscy, którzy z niepokojem śledzą rozwój wypadków w Niemczech. Kanadyjski portal LifeSiteNews alarmuje, że „zbliżająca się reforma kurii rzymskiej może mieć daleko idące konsekwencje dla Kościoła katolickiego w Niemczech, potencjalnie prowadząc do zatwierdzenia obecnej prowadzonej Drogi Synodalnej”. Papież ma bowiem niebawem ogłosić konstytucję zmieniającą ustrój kurii. Według przecieków ma w tym dokumencie przekazać część doktrynalnych uprawnień krajowym konferencjom episkopatów, realizując zapowiedzianą decentralizację Kościoła. Jeżeli rzeczywiście tak by się stało, w trakcie dwuletniego trwania Drogi Synodalnej episkopat niemiecki uzyskałby uprawnienia do wprowadzenia zmian doktrynalnych.

Sens drogi

Niemiecka Droga Synodalna nie byłaby możliwa bez programowej adhortacji Franciszka „*Evangelii gaudium*”. Warto przyjrzeć się, jak papież rozumie w niej doktrynę. Przede wszystkim powtarza za słowami encykliki Benedykta XVI „*Deus caritas est*”, że wiara nie jest normą czy ideą, tylko spotkaniem z Osobą – jest żywą więzią, o którą należy dbać, a nie zestawem prawd podanych do wierzenia. Stąd jedna z ważnych Franciszkowych zasad duszpasterskich: rzeczywistość jest ważniejsza od idei. Z tego wynikają inne konsekwencje. Na przykład to, że doktryna nie jest monolitem. Ważniejsza jest misyjność, bycie w drodze niż dbałość o spójność doktryny – różnorodność „celów, stylów i metod ewangelizacyjnych” od wysiłku ujednolicania podejścia.

„Duszpasterstwo w kluczu misyjnym nie ma obsesji na punkcie niespójnego przekazu doktryn, które próbuje się narzucić”. Papież przypomina, że istnieje „hierarchia prawd nauki katolickiej”. Stąd w głoszeniu Ewangelii „konieczne jest zachowanie należytej proporcji” – nie wszystko jest równie ważne. Nawet język „całkowicie ortodoksyjny” może bardziej zasłaniać, niż odsłaniać Ewangelię.

Franciszek zwywa też do odwagi w rewidowaniu zakorzenionych w tradycji czcigodnych zwyczajów, które „dzisiaj



ARMANDO BABANI / EPA / PAP

Pierwsza sesja obrad zgromadzenia Drogi Synodalnej, Frankfurt nad Menem, 31 stycznia 2020 r.

nie służą już właściwemu przekazowi Ewangelii”. Nie chodzi mu tylko o zwyczaj – ma także wyraźny dystans do tworzenia systemów drobiazgowych norm moralnych. W adhortacji przypomina mądrość św. Tomasza z Akwinu, który podkreślał, że przykazania dane ludowi Bożemu przez Chrystusa i przez apostołów „są bardzo nieliczne”, oraz że w przykazaniach dodanych później przez Kościół należy przestrzegać umiaru, „aby życie wiernych nie stało się zbyt uciążliwe”. Chodzi o to, aby nie przemienić naszej religii w niewolę, skoro „miłosierdzie Boże chciało ją mieć wolną”. Papież uważa, że ta wciąż aktualna przestroga, którą można by określić jako nieprzeciążanie ludzi doktryną, „powinna stanowić jedno z kryteriów, jakie należy rozważyć, myśląc o reformie Kościoła i jego przepowiadania, co pozwoliłoby rzeczywiście dotrzeć do wszystkich”.

Widzimy, że jest to jakby streszczenie programu Drogi Synodalnej. Szczegółowe określanie sposobu sprawowania władzy w Kościele nie należy przecież do ewangelicznego kerygmatu – można dyskutować nad nowocześniejszymi ujęciami. Trudno bronić nieomyślności norm np. dotyczących antykoncepcji, ogłoszonych zaledwie pół wieku temu, w cza-

sach kiedy Kościół budził się z wielowiekowego letargu w zupełnie zmienionej społecznie rzeczywistości, zaskoczony gwałtownym przyrostem wiedzy naukowej. A skoro normy te nie są nieomyślne – dyskutujmy! Ze zróżnicowaniem wymogu celibatu od dawna nie powinno być problemu, gdyż nigdy nie był on warunkiem doktrynalnym kapłaństwa. Jeśli zaś chodzi o dyskryminację kobiet w Kościele, po prostu jest niemożliwe, by Pan Bóg był mizoginem.

Profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego ks. Andrzej Perzyński z Łodzi dostrzega sens niemieckiego eksperymentu: – Kryzys pokazał bezradność modelu Kościoła jako piramidy, stąd zaskakujący dla wielu krok biskupów niemieckich, by rozmawiać ze świeckimi jak równy z równym.

Źródło klerykalnego kryzysu Kościoła teolog i ekumenista widzi w tym, że Sobór Watykański II w swoich reformach zatrzymał się w pół kroku: – Gremiom kolegialnym, jak rady parafialne, diecezjalne, duszpasterskie czy kapłańskie, nadał władzę tylko doradczą, która w żaden sposób nie wiąże proboszcza czy biskupa. Niemiecka Droga Synodalna chce m.in. to zmienić. Ja też uważam, że to należy w Kościele zreformować.

Na uwagę, że takie ograniczenie władzy biskupów wykroczy poza prawo kanoniczne i na pewno spotka się z reakcją Watykanu, ks. Perzyński przyznaje, że sprawę mógłby ostatecznie załatwić tylko nowy sobór. Dotyczy to także np. diakonatu kobiet.

Na razie prawo kościelne blokuje możliwość, by Kościół lokalny miał własną drogę w kształtowaniu struktur kościelnych. Ale wbrew tym przeszkodom ks. Perzyński broni Drogi Synodalnej: – Ona może precyzyjnie nazwać problemy i zaproponować możliwe rozwiązania. Jeśli okażą się sensowne, staną się atrakcyjne same w sobie. Będą do wzięcia, gdy dojrzeje czas.

Polskie ścieżki

Na pytanie, czy można sobie wyobrazić, by 98 polskich urzędujących biskupów spotkało się razem ze świeckimi i na równych zasadach porozmawiało o trudnych problemach Kościoła, ks. Perzyński odpowiada: – Nie, takiego spotkania na razie sobie nie wyobrażam. U nas w Polsce problemy Kościoła są podobne jak w Niemczech, ale nikt właściwie się nad nimi nie zastanawia. Mamy nawet własne oryginalne kłopoty, których nie mają Niemcy, np. nieprzejrzystość finansową. →

→ W niemieckim Kościele każde euro jest zaksięgowane i rozliczane, w Polsce finanse funkcjonują w szarej strefie. Dlatego warto byłoby z większą uwagą i życzliwością przyglądać się niemieckiej Drodze Synodalnej, zamiast straszyć nią jako „nową reformację”, jak to się tu i ówdzie słyszy – konkluduje.

Różnica w mentalności i podejściu do Kościoła rzuca się w oczy już na stronach internetowych obu konferencji. Na stronie Niemieckiej Konferencji Biskupów szybko pojawiają się świeccy, a zbiorcze zdjęcie biskupów przedstawia grupę mężczyzn ubranych w czarne marynarki z koloratkami. Na stronie polskiego episkopatu dominują fiolety i wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Niemieccy katolicy zawdzięczają Drogę Synodalną w dużej mierze determinacji i odwadze kard. Reinharda Marksa, który przewodniczy niemieckiemu episkopatowi. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki zajęty jest obecnie promowaniem idei ogłoszenia św. Jana Pawła II doktorem Kościoła i patronem Europy. Polscy księża zachęceni są do podpisywania elektronicznej petycji – do tej pory podpisało ją 1200 kapłanów. Metropolita poznański wysłał też list do episkopatów świata z prośbą o poparcie. Tymaczy w nim, że duchowy i intelektualny świat Karola Wojtyły cechuje umiejętność pogodzenia tradycji i nowości. Innymi słowy – wzór na dzisiejsze czasy.

O ile Droga Synodalna kojarzy się z adhortacją „*Evangelii gaudium*”, o tyle za symbol pontyfikatu Jana Pawła II można uznać ogłoszony w 1994 r. Katechizm Kościoła Katolickiego. Rozpisał on kerygmat na mnóstwo prawd szczegółowych zawartych aż w 2865 punktach.

Na pytanie o wrażenia z pobytu we Frankfurcie polski obserwator ks. Grzegorz Chojnacki, teolog moralista z Uniwersytetu Szczecińskiego, zgodził się odpowiedzieć, ale dopiero jak zda sprawę biskupom na marcowym zebraniu plenarnym KEP. To symptomatyczne. Ks. Chojnacki reprezentował Kościół z Polski, czyli wygląda na to, że przede wszystkim biskupów. My, świeccy, musimy poczekać.

© P. ARTUR SPORNIAK

Maria strajkuje

ZUZANNA FLISOWSKA

Uznały, że rozdźwięk między Ewangelią a kościelną rzeczywistością stał się za duży. Katoliczki z niemieckich parafii postanowiły działać.

ELISABETH KÖTTER JEST MALARKĄ, WIĘC najłatwiej jej wyrażać swoje myśli obrazami. Któregoś zimowego wieczoru 2019 r. malowała wizerunek kobiety. „Gdyby to była katoliczka, portret powinien pokazywać jej zaklejone usta” – pomyślała. Domalowała duży plaster krzyżujący się z prostą linią warg. Przez 90 dni malowała i publikowała codziennie w internecie nowy portret – każdy przedstawiający kobietę z zaklejonymi ustami. Kobieta, która nie może zabrać głosu. Dziewięćdziesiątego pierwszego dnia jednocześnie z wieloma katoliczkami w różnych częściach Niemiec stanęła przed swoim kościołem, by pokazać, że rola milczącego świadka nie jest już dla niej możliwą strategią na trwanie w Kościele. Tak ruszył tygodniowy strajk inicjatywy Maria 2.0.

Wstrząs

Zaczął się od małej grupy samokształceniowej, w której katolicy z parafii Heilig Kreuz w Münster wspólnie czytali ostatnie, XXI-wieczne dokumenty kościelne. Traf chciał, że w spotkaniach zazwyczaj uczestniczyły tylko kobiety. Przyszła kolej na „*Evangelii gaudium*”, pierwszą adhortację papieża Franciszka. Był styczeń 2019 r.

Kötter chodziła na te spotkania, kiedy telewizja ZDF opublikowała film dokumentalny stawiający tezę o istnieniu „geograficznego rozwiązania”. Według zebranych przez twórców filmu dowodów, w Kościele miałyby istnieć liczne przypadki (czy też po prostu procedura) przenoszenia księży winnych przestępstw seksualnych do innych krajów, a zazwyczaj nawet na inne kontynenty,



gdzie ich historia byłaby trudna do odkrycia dla lokalnej społeczności.

Dla Kötter ten film był wstrząsem: – Wiedziałam o przypadkach przestępstw seksualnych w Kościele, wiedziałam, ile bólu niosą. Wciąż jednak siedziałam cicho, powtarzając sobie: „no tak, Kościół tworzą ludzie, są wśród nich ci źli, jest ich wielu, ale to wciąż pojedyncze przypadki”. Lecz systematyczne ukrywanie? Tego było już za dużo. Jako członkini Kościoła, który taki system umożliwia, nie mogę dalej siedzieć w miłym teologiczno-duchowym kole przyjaciół i powtarzać: „wszystko jest w porządku, mam przy sobie dobrych ludzi, piękną duchowość”. Musiałam coś zrobić. Czytałyśmy w naszej grupie „*Evangelii gaudium*”, a ja już nie mogłam więcej poczuć radości, o której pisze papież.

Zacząły o tym rozmawiać na spotkaniach. Jak się czują w Kościele wobec tych wszystkich problemów, które wychodzą w ostatnim czasie na widok publiczny? Jak odnajdują się w Kościele, który powinien przede wszystkim głosić dobre, piękne i wyzwajające przesłanie Chrystusa? Za jakim Kościołem tęsknią? Mówiły i płakały. To był przełom, od którego nie widziały już odwrotu.

Napiisały list otwarty do papieża, opublikowany z okazji specjalnego szczytu



Protest kobiet z ruchu Maria 2.0 przed katedrą w Münster, maj 2019 r.

poświęconego przemocy seksualnej, zwołanego przez Franciszka w Rzymie w lutym 2019 r. Napisały o swoim bólu z powodu tak wielu skrzywdzonych osób, z powodu tuszowania przestępstw przez biskupów, z powodu braku wiarygodnych przeprosin i zadośćuczynienia ofiarom, a także o bólu powodowanym faktem, że w reakcji na tę sytuację wielu ludzi przestało postrzegać Kościół jako wiarygodnego orędownika Ewangelii.

Postulowały rozwiązanie: usunięcie z urzędów wszystkich zamieszanych w przestępstwa seksualne (bezpośrednio i ukrywających je przełożonych), przekazanie przestępców świeckiemu wymiarowi sprawiedliwości oraz nieograniczoną współpracę z nim Kościoła w tej kwestii. Zaproponowały też inne strukturalne rozwiązania, które wiarygodność i przejrzystość Kościoła miałyby odbudować oraz realnie uchronić przed powtórzeniem się znanych z historii problemów. Tymi rozwiązaniami byłoby: dopuszczenie kobiet do sprawowania wszystkich urzędów w Kościele, rezygnacja z obowiązkowego celibatu oraz skonfrontowanie kościelnej etyki seksualnej z rzeczywistymi warunkami, w jakich żyją dzisiejsi chrześcijanie.

Strajk

Na okres 11–18 maja 2019 r. zaplanowały strajk. Przez tydzień nie wchodziły do kościołów, nie uczestniczyły w zorganizowanych w nich nabożeństwach, nie prowadziły zwykłych spotkań ani nie brały w nich udziału. Zbierały się natomiast przed świątyniami, by celebrować swoją wiarę, chwalić Boga i wspólnotę. Manifestowały problem ze strukturą władzy w Kościele – która wyklucza z pełnego uczestnictwa w społeczności wiele grup. Największą są oczywiście kobiety.

– Nie chcę używać słowa „diskryminacja”, bo ustawiałoby mnie w roli ofiary. A ja się tak nie czuję. W mojej społeczności czuję się dobrze i mogę dużo. Chciałabym jednak, by Kościół odzwierciedlał Ewangelię. Rozdźwięk między tym, co fascynuje w ewangelicznym przekazie, a tym, co reprezentuje Kościół instytucjonalny, stał się dla mnie za duży – komentuje Kötter.

Sama forma strajku ściągnęła krytykę, również ze strony niektórych biskupów niemieckich. Także część wiernych nie zrozumiała ich działania. Fakt, że strajkujący dobrowolnie zrezygnowali z uczestnictwa w niedzielnej mszy, był nie do przyjęcia.

Rzadko tak dobrze widać dylemat, w jaki wpędza wiernych nierozważne

powiązanie władzy z sakramentami w Kościele. Z jednej strony w nauce Kościoła wierność sumieniu jest jedną z najwyższych wartości. Papież Franciszek wielokrotnie przypomina wiernym, że mają o sytuacji w Kościele mówić z otwartością, szczerością i odwagą. Z drugiej jednak – w praktyce krytycy ustanowionych przez ludzi mechanizmów muszą do tych samych ludzi iść z prośbą o udzielenie sakramentów. Niewiele jest osób, które w tej sytuacji potrafią zdobyć się na szczerość.

Od kiedy na jaw wyszły pierwsze masowe dowody na przemoc seksualną w Kościele oraz na jej systemowe ukrywanie i multiplikowanie, powszechna jest świadomość, że system władzy w Kościele powoduje wiele cierpienia. W ostatnich miesiącach mówi się o tym więcej niż kiedykolwiek. Stawia się diagnozy, zwołuje zebrania, publikuje oświadczenia. A jednak nic się nie zmieniło, głębokie przyczyny tej sytuacji nie zostały rozwiązane.

Krytyka

Opór wzbudziło również to, że Maria 2.0 mówi o konieczności pełnego włączenia kobiet w życie Kościoła. Choć na pewno opór ten jest nieporównywalnie mniejszy niż byłby w innych społeczeństwach, nieprzychylnych np. do tego, że biskup zatrudnia doradczyń do spraw kobiet. Środowiska konserwatywne, w tym niektórzy członkowie Episkopatu, zarzucają inicjatywie manipulację figurą Marii do własnych celów, jak piszą, ideologicznych. Zdają się nie przyjmować do wiadomości, że dla osób o innej wrażliwości Maryja również może być ważną patronką i że w tej odważnej kobiecie mogą widzieć wzór i otuchę. Że słowa Magnificatu mogą być dla kogoś prorocze.

Jednym z wyrazów tej krytyki jest strona internetowa Maria 1.0, manifestująca wierność tradycyjnej interpretacji jej osoby. Autorzy strony, zarzucając protestującym ideologizację Matki Bożej, piszą jednocześnie: „Tak jak Maryja kochamy Kościół katolicki! Dlatego jesteśmy za: katolicką nauką, celibatem, katolicką nauką seksualną, ciągłością *ordinatio sacerdotalis*”.

W tej krytyce najbardziej moje rozmówczynie boli zarzut, że ich postępowanie nie jest katolickie. Sugerowanie, →

→ że nikt ich na siłę w Kościele katolickim nie trzyma. Że to, co rozpoznają jako swoje osobiste wezwanie, jako wyraz troski o Kościół i wierność Ewangelii, traktowane jest jako zideologizowany kaprys czy walka o władzę.

Maria Mesrian, inicjatorka kolońskiej grupy Maria 2.0: – Nie chodzi nam o walkę z kimkolwiek, adresem naszych działań nie są osoby sprawujące w Kościele władzę, ale wszyscy ochrzczeni, zwłaszcza ci, którzy dziś nie widzą sensu trwania w Kościele lub nie mają sił wspierać instytucji, która ich wyklucza ze swoich struktur.

Chodzi o przywrócenie im świadomości, że Kościół jest ich wspólnotą, że jako ochrzczeni mogą i powinni brać udział w kształtowaniu jego przyszłości. To do nich należy zmiana. To oni muszą wziąć na poważnie swój chrzest i zacząć tak kształtować Kościół, by szanował godność każdego człowieka.

Siła

Mesrian przyklasnęła idei kobiecego strajku, jak tylko się o nim dowiedziała. W maju zorganizowała protest przed katedrą w Kolonii, a we wrześniu jej grupa zasłynęła kolejnym happeningiem, podczas którego uczestnicy otoczyli świątynię łańcuchem ludzi: – Do opłecenia katedry potrzeba nam było łańcucha około 460 osób, nie wiedzieliśmy, czy uda się tyle zebrać. Kiedy łańcuch się rozpostarł, okazało się, że musimy stać bardzo blisko siebie, ściśnięci, żeby wszyscy się zmieścili.

Mesrian przyznaje, że jedna z bardziej poruszających reakcji na protest pochodzi od ludzi, którzy już Kościół opuścili albo zbliżają się do tej decyzji. Podchodzą i mówią: dajecie nam siłę, jest o co walczyć, jest po co zostać – my też chcemy, by przesłanie Ewangelii stało się znów w Kościele widoczne.

Na stronie internetowej inicjatywy znajdują się materiały, które pomagają w zorganizowaniu spotkania, poprowadzeniu modlitwy, napisaniu listu do proboszcza. Wystarczy je pobrać, rozjeżdżać się wokół i zacząć zmieniać Kościół na lepsze, zaczynając od swojej najbliższej okolicy.

Dziś, po roku od spotkań małej grupki formacyjnej w Münster, inicjatywa Maria 2.0 została podchwyciona przez wiele miast i miasteczek w Niemczech oraz uważana poza granicami kraju. Nie two-

rzy żadnej struktury, większość grup nawet nie zna się między sobą. Każdy, kto zgadza się z ich prostymi postulatami, może założyć swoją grupę. Jej formuła, aktywność, jaką podejmą, zależy od nowych inicjatorów.

– Nie trzeba nikogo pytać o zgodę. Ja sama niedawno przypadkowo dowiedziałam się, jak wiele jest inicjatyw Maria 2.0 w moim landzie. Jedna z grup, działająca w mieście dwudziestotysięcznym, spotyka się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, by przejść przez miasto z hasłami Kościoła równych praw. Są grupy, które składają się z dwóch, trzech osób – tłumaczy Kötter.

Droga

Od 30 stycznia do 1 lutego we Frankfurcie odbyła się pierwsza sesja niemieckiej Drogi Synodalnej. Podczas całorocznego procesu rozeznawania nowych dróg dla Kościoła w Niemczech spotykać się będą cztery komisje poświęcone konkretnym zagadnieniom – w tym jedna urzędowi i służbie podejmowanej przez kobiety. Maria 2.0 również była w tym czasie we Frankfurcie.

Mesrian chciała zorganizować w tym czasie skromną liturgię słowa. Ku jej zaskoczeniu w piątkowy wieczór frankfurcka katedra wypełniła się po brzegi: przyjechały osoby zaangażowane w ruch Maria 2.0 z różnych stron Niemiec, przyszło trochę mieszkańców miasta, kilku uczestników Drogi Synodalnej zatrzymało się na modlitwę. Modlili się o reformę Kościoła, która uczyni go domem dla wszystkich. Głos zabrała siostra zakonna, proboszcz, pracownica parafii, a także uczestniczka obrad synodalnych, mówiąc o swoich osobistych nadziejach, ale i zmaganiach z nierównością w Kościele. O swoim doświadczeniu opowiedziały także Kötter i Mesrian.

Po liturgii grupki Maria 2.0 zostały pod katedrą, śpiewając, odmawiając kompletę, czuwając przez kolejne nocne godziny. Uczestnicy pierwszego plenarnego spotkania synodalnego stopniowo wychodzili z obrad. Niektórzy zatrzymywali się, by porozmawiać. Byli pewnie i tacy, którym do takiego sposobu manifestacji daleko. Dla wszystkich jednak obecność kobiet z Maria 2.0 jest znakiem, który będą musieli wziąć pod uwagę w swojej interpretacji życia Kościoła.

© ZUZANNA FLISOWSKA

Trucizna i antidotum

PIOTR SIKORA

Głębokie zaangażowanie religijne grozi popadnięciem w fanatyzm. Jak uniknąć tej pułapki?

GŁOŚNA NIEDAWNO DYSKUSJA NA TEMAT książki „Pasterz serca dziecka”, której autor Tedd Tripp, protestancki pastor, powołując się na teksty biblijne, radzi stosować kary cielesne nawet wobec małych dzieci, wskazuje na fundamentalny problem, z którym mierzą się ludzie religijni. Krytycy podejścia „wychowawczego” Trippa podkreślali, że pozycji prezentujących taką perspektywę ukazało się w ostatnich latach więcej.

To element zjawiska o szerszym zasięgu – tendencji religijnie zaangażowanych ludzi do ignorowania dobrze udokumentowanych badań naukowych. Te ostatnie bowiem wskazują, że kary cielesne nie przyczyniają się do rozwoju człowieka, wręcz przeciwnie, pozostawiają głębokie negatywne ślady na psychice.

Usztywnienie poglądów

Wielu głęboko wierzących rodziców ma trudności w zaakceptowaniu własnych dzieci, jeśli te nie pasują do religijnego wzorca – na przykład są homoseksualne. Boją się, że dając tę akceptację, przyczyniliby się do dziecka i swego własnego potępienia.

Podobne problemy nie dotyczą wyłącznie teorii i praktyki wychowania. W wielu wspólnotach ludzi, których nie zadowala letnie, „niedzielne” chrześcijaństwo, popularność zdobywają rozmaite ostrzeżenia przed zagrożeniami duchowymi, jak noszenie biżuterii o określonych kształtach, czytanie książek o Harrym Potterze albo halloweenowe zabawy z dynią. Obawiają się, że czynniki te mogą przyczynić się do poważnych problemów ro-



NEIL JACOBS / GETTY IMAGES

Spalenie księżek o Harrym Potterze przez członków ewangelickiej Wspólnoty Chrystusa, Nowy Meksyk, USA, grudzień 2010 r.

dzinnych, ciężkich chorób, a nawet ostatecznego przegrania życia.

Tendencje do sztywnego fanatyzmu nie ograniczają się do osobistego życia ludzi wierzących. Religia stanowi bardzo dobre paliwo do napędzania ekstremizmów politycznych. Znaczna część amerykańskich wspólnot protestanckich wspiera Donalda Trumpa w jego konfliktogennej polityce na Bliskim Wschodzie. Buddyjscy radykałowie z Mjanmy inspirowali prześladowania muzułmańskich Rohingów. Irańscy ajatollahowie czy afgańscy talibowie są zaangażowanymi muzułmanami i posłuch znajdują wśród podobnych sobie.

Zaangażowanie religijne wiąże się często z usztywnieniem poglądów i postaw niosących cierpienie w życiu osobistym i powodujących konflikty w życiu społecznym. Warto zadać sobie pytanie: skąd bierze się owa łatwość religii do ulegania osobistemu, wspólnotowemu lub społecznemu ekstremizmowi, usztywnieniu i zamknięciu na mocne, racjonalne argumenty? Wielu krytyków religii sądzi, że problem ten należy do istoty zaangażowania religijnego, że religia jest bezbronna wobec tendencji do ekstremizmu. Fakt, iż fraza „radykalizm religijny” nie budzi pozytywnych skojarzeń, nie jest w tej perspektywie przypadkiem.

Przyczyna tych zjawisk rzeczywiście leży, jak sądzę, w samej istocie religii. Z drugiej strony – co może wyglądać

na paradoks – w tejże istocie znajdują się również lekarstwa na owo ekstremistyczne schorzenie.

Ryzyko ostatecznej porażki

W tym miejscu trzeba jednak wyraźnie wyartykułować, z jakiej perspektywy patrzy się na religię. Zakres pojęcia religii nie jest bowiem określony w sposób precyzyjny i powszechnie przyjmowany. Mianem religijnych określa się bardzo różne zjawiska – i trudno precyzyjnie znaleźć cechę wyróżniającą religię od tego, co nią nie jest (a co ją udaje). Religioznawcom i filozofom religii raczej się nie uda wypracować uniwersalnie akceptowanej definicji przedmiotu swoich badań.

Z perspektywy religii takiej, jaką jest chrześcijaństwo, można jednak w uproszczeniu uznać, że na miano religii zasługuje takie egzystencjalne zaangażowanie, które wiąże się z najbardziej fundamentalną orientacją życia i poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie o jego ostateczny sens i wartość. To, co religijne, wiąże się zatem z najbardziej podstawową tożsamością człowieka. Ze względu zaś na relacyjny wymiar ludzkiej natury, zaangażowanie religijne wyraża się także w formach społecznych i wiąże z tożsamością nie tylko jednostek, ale także międzyludzkich wspólnot.

W tym sensie religijne zaangażowanie im bardziej jest autentyczne, tym

bardziej ekstremistyczne, radykalne i totalne. Dobrze wyraża to fragment Apokalipsy św. Jana, w którym Chrystus, *arché* (źródło i zasada) całego stworzenia, mówi do niezbyt wiernej wspólnoty: „Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię zwymiotować z mych ust” (Ap 3, 15-16).

Jeśli jednak tak właśnie jest, jaśniejszym się staje, skąd bierze się podatność religii na ekstremistyczne usztywnienie i skąd jej siła, którą od wieków usiłują wykorzystać społeczni inżynierowie do zdobycia i utrzymania władzy. Jeśli bowiem udaje się dotrzeć do autentycznej religijnej wiary ludzi, to dociera się do tego, co najważniejsze, co wzbudza najsilniejsze emocje, co określa na najgłębszym poziomie, kim są i dla czego są gotowi poświęcić wszystko inne.

W tej perspektywie bardziej zrozumiałe jest też, dlaczego radykalizm wiąże się często z lękiem, który z zewnątrz wydaje się irracjonalny: np. przed uczestnictwem w zabawie w drażnienie dyni. W grę wchodzi bowiem kwestia ostatecznych wartości, wygrania bądź przegrania całego życia. Łatwo o wzbudzenie strachu przed utratą tego, co najcenniejsze. Gdy zaś tylko wkraczamy w obszar poznawczej niepewności, strachu trudno się pozbyć. Lepiej zatem – zaczyna myśleć człowiek wierzący – nie czytać danej książki →

→ czy spalić jakąś figurkę, skoro nie da się w niepodważalny sposób wykluczyć, że można przez nie utracić wieczne zbawienie.

Co innego figurki, co innego bicie dzieci – można powiedzieć. Niby prawda, ale poznawcza niepewność w odniesieniu do spraw ostatecznych jest na tyle trudna egzystencjalnie do zniesienia, że człowiek radykalnie religijnie zaangażowany łatwo ulega pokusie poszukiwania jednoznacznych autorytetów – literalnie rozumianego tekstu Biblii, nieomylnych rozstrzygnięć Urzędu Nauczycielskiego, jasnych wytycznych duchowego lidera. Gdy znajdzie zalecenie stosowania kar cielesnych, bezrefleksyjnie i bezkrytycznie wprowadzi je w życie.

Chrześcijanin Sokrates

Gdzie w samej religii znaleźć lekarstwo na negatywne strony ekstremizmu? Leży ono właśnie w tym, że autentyczne zaangażowanie religijne jest nie tylko radykalne, ale również całościowe. Znaczy to, że nie można z niego usunąć żadnego z aspektów człowieczeństwa. Czyli także rozumu. Owszem, zaangażowanie religijne dotyczy sfery ostatecznego sensu i fundamentalnych wartości, określa najbardziej podstawową ludzką tożsamość, porusza więc emocje – ale nie jest w pełni autentyczne, jeśli nie uruchamia w najwyższym stopniu ludzkiego rozumu – ruchu myśli.

Już w czasach przedchrześcijańskich pojawiali się ludzie, którzy zwracali uwagę na powyższy aspekt religijnego zaangażowania – co spotykało się z oporem. W starożytnej Grecji najbardziej znany przykład to historia Sokratesa. Filozof ten krytykował ówczesne formy tego, co dziś nazwalibyśmy religijnością fundamentalistyczną i upolitycznioną – i przypłacił to życiem. Jednak – jak wiemy z dzieł jego ucznia, Platona – sam był człowiekiem głęboko religijnym i właśnie z tych religijnych źródeł czerpał inspirację do swojej krytycznej postawy.

Ta postawa zdobyła uznanie we wczesnym chrześcijaństwie. Św. Justyn Męczennik w jednym z dzieł przywołał Sokratesa, uznając go za chrześcijanina właśnie dlatego, że „żył zgodnie z Logosem”. Justyn w swojej teologicznej ocenie Sokratesa czerpał ze źródeł biblijnych – hebrajskiej tradycji mądrościowej i wizji zawartej w Ewangelii Jana, wedle której Jezus uosabia Boską Mądrość – jest

Chrześcijańskie
zaangażowanie obejmuje
całego człowieka,
a więc musi łączyć się
**z intensywnym
rozwojem rozumu.**

wcielonym Logosem, który przenika cały wszechświat i oświeca każdego człowieka.

Myśl, że chrześcijańskie zaangażowanie obejmuje całego człowieka, a więc łączy się z intensywnym rozwojem rozumu, podejmowali najwięksi święci Kościoła: Klemens z Aleksandrii, ojcowie kapadoccy, Augustyn czy Tomasz z Akwinu. Najbardziej wyrafinowaną postać wiary rozumnej – a jednocześnie świadomej, że zmierza ku tajemnicy – można znaleźć w pismach XV-wiecznego mistyka, filozofa i dyplomaty kard. Mikołaja z Kuzy, w jego koncepcji *doctae ignorantiae* – uczonej niewiedzy.

Religijność poszukująca

Rozumna mądrość wiary wiąże się bowiem – chyba od początku – ze świadomością ograniczeń ludzkich zdolności poznawczych wobec Boskiej Nieskończoności. To ona nie pozwala na usztywnienie poglądów i fundamentalistyczne roszczenie do posiadania prawdy. Jak zauważył ewangelicki teolog Paul Tillich, autentyczna wiara religijna jest skierowana ku Nieuwarunkowanemu. Podejmuje ryzyko zawierzenia temu, co absolutne, ale właśnie w Jego imię kwestionuje wszystko, co uwarunkowane i skończone; każe porzucać aktualne przekonania i formuły dogmatyczne, a poszukiwać więcej i głębiej.

Okazuje się, że sokratejskie (u swych podstaw głęboko religijne) stawianie pytań pobożnym fanatykom, którzy myślą, że są ekspertami od spraw boskich, a których światopogląd pełen jest sprzeczności i nieuzasadnionych tez, nieoczekiwanie spotyka się ze współczesnymi ujęciami racjonalności, takimi jak krytyczny racjonalizm Poppera. Filozof ten zauważył, że podstawowym wyznacznikiem racjonalności naukowej jest krytyczna samowiedza, iż wszystkie nasze teorie naukowe są hipotezami. Postawa racjonalna polega

wiec na tym, by tworzyć śmiało teorie podatne na falsyfikację przez dane empiryczne, oraz by poddawać owe teorie jak najsurowszym testom.

W obszarze zaangażowania religijnego nie można stosować racjonalności naukowej bez modyfikacji. Tym niemniej i tutaj nie tracą na znaczeniu podstawowe aspekty racjonalności: świadomość własnych ograniczeń poznawczych, brak przywiązania do wszelkich konkretnych poglądów i testowanie ich w procesie nieustannego poszukiwania prawdy. Do istoty racjonalności, która powinna być elementem religijnego zaangażowania, należy więc pytanie, kwestionowanie, otwartość na sygnały i dane płynące z rzeczywistości, sprawdzanie aktualnie przyjmowanych twierdzeń i ich uzasadnień, poszukiwanie racji lepszych oraz gotowość do zmiany poglądów na bardziej adekwatnie opisujące rzeczywistość i gruntowniej uzasadnione.

W konsekwencji radykalne zaangażowanie religijne powinno obejmować krytyczną analizę źródeł, także kanonicznych (jak Biblia), badanie spójności doktryn, konfrontację religijnego obrazu świata z dobrze ugruntowanymi hipotezami naukowymi, sprawdzanie, czy dane religijne przekonania i reguły życiowe służą rozwojowi osoby, czy też są destrukcyjne i niosą cierpienie. Głęboka wiara w tajemnicę nieskończonego Boga nie stoi w sprzeczności z niepewnością i gotowością na zmianę w odniesieniu do wszelkich elementów rzeczywistości skończonej – także tam, gdzie elementy te noszą religijne etykiety.

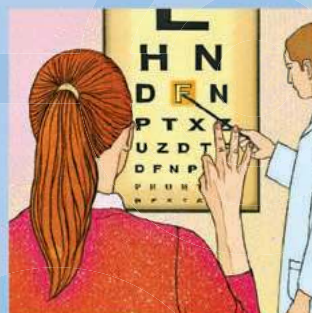
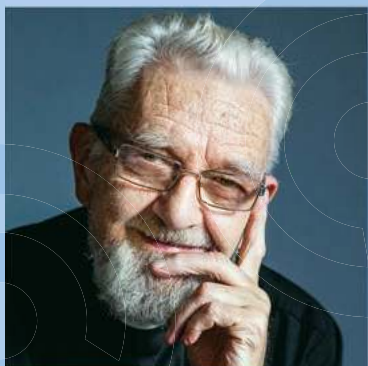
Rozumna, poszukująca wiara nie jest łatwa. Istnieje bowiem w człowieku głęboko zakorzenione napięcie pomiędzy potrzebą bezpieczeństwa w dziedzinie tego, co najważniejsze, pewności co do podstawowej orientacji życia, nienaruszalności najgłębszej tożsamości i najwyższych wartości – a krytyczną samoswiadomością własnej ograniczoności rodzącej konieczność nieustannego poszukiwania, kwestionowania, przemiany i wzrostu.

Można jednak znaleźć siłę do owego egzystencjalnego ruchu: wierząc, że Bóg jest naprawdę boski, a więc że „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (por. Dz 17, 28) – w Nim poszukujemy Go, zawsze w Nim, nawet błędząc, i to On jest podstawą naszego ostatecznego bezpieczeństwa.

©© PIOTR SIKORA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Podkast Powszechny



Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego”

O Noblach i noblistkach. O kosmosie i astronautkach. O zwierzeniach i zwierzętach. O psychologii, edukacji, filmach, sztuce (także umierania), sztucznej inteligencji, polityce, historii, nauce i gwiazdach.

A także o kryzysie klimatycznym, życiu osób głuchych, religii, przemocy domowej, leczeniu niepłodności, mniejszościach i futbolu kobiet.

A nawet mężczyźni.

Zapraszają: Michał Kuźmiński,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska,
Karolina Przewrocka-Aderet,
Marcin Żyła.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



KSIEGI SAMERA

Przez tysiąc czterysta lat mnisi z Alkusu chronili swoje manuskrypty przed wojną i ogniem. Teraz ich opat chce je uratować ostatni raz – i raz na zawsze.

TEKST **MARCIN ŻYŁA** ZDJĘCIA **GRAŻYNA MAKARA** Z IRACKIEGO KURDYSTANU



DWA WSPOMNIENIA. PIERWSZE: Wyprawionej pięć wieków temu skóry gazeli – cieniotkiej, obłędnie miękkiej, zszytej niedostrzegalną nicią w szeroki na pięć i długi na sześćdziesiąt cali pergamin, na którym po hebrajsku, czarnym atramentem zapisano: „W drugim roku panowania wielkiego króla Artakserksesa, w pierwszym dniu miesiąca Nisan, Mardocheusz, syn Jaira, syna Szimeiego, syna Kiswa, z plemienia Beniamina, miał sen”.

Tamtą Księgę Estery – żywą jakby, ciepłą, gdy rozwijał ją z drewnianego wałka – Samer położył na ławie przy ciastkach, pilocie do klimatyzacji i Nowym Testamencie, przepisany przez kopistę w roku 1200. Zmrużyłem oczy. Na jego osmolonych stronach prawie widać było dym. Zamknąłem je. Ogień pustoszył wykute w skałach skryptoria, perscy najeźdźcy dopiero co ustąpili, mnisi ratowali księgi.

I drugi obraz: przepaści niknącej w dole, w zmroku i we mgle. Konturów serpenty, po których przed chwilą wspinał się nasz jeep, latarek oświetlających ściany jaskiń, patriarchalnych grobów w ciasnych, wilgotnych tunelach. Odpychających turni. Obrywy z nich niszczyły drogi i mury, kiedyś zabijały pielgrzymów.

Góry odcięły klasztor Rabban Hormizd od świata, a wyobrażenia kulała. To naprawdę tutaj, w tym ciemnym, zimnym i pustym dziś miejscu, przez stulecia zszywano zwierzęce skóry, przepisywano słowa ewangelistów?

DALEKO W DOLE BYŁ ALKUSZ. Jak stara to miejscowość, dokładnie nie wie nikt. Już kilkadziesiąt lat po śmierci Jezusa, pod wpływem apostoła Tomasza, mieszkańcy Alkusu przyjmowali chrześcijaństwo. Gdy w V wieku dotarł tu jeden z uczniów św. Eugeniusza, pioniera monastycyzmu w Mezopotamii, mnisi witali go w progu kościoła zbudowanego na ruinach starożytnej świątyni Sumerów.

Później miasto się rozrosło, lecz nigdy nie wkroczyło na równinę, która oddziela ją od Mosulu, położonego 30 kilometrów stąd. Domy budowano tylko na stokach góry. Wypatrywano nieprzyjaciół. Modlono się, aby spełniona już zapowiedź o upadku asyryjskiej Niniwy, zapisana w Starym Testamencie przez proroka Nahuma, mieszkańca Alkusu, objęła inne wrogie imperia – perskie, kurdyjskie i arabskie – które zagrażały chrześcijanom.

Było tak aż do 2017 r., kiedy w Mosulu upadło Państwo Islamskie. Po wielkiej bitwie o miasto zostały gruzowiska po horyzont i pokiereszowani wojną ludzie. – Czują w duszy i sercu, że kalifat jeszcze wróci – mówi Samer. – Kiedyś dwustu bojowników wystarczyło, aby przekonać do dżihadu całe miasto. Dziś mieszkać tam to jak chodzić po kraterze aktywnego wulkanu.

SAMER SORESHOW YOHANNA, ostrzyżony na krótko brunet ze starannie wypielegnowaną brodą, to spokojny człowiek. Głos ma tak ściszony, że nawet gdy mówi głośno, ledwo go słychać. Nosi się po angielsku. Zwykle zakłada koloratkę, na środ-

kowy palec prawej dłoni wkłada złoty sygnet. Ma 40 lat, jest księdzem Kościoła chaldejskiego, jednego z katolickich Kościołów Wschodu. Trzy lata temu trzynastu współbraci wybrało go na opata Zakonu Ojców Antonianów św. Hormizda.

Czy to za sprawą zbiorowej pamięci wspólnoty, czy własnego doświadczenia Samer ma oczy dookoła głowy. – Wycho- wując się w takim kraju jak Irak, instynktownie wyczuwasz nienawiść. Nie tylko gdy wołają za tobą „chrześcijańska świnią”. Także gdy w punkcie ksero na uniwersytecie prosisz o kopię fragmentu Biblii, a oni patrzą na krzyż i mówią, że maszyna się zepsuła – opowiada.

„Oni” to muzułmanie. Nie wierzy, że się zmieniają. – Mieszkamy między nimi od 1400 lat, znamy ich język, wiemy, co jest w Koranie. Jeśli chcesz stosować szarię, islamskie prawo, musisz to robić tak, jak robiło Daesz – mówi, używając arabskiej nazwy Państwa Islamskiego.

Ale to nie Daesz sprawił, że Samer zaczął myśleć o zabezpieczeniu starych manuskryptów z Alkusu i budowie Scriptorium Syriacum, biblioteki, ośrodka badawczego i klasztoru, który dla 300 tys. chaldejskich chrześcijan będzie ostatnią szansą na przetrwanie ich religii.

BAGDAD, CZERWIEC 2006 R. W klasztorze św. Antoniego trwa msza, gdy z zewnątrz dobiegają głośny trzask i odgłosy wyginania metalu. Bramę taranują opancerzone auta, po kościele rozbiegają się żołnierze. To Amerykanie szukający ukrywającego się w mieście wiceprezydenta Iraku, współnika Saddama Husajna.

Pod lufami karabinów Samer tłumaczy, że tu go nie znajdują. I tak sprawdzają każdy kąt. Wchodzą do biblioteki.

Po miesiącu przychodzi list z ambasad. Amerykanie chcą pomóc w ochronie manuskryptów i starodruków.

– Podziękowaliśmy za taką pomoc! – ironizuje Samer, który kilka dni wcześniej zamienił się w szmuglera. O czwartej rano siadł za kierownicą pierwszego z trzech samochodów konwoju, który miał ewakuować kolekcję z powrotem na północ, do Kurdystanu. Miał glejt na przewóz podręczników. – Kupiliśmy kilka set elementarzy, pod nimi schowaliśmy manuskrypty. W każdym samochodzie jechała nas dwójka. Uratowaliśmy tak prawie tysiąc manuskryptów. Pozostałe trzysta przewiózł później ojciec Gabriel. Inaczej by je skonfiskowali – opowiada. ➔

Ten syriacki rękopis Ewangelii powstał 820 lat temu. Według o. Samera Soreshowa Yohanna manuskrypty z Alkusu podważają niektóre ustalenia z ostatnich edycji Nowego Testamentu. Irbil, Irak, grudzień 2019 r.

→ **W KOLEKCJI Z ALKUSZU** jest spisany po syriacku (to odmiana aramejskiego) rękopis z VIII w., przekład Ewangelii z greki. Tak dokładny, wyjaśniają mnisi, że dopiero przetłumaczenie go z powrotem na grekę ujawnia jedną z wcześniejszych wersji Nowego Testamentu. Jest też „Synodicum orientale”, prawdopodobnie najstarszy zbiór tekstów pierwszych soborów zapisany po syriacku. Łącznie zakon Ojców Antonianów ma w zbiorach około półtora tysiąca manuskryptów. Dodać starodruki i inkunabuły, wydanie 15 tys. tytułów, nie licząc duplikatów.

To najcenniejsza, niemal nieznaną na Zachodzie kolekcja pism chrześcijan Wschodu.

Nie byłoby jej, gdyby w połowie VII w. do Alkusu nie trafił mnich Rabban Hormizd, człowiek tak pobożny, że już jako nastolatek recytował Nowy Testament i wszystkie psalmy. Wysoko w górach założył klasztor, nazwany potem od jego imienia.

W 2000 r. kolejne pokolenia kopistów, poetów i kaligrafów, którzy przez stulecia rozslawiali klasztor, spisał David Wilmschurst, badacz z Oksfordu. Przez kilkanaście stron jego „The Ecclesiastical Organisation of the Church of the East, 1318–1913” ciągnie się monotony obraz życia w skalnym mieście: „Skryba Ezekiel, syn Zakura, syna Ezekiela, z rodziny Abuna, był kopistą manuskryptu z 1874 r. Ksiądz i mnich Elija, syn Babekki, z Szaklawy, skopiował manuskrypt w kościele Mar Mikha w Alkusu w 1891 r., w czasie gdy był nauczycielem dzieci. Skryba Izrael, syn księdza Hormizda, syna dziekana Michała, z rodziny Audo w Alkusu (przyszłego biskupa), skopiował dwa manuskrypty w Alkusu, w 1875 i 1881 r. Dziekan Paweł i ksiądz Abraham z Alkusu, z rodziny Hanna, skopiowali manuskrypt w Alkusu w 1891 r. Skryba Jonasz Audo skopiował manuskrypt w Alkusu w 1893 r.”...

BOGACĄCY SIĘ KLASZTOR stał się z czasem celem łupieżców. W 1743 r. Alkusz najechał Nadir Szah, przewany potem „perskim Napoleonem”. „Wielu mieszkańców schroniło się w klasztorze – pisał jeden z mnichów. – Żołnierze zaatakowali ich tak, jak wygłodniałe wilki atakują bezbronne owce. Popelnili tak straszliwe zbrodnie, że moje wewnętrzności buntują się przeciw temu, by o nich pisać”.



Księga Estery, dar żydów dla chrześcijan z Alkusu. Było to centrum obu religii – tu, w synagodze, spoczywa Nahum, prorok, który zapowiedział upadek asyryjskiej Niniwy.

Rok 1828 to atak Mosy Paszy, gubernatora górskiej twierdzy Al-Amadija. W 1832 r. w Alkusu zjawia się inny lokalny watażka, owiany złą sławą gubernator Rawanduz. Oficjalnie zabija ponad 400 osób, ale księgi kościelne odnotowują tylko śmierć mężczyzn. Osiem lat później jego brat, niejaki Rasul Beg, oblega Alkusz przez wiele miesięcy, wkracza do klasztoru, kradnie pół tysiąca ksiąg i podpala skryptoria.

MÓWI SAMER: – To było kiedyś. Ja zaś pamiętam wojnę z Iranem, wojnę z Kuwejtem, wojnę w Zatoce Perskiej, inwazję amerykańską, terror mudżahedinów i wojnę z Daesz. Gdy się urodzisz w takich czasach, nigdy nie przestajesz żyć w stanie ciągłego alertu. Trudno ci ufać ludziom. Zaufałem więc Bogu. Tylko krocząc w ciemności i niepewności da się sprawdzić swoją wiarę.

– Śmieją się – ciągnie młody opat – że chodzę z głową w chmurach. Odpowiadam wtedy: mieszkając w Iraku, gdzie nie ma żadnych perspektyw, powinniśmy być najbardziej zdesperowanymi ludźmi świata. Tutaj sam musisz znaleźć coś, co cię pchnie do przodu. Bez celu nie ma przygody.

MIMO WOJEN syriacki księgozbiór pozostaje w skałach nad Alkuszem aż do początku XX wieku. Wtedy trafia do zbudo-

wanego niżej chaldejskiego klasztoru Naszej Pani. Zaczynają powstawać pierwsze katalogi. Najbardziej szczegółowy spisują w 1986 r. naukowcy z Bagdadu.

Tymczasem tułaczka manuskryptów po Iraku już trwa. Chaldejscy mnisi, obawiając się Kurdów osiedlanych w Alkusu na mocy dekretu Saddama Husajna, już w latach 60. wywożą je do swojego klasztoru św. Jerzego w Mosulu. Kilkanaście lat później wybucha wojna z Iranem i najbezpieczniejszym miejscem wydaje się stołeczny Bagdad – kolekcja trafia do tamtejszego klasztoru św. Antoniego.

Historia przyspiesza: inwazja Kuwejtu, pierwsza wojna w Zatoce, w końcu, w 2003 r., amerykańska inwazja, która rozpoczyna trwający do dziś czas przemocy. Po obaleniu Husajna Samer szmugluje manuskrypty z powrotem na północ.

Osiem lat później, w Mosulu, którego światła widać w pogodne dni ze skał nad Alkuszem, samozwańczy kalif Abu Bakr al-Baghdadi ogłasza powstanie Państwa Islamskiego. Żąda wojny z „niewiernymi”. Szybko przychodzi dzień, gdy dżihadyści znajdują się w odległości jednego posterunku kontrolnego od klasztoru Naszej Pani. Mnisi uciekają z Alkusu do wsi Zakho, pod samą granicę turecką. Ale w nocy oddziały kurdyjskie odpierają atak. Trzy lata będzie Państwo Islamskie rządzić w Mosulu, wysadzi tam w powietrze mnisi klasztor, lecz Alkusu nie zajmie nigdy.

Na wszelki wypadek manuskrypty zostają jednak wywiezione do Zakho. Wracają po roku.

Znów, tylko na moment, bo Alkusz do dziś pozostaje terenem spornym między rządem irackim a Kurdami (formalnie znajduje się po południowej stronie gór, na terenie irackiej prowincji Niniwa, ale kontroluje go wciąż rząd Kurdystanu). Samer – teraz już jako przełożony klasztoru i dziekan wydziału teologicznego w Irbilu – decyduje, że biblioteka zostanie podzielona. Starodruki zostają w Alkusz, manuskrypty jadą do Irbilu.

Była to ich siódma ewakuacja. – Ostatnia! – śmieje się Samer.

Stoi teraz w błocie, na środku placu budowy, robotnicy rozkładają przed nim most z desek, przejdzie po nich do kontenera naczelnego architekta, gdzie na plazmowym telewizorze pokaże wizualizację Scriptorium Syriacum: dwa budynki z czerwonej cegły, ze skwerem pośrodku, na przedmieściach Irbilu.



MICHAEL RUNKEL / BEW

U góry: Ukryty w górach nad Alkuszem, założony w VII w. chaldejski klasztor Rabban Hormizd, w którym przez wieki powstawały i były przechowywane chrześcijańskie manuskrypty.

Po lewej: „Za jakiś rok zaczniemy przenosiny manuskryptów. Pierwszy raz znajdą się w bezpiecznym wnętrzu. Udostępnimy je wszystkim zainteresowanym, będą pokoje gościnne dla badaczy z zagranicy”, zapowiada opat Samer.

– Stoją już dwie kondygnacje. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakiś rok będzie można zacząć przenosiny manuskryptów. Pierwszy raz znajdą się w bezpiecznym wnętrzu, takim specjalnie dla nich. Udostępnimy je wszystkim zainteresowanym, będą pokoje gościnne dla badaczy z zagranicy. Nasi studenci – mamy wśród nich też Kurdów i muzułmanów – będą się opiekować zbiorami. Stworzymy centrum pielgrzymkowe, do którego będą przyjeżdżać chrześcijanie z całego Iraku – ekscytuje się Samer.

Uradowany, tłumaczy dalej: – Irbil to najspokojniejsze miasto kraju. Latają tu samoloty z Europy, Zachód inwestuje pieniądze, nawet Polska ma konsulat. Rząd irackiego Kurdystanu robi wszystko, by nic tutaj nie kojarzyło się z niespokojną resztą kraju. Sprzyja też mniejszościom, zwłaszcza chrześcijanom. Kościoły są pełne ludzi, nie czuć nienawiści.

Pytam: co się stanie z Alkuszem, gdy wyjadą stamtąd ostatni mnisi?

– Nie wszyscy wyjadą. Podzielimy jednak wspólnotę – odpowiada Samer. – Nasz monastyczny zakon ma zasadę, żeby uczyć, wychodzić do świata, być parę kroków z przodu. I ciągnąć tam Kościół. Przez stulecia nasi księża przewodzili chrześcijańskim wspólnotom od Turcji po Arabię, od Syrii po Iran. Teraz pora na pracę intelektualną. Odkrywając manuskrypty, nabierzemy siły. Zyskamy nową tożsamość. Tylko tak przetrwamy.

SAMER BYŁ W PARYŻU, gdzie namówił do współpracy miejscowe ministerstwo kultury. Przed rokiem był też w Warszawie. Spotkał się nawet z ministrem spraw zagranicznych, chciał go namówić, aby Polska wzięła na siebie część kosztów budowy Scriptorium Syriacum. Bez skutku.

Pojechał do Auschwitz. Zapamiętał stamtąd głośny szloch żydówki z Francji. – Ale wiesz, w Europie przynajmniej możecie płakać – mówi, zanim przyniesie manuskrypty. – U nas, w Iraku, płakać jeszcze się nie da. Trwają przemoc i niepewność. Kto jest sprawcą, kto ofiarą, długo jeszcze nie będzie nazwane.

DWA NAGRANIA. Słysząc buczenie generatora (nawet w Irbilu parę razy dziennie wyłączają prąd), ciche chrzesty przewracanych stron manuskryptów, uderzenie drewnianego wałka o blat ławki, trzask migawki aparatu, nasze westchnienia i zachwyty. I spokojny głos Samera.

„To piąte tłumaczenie Nowego Testamentu na syriacki, rok 1660. Z marginaliami, zobaczcie, jakie są drobne. Po syriacku i grecku. To rodzaj przypisów, objaśnień obcych, nowych słów. Tak jakby kopista chciał uspokoić, że choć nieznanne, nie są groźne. Z marginaliów w tej księdze broniłem doktorat. Ten fragment odczytywano w Boże Narodzenie. To jeden z najcenniejszych manuskryptów, jakie mamy. Na ostatniej stronie jest data: 1885. Wtedy odkupiono go od jednego z mnichów z klasztoru Rabban Hor-

mizd, za 35 srebrnych monet – wszystko tu zapisano. Obok widać zarys krzyża. Tu jest napisane: »Dzięki Tobie pokonamy wrogów«. Widzicie dobrze?».

„Wykonano ją ze skóry gazeli. To Księga Estery, prezent od żydów z Alkuzu z XVI w. Przepiękna. Jaka miękka w dotyku... Czytało się ją tak, w stary sposób. Większe pergaminy miały wałki na dwóch końcach, żeby było łatwiej czytać. Ale to jest małe, wystarczy jeden”.

„A tu, na ostatniej stronie liczby. Niektóre zapisane ołówkiem. W 1966 r. jakiś ksiądz zanotował, że ten manuskrypt powstał w roku 1511 podług greckiego kalendarza. Minus 311 – to daje rok 1200 dla nas. Zapisał też liczbę 766, tak stara wtedy była ta księga. Dziś ma 820 lat”.

Na drugim nagraniu proszę Samera, aby przeczytał coś po syriacku. Wybiera swój ulubiony fragment, początek Ewangelii św. Marka.

„Idzie za mną potężniejszy ode mnie”...

©© MARCIN ŻYŁA

Na powszech.net/alkusz można przeczytać wywiad z o. Samerem Soreshowem Yohanną oraz odsłuchać czytany przez niego fragment Nowego Testamentu. Budowę Scriptorium Syriacum w Irbilu można wesprzeć przelewem na konto Fundacji Most Solidarności nr 37 1600 1462 1883 6897 8000 0004 (z dopiskiem: „Irak”).

Więcej na stronie:
www.mostsolidarnosci.org

Romowie są w domu

PATRYCJA BUKALSKA

Pod koniec lutego Słowacy będą wybierali nowy parlament. Kampania toczy się jednak nie wokół programów partii, ale tego, czy krajowi grozi brunatna fala.

KIEDY W UBIĘGŁYM ROKU WYBORY Prezydenckie wygrała Zuzana Čaputová z nowej partii Postępowa Słowacja (PS), uznano to za sygnał, że Słowacja wybiera liberalny, proeuropejski, otwarty kierunek polityczny. Już wtedy jednak pojawiały się ostrzeżenia, że ludzie rozczarowani dotychczasową sceną polityczną, niszczoną przez kolejne skandale korupcyjne i przykłady nadużycia władzy, mogą głosować na nowe ugrupowania liberalne, ale mogą też wybrać partie ekstremistyczne. Bo one również obiecują rozliczenie z establishmentem i – odmiennie zapewne rozumiany – porządek.

Ugrupowaniem, które efektywnie zbiera te głosy, jest Partia Ludowa – Nasza Słowacja (L'SNS) Mariana Kotleby. Ugrupowanie faszyzujące, otwarcie odwołujące się do tradycji słowackiego państwa księdza Jozefa Tisy, satelity nazistowskich Niemiec w czasie II wojny światowej. W sondażach partia Kotleby jest już na drugim miejscu (ok. 13 proc.), za rządzącą partią socjaldemokratyczną Smer-Sociálna Demokracia (18 proc.). W poprzednich wyborach zdobyła ponad 8 proc. głosów i 14 mandatów. Teraz idzie po więcej.

Brunatna linia

Jeszcze kilka tygodni temu sądzono, że wybory odbędą się w cieniu procesu oskarżonych o zlecenie i zabójstwo dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej Marty Kušnírovej. Ich śmierć dwa lata temu wyprowadziła Słowaków na ulice i doprowadziła do dymisji premiera Roberta Ficy. Wydawało się, że każdy dzień

rozprawy ujawniający powiązania świata przestępczego z politykami czy wymiarem sprawiedliwości jest dla rządzących obciążeniem. Nieoczekiwanie jednak ciężar kampanii przesunął się w inną stronę. Nowa linia podziału przebiega między Kotlebą i jego zwolennikami a tymi, którzy postanowili się im przeciwstawić. I to już teraz, nie czekając, aż kotlebowcy staną się jedną z głównych sił w parlamencie.

W styczniu w miejscowościach, gdzie odbywały się mityngi wyborcze L'SNS – m.in. w Koszycach czy Lewoczy – zorganizowano antyfaszystowskie protesty. Uczestnicy mieli transparenty z przekreśloną swastyką i takie hasła jak „My jesteśmy tu w domu”, „Nasi dziadkowie z faszystami nie dyskutowali”, „Nie pozwólmy złu zwyciężyć”. Byli to w znacznej części mieszkańcy, działacze lokalnych inicjatyw obywatelskich czy NGO-sów, ale też miejscowi Romowie. Ci ostatni protestowali tańcząc i śpiewając. Była też grupa polityków z koalicji Postępowa Słowacja/Razem (PS/Spolu), wśród nich Irena Biháriová, wiceprzewodnicząca PS, prawniczka i Romka. Już kilka miesięcy temu zapowiadała, że nie odda ekstremistom ulic. Jak podkreślała, nie chodzi o konfrontację, lecz o sprzeciw wobec propagandy kotlebowców. O pokazanie swojej niezgody, ale też dotarcie do ludzi, którzy na Kotlebę głosują, o rozmowę z nimi i próbę zrozumienia ich motywacji.



CENTRUM VOLNÉHO ČASU CYRČEK

Romski wybór

Romowie na antyfaszystowskich demonstracjach to nowe zjawisko. Z jednej strony nie powinno to dziwić, bo w słowniku kotlebowców „cygański pa-sożyt” czy „cygański terrorysta” zadomowił się na dobre. Teraz, kiedy Kotleba rośnie w siłę, Romowie mają prawo zacząć się naprawdę bać. „Musieliby być ślepi i głusi, żeby nie dostrzec takiego zagrożenia” – mówił w wywiadzie dla „Deníka N” streetworker Braňo Oláh, pracujący na terenie z Romami. Z drugiej jednak strony, Romowie wcześniej nie angażowali się w tego typu obywatelski aktywizm i raczej nie interesowali się polityką. Dlaczego zatem teraz wyszli na ulice?

– Po prostu mają już dość – mówi „Tygodnikowi” Elena Gallová Kriglerová z Centrum Badań nad Etnicznością i Kulturą (CVEK). – Są celem neonazistów już od dawna. Dotychczas raczej nie wychodzili poza swoje środowisko, a teraz to zrobili, są widoczni. Jesteśmy przyzwyczajeni, że Romowie są przedmiotem polityki innych, działań wobec nich. Tymczasem teraz sami stają się aktorami zmiany. Myślę, że to bardzo ważne.

Udział w protestach to nie wszystko. Chodzi o to, by Romowie poszli głosować. Inicjatywa Opere Romá prowadzi kampanię „Twój wybór to twój głos”. Braňo Oláh potwierdza zaś, że Romowie rzeczywiście pytają go o wybory i programy partii.

*Annamária,
romska
dziewczyna,
która wygrała
bieg na 750 m
w Moldavie
nad Bodvou,
2018 r.*

*Irena Bihariová
Progresívne
Slovensko,
antyfaszystowski
protes.
Lewocza,
styczeń 2020 r.*



PROGRESÍVNE SLOVENSKO

– Przede wszystkim chcą mieć pewność, że dana partia jasno odetnie się od faszystów. Że powie, że z nimi nigdy [nie będzie współpracować] – mówił.

Irena Bihariová przyznała, że sama była zaskoczona tym, ilu Romów bierze udział w antyfaszystowskich protestach. Zwróciła też uwagę na coś bardzo ważnego – na chwilę, gdy w Sobrancach wszyscy zebrani wołali „Romowie są nasi”.

– Mogę sobie wyobrazić, że to także wiele znaczyło dla Romów. W końcu poczuli, że są częścią „wspólnej sprawy”, że ktoś się z nimi liczy, że mają wśród większości sprzymierzeńców – wyjaśniała.

W naszym imieniu

Romowie są jedną z największych i zarazem najbardziej wykluczoną słowacką mniejszością etniczną. W ponad pięćmilionowym kraju mieszka ich, według różnych szacunków, między 100 tysięcy a 450 tysięcy. Dotyka ich masowe niemal bezrobocie, segregacja w szkołach, uprzedzenia. Wielu mieszka w osadach na wschodzie kraju, bez prądu i kanalizacji. I tak jest od lat. Problemy pozostają nierozwiązane.

– W sensie technicznym, ekonomicznym może jest jakaś mała zmiana na lepsze, poprawiły się warunki życia, ale jeśli chodzi o sferę publiczną, Romowie nadal są niemal niewidoczni – mówi Kriglerová. Najważniejsze pozostaje zrównanie szans edukacyjnych romskich dzieci.

W 2018 r. Słowację obiegło zdjęcie 13-letniej Annamarii, Romki, która wygrała bieg na 750 metrów w Moldavie nad Bodvou. Stała na podium, wyraźnie odróżniając się od dziewczynek, które przybiegły jako druga i trzecia. Nie tylko dlatego, że była znacznie od nich drobniejsza. Na nogach miała zniszczone, stare baletki. Innych butów po prostu nie miała, biegła w takich i w takich wygrała. Zdjęcie stało się symbolem nierówności szans romskich dzieci.

Zdaniem Ireny Bihariovej, przez ostatnich 30 lat politycy nie rozumieli przyczyn, dla których Romowie znaleźli się na marginesie społeczeństwa: „Nic o tym nie wiedzą. I dlatego (...) nie byli w stanie rozwiązać problemu. Długo nie było nikogo, kto by mówił o nas i w naszym imieniu: o etnicznych Romach, którzy przeszli przez integrację lub kulturową asymilację, ale swoje pochodzenie widzą jako część swojej tożsamości. Czas na zmianę”.

– Bihariova może być jednym z powodów, dla których Romowie zaczynają aktywizować się politycznie. Jest ważną osobą, bardzo widoczną. To dla nich dobry przykład – uważa Elena Kriglerová.

Aby Słowak był panem

31 stycznia w Trnawie spotkanie kotlebowców i uczestników antyfaszystowskiego protestu potoczyło się inaczej niż wcześniejsze spotkania i obie strony obwiniają się o przemoc. Grupa zwolenni-

ków Kotleby przysłała na miejsce w maskach na twarzy. Ich przeciwnicy mieli mieć prowokujące hasło „Skończycie jak Tiso” [Jozef Tiso został po wojnie skazany i powieszony – red.]. Z obu stron miały lecieć grudy ziemi i plastikowe butelki. Po mityngu grupa działaczy PS/Spolu została napadnięta i pobita.

Socjolog Michal Vašečka podkreśla ryzyko konfrontacji z faszystami. „Kiedy przyjdzie do rozbijania mityngów, to wygra ten silniejszy, brutalniejszy” – mówi, a w jednym z wywiadów przywołuje przykład z Niemiec z lat 30., gdzie naziści ścierali się na ulicach z socjaldemokratami czy komunistami. Jego zdaniem, sytuacja jest jednak poważna, a poparcie dla L'SNS może jeszcze wzrosnąć. Zwłaszcza gdy do urn pójdą wyborcy dotąd nieaktywni czy niezdecydowani.

Tymczasem partia Kotleby mogła być zdelegalizowana, ale w ubiegłym roku sąd odrzucił wniosek w tej sprawie, dochodząc do wniosku, że zagrożenie demokracji z jej strony nie jest bezpośrednie. Bo co prawda zasiada ona w parlamencie, ale nie ma dość mandatów dla przeprowadzenia ustaw.

Pytanie, czy po tych wyborach – albo jeszcze kolejnych – może się to zmienić. A wśród celów kotlebowców jest np. taki: „aby był Słowak na Słowacji panem, a nie niewolnikiem w służbie cudzoziemców, imigrantów i mniejszości narodowych”.

Zmiana – ale jaka?

29 lutego kotlebowcy mogą zdobyć więcej mandatów niż poprzednio, ale ważniejsze są inne pytania: o to, kto z kim będzie w stanie utworzyć rząd. Bo żadna z partii nie ma raczej szans na samodzielne rządy. Jaki będzie zatem wynik partii liberalnych? Czy pozwoli im utworzyć wspólny gabinet? To potwierdziłoby liberalny profil Słowacji. Ale jeśli wygra rządzący od lat Smer, to czy zdecyduje się na cichą, nieoficjalną koalicję z Kotlebą? Już teraz wiadomo jednak: kotlebowców, nawet jeśli będą w parlamencie izolowani, nie będzie można zignorować. Część Słowacji brunatnieje.

A co z Romami?

– To, co się teraz dzieje, ich aktywizacja, to dobry znak – mówi Elena Kriglerová. – Ale to tylko początek. Powinna po nim nastąpić współpraca i akceptacja ze strony większości. Tak by w sferze publicznej czuli się na swoim miejscu.

© PATRYCJA BUKALSKA

Pokój potrzebny od zaraz

**MERON RAPOPORT, WSPÓŁZAŁOŻYCIEL
IZRAELSKO-PALESTYŃSKIEJ
ORGANIZACJI NA RZECZ
ROZWIĄZANIA JEDNOPAŃSTWOWEGO:**

**Plan Trumpa oddala szanse
na porozumienie na Bliskim
Wschodzie. Ale może
przynajmniej teraz proces
pokojoy znowu stanie się
priorytetem.**



Dziewczyna z palestyńską flagą protestuje przeciwko bliskowschodniemu planowi pokojowemu Donalda Trumpa, Bilin, Zachodni Brzeg, luty 2020 r.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:

Co pomyślałeś, gdy po raz pierwszy usłyszysz o ogłoszonym właśnie pokojowym planie Donalda Trumpa?

MERON RAPOPORT: Byłem zaskoczony. Dowiedziałem się o nim z telewizji: izraelski kanał 12 cytował główne punkty tego planu, przedstawiając go w sposób absolutnie biało-czarny, tak jakby chodziło w nim głównie o natychmiastową aneksję osiedli na Zachodnim Brzegu pod silnym patronatem USA. Stwierdzono nawet, że Izrael dostał teraz spory kredyt finansowy, który później przyjdzie mu spłacić. Bardzo mnie to zasmuciło.

Ale przecież ten plan zakłada znacznie więcej. Lektura całości potwierdziła Twoje obawy?

Nie ulega wątpliwości, że plan Trumpa jest okropny. Bardzo powierzchowny – aż

wstyd, że to jest rezultat trzech lat pochylania się nad tematem. To, co przeczytałem, w żaden sposób nie oddaje złożonego obrazu sytuacji. Ba, nie podejmuje nawet próby głębszego jej zrozumienia! To po prostu nieprofesjonalne.

Poza tym nigdy nie widziałem tak jednostronnego dokumentu. Wszystko, co się w nim znajduje, przedstawia izraelską perspektywę. Palestyńczycy jako podmiot w ogóle w tym planie nie występują. Nie mają własnej woli, właściwie zupełnie pozbawieni są prawa do istnienia. Są bytem, którego obecność należy znosić, jakoś się z nim pogodzić.

Reasumując – oczywiście, ten plan oddala jakiegokolwiek poważne wysiłki na rzecz pokoju na później. Nie tylko dlatego, że nie ma w nim właściwie żadnego punktu, który by temu pokojowi sprzyjał. Również dlatego, że po kolejnym takim rozczarowaniu gotowość Palestyńczyków do rozpoczęcia rozmów znacznie maleje.

Co mówią palestyńscy członkowie Twojej organizacji? Na przykład jej drugi współzałożyciel, Awni Al-Mashni?

Reakcje Palestyńczyków można podzielić na dwa rodzaje. Jeden to sprawozdanie wszystkich rozmów i wysiłków

pokojoych do czczego gadania, które nigdy do niczego dobrego nie doprowadzi, niczego nie zmieni w rzeczywistości. Drugi – to przekonanie, że Izrael, przy pełnym wsparciu ze strony USA, pragnie wymazania narodowej palestyńskiej egzystencji na tym terenie. Palestyńczycy wyrażający ten drugi pogląd są również pewni, że izraelskie społeczeństwo – a przynajmniej spora jego część – jest co do słuszności tych zamiarów przekonane. To podejście pokazuje, że szanse jakiegokolwiek pokojowego porozumienia są w tej chwili właściwie niemożliwe. Nie w ramach rozwiązania dwupaństwowego – bo przecież Izrael nie jest gotowy, by zrezygnować ze swoich osiedli na Zachodnim Brzegu. A więc cała idea granic palestyńskiego niepodległego państwa zupełnie tutaj znika.

Tvoja organizacja „Dwa kraje, jedna ojczyzna” stara się wypromować zupełnie inną wizję. Powiedziałabym – bardzo utopijną, która do tej pory nie była brana poważnie w myśleniu o negocjacjach pokojowych. Mimo to w nią wierzysz.

Zaczęliśmy się spotykać jakieś siedem lat temu jako mała grupa Izraelczyków i Palestyńczyków, którzy dobrze rozumieli, że obecny sposób myślenia o roz-



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

będzie rozmawiać z Agnieszką Lichnerowicz w Światopoglądzie Radia TOK FM w środę 12 lutego o godzinie 16.00.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

wiązaniu dwupaństwowym – czyli idei z początku lat 90., okresu porozumień z Oslo – jest w kompletnym impasie i nie może się zakończyć żadną pokojową umową, bo ignoruje wiele podstawowych faktów o tym konflikcie.

Od początku twierdzimy np., że pomysł, by odseparować od siebie Izraelczyków od Palestyńczyków, Żydów od Arabów, tak by nie dochodziło między nimi do żadnych tarć, jest zupełnie odrealniony. Bo rzeczywistość jest taka, że i Żydzi, i Arabowie, Palestyńczycy i Izraelczycy są na tej ziemi i siebie w domu. Że mają bardzo emocjonalne do niej podejście: kiedy Żyd i Palestyńczyk mówią „ojczyzna”, odnoszą się do tych samych miast czy obszarów na mapie. Palestyńczyk powie, że „dom” to Ramallah i Jenin, ale też Hajfa. A dla Żyda jego *Erec Israel* to Tel Awiw i Ramat Haszaron, ale też Hebron. I Jerozolima – w całości. Wyobrażone granice swojego kraju dla obu narodów przebiegają niemal tak samo. I dlatego rozwiązanie zakładające separację w różnych punktach nie ma sensu.

Dobrym przykładem jest tu Jerozolima. Należy znaleźć bardziej całościowe podejście, bazujące na dzieleniu się tą ziemią. Lata mijają, a ja tylko utwierdzam się w przekonaniu, że to myślenie jest słuszne.

Ktoś w Izraelu traktuje Wasz pomysł poważnie?

Po upadkach kolejnych projektów pokojowych okazało się, że mamy rację – a więc teraz gotowość do wysłuchania nas jest większa. Na początku byliśmy zupełnie odrzucani przez resztę izraelskiego stronnictwa pokojowego. Od tego czasu zauważyli już, że ich podejście było błędne, i biorą teraz pod uwagę, że może nie trzeba od razu implementować tego pomysłu, ale warto go chociaż rozważyć.

Nie dostaliśmy się jeszcze z naszym pomysłem bezpośrednio do pokoju negocjacyjnego, ale przecież od około sześciu lat nie było żadnych poważnych negocjacji. Plan Trumpa nie może być nazwany negocjacjami, bo odbył się... bez nich. Przy stole usiedli tylko Izraelczycy i Amerykanie.

Na razie nasza wizja draży skalę. Mamy nadzieję, że gdy negocjacje zostaną kiedyś wznowione – choć nie wiem, kiedy i jak – będzie to dla nas kluczowy moment. Pracujemy nad tym, by być gotowymi,

by móc położyć nasz pomysł na negocjacyjnym stole, gdy to się zacznie.

Ale chyba nie z tym rządem? Palestyńscy politycy również nie wydają się teraz gotowi na jakiegokolwiek rozmowy.

Owszem, trudno sobie wyobrazić Netanjahu i ortodoksyjnych członków naszego rządu, jak dobrowolnie zrzekają się supremacji w tym planie. To trudne i raczej nie należy liczyć choćby na to, by zrozumieli nasze argumenty. Nie wiem, co mogłoby sprawić, żeby zrozumieli, że porozumienie pokojowe jest dla Izraela kluczowe. Ale też wiele wymaga.

A jednak nauczyłem się, by nie przekreślać żadnych opcji rozwoju sytuacji. Gdy pod koniec lat 80. pracowałem w gazecie, wszyscy – dziennikarze, badacze, specjaliści – byli przekonani, że nie ma szans, by ZSRR upadł – a jednak tak się stało. Nigdy nie wiadomo, jak potoczy się historia i jak będzie zmieniała się sytuacja w decydujących krajach i w regionie.

Co ważne: nasza propozycja jest dużo łatwiejsza do zrealizowania, bo pozwala uniknąć jakichś dramatycznych zmian w rzeczywistości. Do rozwiązania dwupaństwowego nie tylko trudno jest przekonać ludzi, ale też sama implementacja jest trudna. Bo jak wytyczyć granice? Jak zdemontować osiedla? Jak podzielić Jerozolimę?

Ale czy ludzie są gotowi, by żyć obok siebie? Abstrahując od polityki – przecież tyle w obu narodach wzajemnego strachu i furii...

Odpowiem krótko: tak. Nie jestem ślepy na fakt, że brakuje nam wzajemnego zaufania, zainteresowania i że szerzy się nienawiść. Ale spojrzymy na mniejszość palestyńską w Izraelu. To 1,7 mln ludzi, którzy są dyskryminowani od ponad 70 lat: ich ziemia została zabrana, niektóre wioski zniszczone, żyją pod dyktando wojska, rozdzielono rodziny. Oni postrzegają siebie jako część narodu Palestyńczyków, wobec Żydów zaś czują niechęć. Żydzi z kolei traktują ich jako część krajobrazu. Bo trudno, by było inaczej: idziesz do szpitala – masz 25 proc. szans, że trafisz na palestyńskiego lekarza. Wsiadasz do autobusu – 60 proc. szans, że twój kierowca to Palestyńczyk. Propozycja życia w jednym kraju nie oznacza, że musimy się od razu kochać czy wspólnie zakładać rodziny.

Wystarczy, że będziemy w spokoju żyli jeden obok drugiego. Co ciekawe, nawet na Zachodnim Brzegu słysząc o w miarę normalnych relacjach między osadnikami i Palestyńczykami – choć oczywiście nie zdarza się to zbyt często.

Jaka jest cena za brak pokoju?

Trudno mi odpowiadać za Palestyńczyków, ale nie ulega wątpliwości, że dla nich koszty okupacji są szalenie wysokie. Z pewnością będzie to brak niepodległości, niemożliwość działania zgodnie z własną wolą. Zagrabienie ziemi. Poczucie poniżenia. To, że są kontrolowani od momentu, gdy się budzą, aż do chwili, gdy zamykają oczy. Przemoc.

Dla Izraela te koszty są również nie małe – choć nie sposób nie zauważyć, że np. zmagając się co dzień z kwestiami bezpieczeństwa, stał się w tej dziedzinie technologicznym światowym liderem, co w jakiś sposób jest pozytywnym skutkiem tej sytuacji. Reszta wygląda już gorzej: Żydzi nie czują się tu, na Bliskim Wschodzie, akceptowani. Wiedzą, że ich przyszłość nie jest zabezpieczona. Nie mają pewności, czy ich dzieci i wnuki będą tu chciały żyć. Setki tysięcy Izraelczyków proszą dziś o portugalskie paszporty. Czemu? Nie chodzi o to, że chcieliby jutro emigrować, ale nie mają pewności, czy nie trzeba będzie uciekać.

Co teraz? Jak będzie wyglądał proces pokojowy po planie Trumpa?

Mam nieśmiałą nadzieję, że przyniesie on choćby jeden pozytywny skutek: że proces pokojowy – od lat niebędący najwyższym priorytetem w agendach rządów izraelskich, palestyńskich i dla wspólnoty międzynarodowej – wróci na szczyt listy najważniejszych zadań do wykonania. Że zainteresowane strony podejmą refleksję i dojdą jednak do przekonania, że dotychczasowego *status quo* nie da się utrzymać. Że potrzebny jest pokój zaraz, natychmiast, że trzeba mu nadać nowe znaczenie.

© Rozmawiała w Tel Awiwie

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



MERON RAPOPORT jest telawiwskim dziennikarzem i aktywistą. Współzałożył – wraz z Palestyńczykiem Awni Al-Mashnim – organizację „Dwa kraje, jedna ojczyzna”.

Rewolucja rodzi się w górach

AGNIESZKA ROSTKOWSKA

W Afganistanie nie ma ani jednego rodzimego instruktora wspinaczki wysokogórskiej. To niedługo się zmieni – i to za sprawą kobiet, które w ośnieżonych szczytach dostrzegły szansę na dokonanie społecznego przewrotu.

HANIFA YOUSOUFI NIE JEST PEWNA, ILE miała lat, kiedy wydaną ją za mąż. Czternaście, może piętnaście. Trudno dobiec, bo niepiśmienni rodzice nie zanotowali daty urodzenia żadnego ze swoich ośmiorga dzieci.

Liczący mają zresztą w tej historii pomniejsze znaczenie, nie da się w nich zawrzeć skali koszmaru, jaki zgotował Hanifie mąż. Dużo od niej starszy, zabrał ją do sąsiedniego Pakistanu, by tam przemocą zmuszać do pracy ponad siły – sprzątania, gotowania i służenia całej rodzinie. Co jeszcze działo się za zamkniętymi drzwiami, wie tylko Hanifa. Kiedy przyjechała ją odwiedzić jedna z sióstr, nie musiała o nic pytać. Przekonała ją do niemal niemożliwej w afgańskim społec-

DAN WHEELER

Zajęcia sportowe pomagają Afgankom zyskać szacunek, wiarę w siebie i kontrolę nad własnym życiem



czeństwie decyzji – ucieczki i rozwodu. Jej rodzina wykonała równie rzadki krok: przyjęła ją z powrotem do domu.

Tego domu Hanifa już nie opuszczała. Stała się milcząca, nieobecna. Dla wielu kobiet w Afganistanie rozwód jest gorszy od śmierci. To jak pochowanie za życia. Bóg jeden wie, w jaki sposób kuzynka Hanify, Shogufa Bayat, wyciągnęła ją z mroku i przyprowadziła na zajęcia do jednej z organizacji pozarządowych.

Niedługo później, dzięki pomocy pewnej Amerykanki, obie zapiszą się w historii Afganistanu.

Kobiety na szczycie

Zaczynając pracę w Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji, Marina LeGree chciała zajmować się Gruzją. Wysłano ją jednak nie na Kaukaz, lecz do Badachszanu, prowincji w północno-wschodniej części Afganistanu.

Kiedy przyjechała na miejsce, onie miała. Tutejszych gór nie da się z niczym porównać. Są potężne, niemal nie z tego świata. Zwłaszcza Noszak, najwyższy szczyt Afganistanu i drugi co do wysokości szczyt Hindukuszu.

– Siedem tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dwa metry spektakularnego piękna, z którym miejscowi nie mają kontaktu. W Afganistanie wspinaczka

jest dość odległym, niezrozumiałym konceptem – opowiada mi Marina. – Pierwsi Afgańczycy wspięli się na Noszak dopiero w 2009 r. Pomyślałam wtedy, że to wspinała wiadomość. A zaraz potem, że skoro mężczyźni mogli tego dokonać, to mogą i kobiety.

Nie wszyscy Afgańczycy zgodziliby się z nią. Przez to tradycyjnie patriarchalne społeczeństwo od dekad przetacza się kolejne fale radykalizmu. Rządzący w latach 1996–2001 talibowie pozbawili kobiety niemal wszelkich praw, nawet do edukacji i opieki medycznej. Z domu mogły wychodzić tylko z mężem lub krewnym. I chociaż to już przeszłość, a uchwalona w 2004 r. konstytucja gwarantuje równouprawnienie, Afganistan pozostaje wśród państw, w których kobietom żyć najtrudniej. Władze dalekich prowincji często nie wiedzą o przyjmowanych pod naciskiem zagranicy ustawach chroniących prawa kobiet, a od przepisów ważniejsza bywa wielowiekowa tradycja i opinie starszyny. Wciąż często zdarzają się tzw. zabójstwa honorowe, a większości przypadków przemocy domowej nawet się nie zgłasza.

– W Afganistanie odsetek samobójstw wśród kobiet jest wyższy niż wśród mężczyzn – komentuje Marina. Kiedy wyjeżdżała stąd po trzech latach pracy, czuła się zmęczona problemami tego kraju. – A zarazem wiedziałam, że zmęczony jest nimi cały świat, międzynarodowa pomoc się zmniejsza, a na miejscu zostają moi przyjaciele, którzy potrzebują perspektyw. Czułam, że aby mieli jakąkolwiek przyszłość, trzeba zmienić sposób traktowania kobiet.

Trening szacunku

Wkrótce Marina wróciła do Afganistanu, pracowała dla NATO. A kiedy i to dobiegło końca, w grudniu 2014 r. założyła w Kabulu organizację pozarządową Ascend.

– Afganki są od siebie odizolowane. W przestrzeni publicznej nie ma miejsc, w których mogłyby się spotkać, porozmawiać, spędzić razem czas i wzajemnie wesprzeć. Ascend miał zapewnić tę przestrzeń – opowiada Marina. Organizacja prowadzi dwuletni program zajęć sportowych dla kobiet, ukierunkowanych na wspinaczkę. A także warsztaty uczące, jak publicznie zabierać głos, działać w grupie i jej przewodzić, oraz zajęcia, w czasie których uczestniczki po prostu opowiadają o sobie i swoich marzeniach. Czasem po raz pierwszy w życiu.

Dziewczyny angażują się też w wolontariat, który organizują same, we współpracy z lokalnymi władzami. Na przykład wspólne sprzątanie okolicy albo prezentacje dla szkół, mające zainspirować uczniów do działania. Ale przede wszystkim uczą się wiary w to, że są zdolne do rzeczy, o które nikt by ich nie podejrzewał.

Marina: – Wiadomość o pierwszej edycji programu puściliśmy pocztą pantoflową. Zgłosiło się trzynaście Afganek. Główną częścią projektu były zajęcia sportowe. Bo sportowcy wszędzie, na całym świecie, bez wyjątku, są darzeni szacunkiem. Chciałam, by i te dziewczyny zyskały szacunek i poczucie własnej wartości.

→



⇒ Raz w tygodniu Marina organizuje podopiecznym trening za miastem. Latem, dwa razy w miesiącu, kilkudniowe wyprawy w góry. A raz do roku – niemal miesięczną ekspedycję.

To jedna z tych ekspedycji zmieniła życie Hanify i Shogufy.

Pierwszy rekord

Shogufa dowiedziała się o Ascend z jednej z prezentacji wygłaszanych w szkołach przez pierwsze uczestniczki programu. Bez zastanowienia wypełniła zgłoszenie. Zachęcali ją do tego nauczyciele.

Już po kilku minutach rozmowy z Shogufą można zrozumieć dlaczego. Połączenie z Kabulem jest słabe, rwie się, trzeszczy, zawiesza. Ale mimo zakłóceń w jej głosie czuć niebywałą siłę. Taką, której nic nie zatrzyma. – Mama i babcia były bardzo przeciwne, bały się o mnie. Ale tata mnie wsparł. Nie ma wykształcenia, a jednak rozumiał, jaka to dla mnie szansa. Powiedział, że mam ją wykorzystać. I zawsze pamiętać, że jestem silna – Shogufa wyjaśnia, w jaki sposób, w wieku zaledwie 16 lat, wzięła udział w drugiej edycji programu.

Celem pierwszej ekspedycji Ascend był Noszak. W wejściu na szczyt mieli pomóc Malang Darya i Amrudin Sanjer, jego pierwsi afgańscy zdobywcy. – Wspaniałe chłopaki, zaprzyjaźniliśmy się – wspomina Marina. – Okazało się jednak, że nie mają umiejętności technicznych. Są bardzo silni, znają teren, ale nie są w stanie przeprowadzić szkolenia, jakiego potrzebowaliśmy. Nie wiedzieli też, jak zaplanować dużą wyprawę. Są analfabetami, więc drobiazgowo, skomplikowane kalkulowanie budżetu, przygotowanie ekwipunku i kreślenie scenariuszy awaryjnych przekroczyło ich kompetencje.

A był to dopiero początek długiej listy wyzwań, z których ostatnim było odebranie przez afgański rząd licencji czarterowej linii, którą ekipa miała lecieć do Badachszanu. Przeszkoda nie do pokonania, bo droga lądowa z Kabulu, przez terytoria kontrolowane przez talibów, nie wchodziła w grę. Zamiast do Badachszanu, dziewczyny pojechały więc do Pandższaru, ok. 150 km na północny wschód od Kabulu. To była pierwsza wyprawa Shogufy i Hanify.

– Dwadzieścia dwa dni, 13 kobiet z dwiema przewodniczkami, trzy szczyty, zero poważniejszych obrażeń i rekord: żadna Afganka nie weszła tak wysoko

jak dziewczyny Ascend – Marina pęka z dumy. – Kiedy zeszły z gór, w biurze gubernatora prowincji odbyło się wielkie świętowanie ich sukcesu. Ci wszyscy konserwatywni mężczyźni z długimi brodami i skostniałymi poglądami wygłaszali mowy z gratulacjami dla naszych dziewczyn! To było nie tylko przełamanie tradycyjnego podziału na role kobiece i męskie, ale i przekroczenie podziałów etnicznych.

Hanifa wchodzi na szczyt. I znika

Z próby zdobycia Noszaka nie zrezygnowano. W lipcu 2018 r. wszystko było gotowe. Aż na dzień przed wylotem prowincja Zebak, skąd miała wyruszyć wyprawa, zamieniła się w pole walki pomiędzy talibami a siłami rządowymi na dawno niewidzianą skalę. Pilot odmówił lotu. Tym razem Marina nie zamierzała ustąpić. Wynegocjowała lot do wioski oddalonej o 13 godzin drogi od Qazi Deh, miejsca, skąd miały wyruszać do bazy.

Pierwszy tydzień upłynął pod znakiem aklimatyzacji. Pięć Afganek, wśród nich Shogufa i Hanifa, 41 tragarzy i wielkie podekscytowanie. Siódmego dnia, kiedy ekipa wyruszyła do obozu pierwszego, nastąpiło to, czego nikt nie wziął pod uwagę. Przewodniczki zdały sobie sprawę, że przeliczyły siły i umiejętności swoich podopiecznych. Noszak to niełata góra, a członkinie wyprawy dopiero co nauczyły się używać raków, lin i czekanów. Nie było złudzeń: jeśli któraś z nich ma szansę, by zdobyć szczyt, to jedynie najsprawniejsza i najbardziej wytrzymała Hanifa.

Dla Shogufy był to trudny moment. – Nie zapomnę tego, jak mi o tym powiedzieli. Nigdy, nigdy! Kiedy o tym pomyśle, płaczę – mówi szybko i emocjonalnie. Tego dnia zrezygnowała ze swojego marzenia, usunęła się w cień i starała się wspierać Hanifę na tyle, na ile pozwalało jej zranione serce.

Hanifa jako pierwsza Afganka zdobyła szczyt.

Sukces ogłoszono dopiero kilka dni później. Bo osiągnięcia na taką skalę to nie tylko gloria i chwała, ale przede wszystkim ryzyko, wystawienie się wprost na celownik radykałów, którzy przeprowadzają w kraju krwawe ataki. 17 września 2019 r., tylko jednego dnia, w dwóch zamachach, w Kabulu i Charikar, zginęło 48 osób, a dziesiątki zostały rannych.

Lęk siedł w parze z radością. Hanifa ze swoją historią jeździła po szkołach i przekonywała uczennice, że i one mogą wziąć los w swoje ręce. Szczególne znaczenie miała dla niej wizyta w ośrodku, w którym schronienie znalazły ofiary przemocy domowej – takie jak ona kiedyś. Długo chodziła rozpromieniona myślą, że przywróciła kobietom nadzieję. A potem nagle zgasła. Poszła do okolicznej piekarni, w której właściciel wywiesił na ścianie jej zdjęcie na szczycie Noszaka, i poprosiła, by je zdjął. A następnie poinformowała Ascend, że przestaje udzielać się publicznie. Jej szwagier zagroził, że ją zabije, jeśli się nie wycofa – uzasadniła. I choć Ascend oferował jej pełne wsparcie, Hanifa go nie przyjęła.

Zniknęła z przestrzeni publicznej. Dziś nie sposób się z nią skontaktować.

Mąż poczeka

Shogufa nie zdobyła Noszaka, ale z drogi prowadzącej na szczyt nie zeszła.

– Poprosiłam tatę, żeby im wszystkim odmawiał. O moją rękę prosiło już sześć rodzin. Tata odpawił je z kwitkiem – opowiada z satysfakcją. Dużo mówi o ojcu. Widać, że łączy ich silna więź. – Nawet w stolicy, Kabulu, wiele rodzin nie wysyła córek do szkół. Uważają, że dziewczynka ma siedzieć w domu i jak najwcześniej wyjść za mąż. Trzeba z tym walczyć! – głos Shogufy przybiera wojowniczy ton.

Według afgańskiego prawa kobieta może wziąć ślub od 16. roku życia (lub od 15. – jeśli ma zgodę rodzica, opiekuna lub sądu), mężczyzna zaś od 18. roku. W praktyce za mąż wydawane są jeszcze młodsze dziewczynki. – Jestem wdzięczna mojej rodzinie, że mnie na to nie skazała i pozwala mi się uczyć. Po ukończeniu programu Ascend zaczęłam studia, język angielski. Dopóki ich nie skończę, nie wyjdę za mąż – deklaruje Shogufa.

– O to nam chodzi! – śmieje się Marina. – Kiedy rodzice kilkunastoletnich Afganek zaczynają myśleć o tym, że czas wydać je za mąż i wyprowadzić z domu, wtedy wchodzimy my, Ascend. Prosimy: „Pozwólcie, by córka przychodziła do nas codziennie po szkole na dwie, trzy godziny pięć dni w tygodniu. Pokryjemy wszelkie koszty, a po dwóch latach będzie mądrzejsza i pewniejsza siebie”. Nie próbujemy walczyć z talibami ani innymi radykałami, chcemy doprowadzić do zmian

w rodzinach i lokalnych społecznościach – wyjaśnia.

Każda kobieta zakwalifikowana do Ascend musi mieć zgodę rodziny. W czasie trwania programu Marina osobiście informuje bliskich o jego przebiegu, planach, wyjazdach. Ostatnio obowiązek ten przejęła Shogufa. Na rozmowę z nią musiałam poczekać kilka dni, bo była poza Kabulem, w górach, gdzie szkoliła nowe uczestniczki kursu. Niedługo będzie mogła robić to na dużo szerszą skalę: jest jedną z pięciu Afganek, które wkrótce zostaną pierwszymi w historii Afganistanu instruktorkami wspinaczki wysokogórskiej. Kurs – specjalnie dla nich – organizuje American Mountain Guide Association. Shogufa i jej cztery koleżanki ukończyły już pierwszą część.

– Wstępna ewaluacja wykazała, że w nich nie ustępują uczestniczkom kursów w USA. – W głosie Mariny czuć dumę. – Egzamin końcowy odbędzie się prawdopodobnie w lipcu. Jeśli dziewczyny go zdadzą, o pracę nie będą musiały się martwić. Prowadzimy już rozmowy z potencjalnymi pracodawcami w Kabulu.

Cel: Everest

Co roku do dwuletniego programu Ascend przyjmowanych jest około 20 uczestniczek. Ostatnio przyjęto ich aż 31, ze względu na rekordową liczbę chętnych (105). Od listopada Ascend ma biuro również w Pandższerze. Marina planuje otworzyć kolejną filię w Bamian, gdzie

MARINA:

Afganki są od siebie odizolowane. W przestrzeni publicznej nie ma miejsc, w których mogłyby się spotkać, porozmawiać, spędzić razem czas i wzajemnie wesprzeć.

za kilka dni, jeszcze w lutym, zorganizuje sześciodniowy Festiwal Sportów Zimowych. Shogufa będzie na nim pracować z lokalną młodzieżą i dziećmi. Marina ma nadzieję, że będzie to wydarzenie cykliczne, ale na razie nie podaje więcej szczegółów ze względów bezpieczeństwa.

Ryzyko nadal wpisane jest w to, co robi. – Nawet krótki wypad za miasto wymaga pozwoleń i współpracy z lokalnymi władzami, bo tereny wokół Kabulu to terytoria sporne. Na bieżąco monitorujemy sytuację, czasem zmieniamy plany. Musimy też pamiętać, że Afganistan wciąż jest krajem zaminowanym. Drogę na Noszak oczyszczono z min dopiero niedawno – zaznacza Marina.

Amerykanka wierzy jednak, że warto podejmować ryzyko. – Wspinaczka ma w tym wszystkim pomniejsze znaczenie. Kluczowe jest to, by dziewczyny zyskały kontrolę nad swoim życiem. Nie mamy

wystarczająco dużo pracowników, by śledzić losy absolwentek, ale chyba mogą za ryzykować stwierdzenie, że wszystkie po ukończeniu programu podjęły naukę, większość na uniwersytecie – cieszy się Marina.

W zeszłorocznej 24-dniowej ekspedycji w Pamir Shogufa nie mogła uczestniczyć. Miała egzamin na studiach, z którego nie chciała rezygnować. Nadal planuje zdobyć Noszak. Więcej, zamierza wejść na Everest. – Najdalej za pięć lat. Pięć lat! – powtarza, jakby ślubowała. Sama jest wzorem nie tylko dla swoich dwóch młodszych siostr, ale i dwóch braci. – To będzie długa, trudna droga. Nie sądzę, żeby moje pokolenie zobaczyło tę zmianę. Ale następne już może. Dlatego będę wszystkim dziewczynom mówić: „Róbcie wszystko to, czego się boicie. Lęk pomoże wam wzrosnąć. Macie w sobie wielką moc, tylko nie chcecie jej użyć!”.

– Shogufa nie jest jedyna. W Afganistanie jest wiele podobnych do niej kobiet – podsumowuje Marina LeGree, która czasem używa też drugiego nazwiska: Kiełpiński. Jej pradiadkowie byli Polakami. Ona sama pierwszy raz przyjedzie do Polski pod koniec marca, na zaproszenie Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, gdzie opowie o Afganistanie i niezwykłych Afgankach.

© AGNIESZKA ROSTKOWSKA

PONIŻEJ: Podopieczne Ascend w czasie jednego z treningów kondycyjnych



KASZUBSKI SZOK

Sto lat temu Pomorze Gdańskie wróciło do Rzeczypospolitej. Ale euforia jego mieszkańców szybko ustąpiła rozczarowaniu: Polska okazała się nie taka, o jakiej marzyli.

Przynajmniej na początku.

JAN SZKUDLIŃSKI

ZDAWAŁOBY SIĘ, ŻE W TAKIM MOMENCIE – gdy armia bolszewicka zbliża się ku stolicy Polski, niepodległej od półtora roku – inne troski zejść na plan dalszy. Jednak w lipcu 1920 r. posłowie uznali, że sprawa jest na tyle pilna, iż trzeba również jej poświęcić uwagę.

„Nie taką Polskę sobie ludność Pomorza wyobrażała, nie do takiej Polski przez setki lat tęskniła – mówił 8 lipca 1920 r. w Sejmie poseł Izidor Brejski. – Rozgoryczenie jest wielkie, i niechęć do Polski zatacza coraz szersze kręgi”. „Ludność nie jest zadowolona ani z administracyjnych władz, ani z wojska, ani z rozporządzeń ministerialnych (...) nie waham się oświadczyć, że ideał Polski najbardziej obniżył na Pomorzu żołnierz, który do nas przyszedł” – wtórował mu następnego dnia Feliks Bolt, poseł i zarazem ksiądz. „Gdybym zaczął mówić o władzy wykonawczej wojska (...) o nadużyciach, które dzieją się na Pomorzu, to trzeba by tomy pisać, ażeby ten temat wyczerpać” – grzmiał poseł Stanisław Wachowiak.

W podobnym tonie mówili inni posłowie, wskazując na wrzenie na Pomorzu. Kilka lat później działacz kaszubski Jan Karnowski stwierdził nawet: „Ta awersja doszła do takiego stadium, że poważnie myślący ludzie obawiali się o utratę korytarza pomorskiego”. Obawy były słuszne: latem 1920 r. do Warszawy docierało coraz więcej sygnałów o oburzeniu ludności Pomorza i zbieraniu podpisów pod petycjami do Ententy – to ona decydowała po I wojnie światowej, co i komu przypadnie

w Europie – by niektóre powiaty pomorskie przyłączyć do Wolnego Miasta Gdańska. Albo, na powrót, do Niemiec.

Wielka euforia...

A przecież zaledwie pół roku wcześniej było zupełnie inaczej. Entuzjazm mieszkańców Pomorza dla odrodzonej Polski był wtedy ogromny. Oddziały Wojska Polskiego, które w styczniu i lutym 1920 r. zajmowały tereny przyznane Polsce traktatem wersalskim, witano z radością. Wznoszono bramy powitalne, miejscowi działacze wygłaszali podniosłe mowy.

Kulminacją była uroczystość „zaślubin” Polski z morzem 10 lutego 1920 r. w Pucku. Wysłannik „Gazety Gdańskiej” pisał, że „ulice były wprost za ciśnie na pomieszczenie wojska i delega-

cji i widzów napływających ze wszystkich stron. Wszak nawet z drugiego końca Polski przybyła delegacja lwowska”. „Drogi były zatłoczone pieszymi i furmankami – wspominał Jan Netzel. – Takiej masy ludu kaszubskiego na pewno nigdy nie było w Pucku”.

Uroczystości odbywały się w asyście wojska, salutów armatnich i przemów. Ksiądz Józef Wrycza odprawił mszę i wygłosił patriotyczne kazanie. Wreszcie na maszt wciągnięto polską flagę, a dowódca wojsk zajmujących Pomorze, gen. Józef Haller, wrzucił do Bałtyku dwa platynowe pierścienie, ofiarowane mu przez gdańskich Polaków. Netzel wspominał, że „jakaś kobieta krzyknęła: »Czegośmy pożąдали, tegośmy doczekali«”.

Jak to możliwe, że w kilka miesięcy cały ten entuzjazm zniknął? Zaniepokojony Sejm zaprzagnął się tego dowiedzieć. Uchwalono niezwłoczne, że na Pomorze uda się specjalna komisja w składzie dziesięciu posłów (wśród nich ks. Bolt i Brejski). Od 27 lipca do 1 sierpnia komisja przebywała na Pomorzu, organizując spotkania z władzami cywilnymi i wojskowymi oraz z przedstawicielami ludności w Toruniu, Grudziądzu, Tczewie, Kościerzynie, Pucku, Wejherowie i Kartuzach. Na posiedzenia zapraszano też delegacje ludności, celem przedstawienia skarg.

W pierwszych dniach września – po konana armia bolszewicka była już w odwrocie, a państwo ocalone – komisja przedstawiła szczegółowy raport. Liczył



SENAT.EDU.PL

Ks. Feliks Bolt, poseł

wiele stron i wymieniał szereg zażaleń, niekiedy bardzo szczegółowych.

...i wielki zawód

Trzeba jednak pamiętać, że przyczyny tak poważnego zawodu ludności Pomorza życiem w odrodzonej Polsce były złożone.

Oddzielone przez ponad stulecie ziemie polskie przeszły ogromną metamorfozę od końca XVIII w., kiedy to Rzeczpospolita zniknęła z map Europy. XIX-wieczna rewolucja gospodarcza i komunikacyjna odbyła się na Pomorzu w ramach państwa niemieckiego. W efekcie po lutym 1920 r. rynki zbytu pomorskiego rolnictwa znalazły się za granicą (niemiecką lub gdańską). Oznaczało to też odcięcie rolników i rybaków od zaopatrzenia w artykuły pierwszej potrzeby, narzędzia i części zamienne do maszyn, które produkowano w Niemczech.

Ministerstwo dawnej Dzielnicy Pruskiej, które zarządzało przejętymi od Niemiec terenami, starało się temu zaradzić przez drobniagowe przepisy regulujące handel. Wprowadzono też granicę celną między Pomorzem a pozostałą częścią Polski. Wywarło to skutki odwrotne do zamierzonych. Jak pisano w sprawozdaniu komisji sejmowej, „metoda (...) w teorii doskonała, okazała się w praktyce na dłuższą metę nad wyraz szkodliwą, krępującą i podcinającą wszelką inicjatywę prywatną”, która wiodła „najprostszą i najkrótszą drogą do ekonomicznej ruiny”.

Jednak największą katastrofę przyniosła miejscowej ludności decyzja władz, by zrównać kurs używanej na Pomorzu marki niemieckiej z marką polską – pod-

czas gdy faktyczny kurs marki niemieckiej był znacznie niższy i w warunkach kryzysu w Niemczech spadał o wiele szybciej niż kurs marki polskiej. Granica celna sprawiła, że ceny wielu artykułów w markach niemieckich były znacznie niższe na Pomorzu niż w pozostałych częściach Polski. Dla tutejszej ludności oznaczało to ruinę – zarówno ze względu na utratę wartości pieniądza, jak i na fakt, że różnicę kursową wykorzystywali spekulanci, zdolni wykupywać cały asortyment i wywozić przez granicę dzięki „układom” z celnikami.

W raporcie komisji sejmowej pisano o zrównaniu kursów, iż „z tego źródła, jak z puszki Pandory, płynie wszystko zło, na które bezsilnym okiem patrzy każdy patriota (...) Twórca tego prawa lwiał część odpowiedzialności za obecne stosunki na Pomorzu, za utratę Warmii i ziemi mazurskiej, winien wziąć na siebie”. Chwilę wcześniej bowiem, 11 lipca 1920 r., na Warmii i Mazurach odbył się plebiscyt, w którym przytłaczająca większość głosujących opowiedziała się za pozostaniem w Niemczech. Autorzy raportu uznali najwyraźniej, że sytuacja na Pomorzu przyczyniła się do tak wielkiej klęski Polski podczas plebiscytu.

Konflikt nierozwiązalny

Opór ludności budził też obsada stanowisk. Wcześniej administracja była w ogromnej większości niemiecka, przez co na Pomorzu brakowało polskich urzędników. Jak pisze Janusz Kutta, w połowie 1921 r. na całym tym terenie mieszkało ledwie 2800 osób z wyższym wykształceniem (oczywiście sam fakt posiadania wykształcenia nie oznaczał, że ktoś nadaje się do służby publicznej). Co więcej, znaczna część tych osób nie pochodziła z Pomorza – trafiały tu od lutego 1920 r., głównie z Galicji (gdzie wcześniej zdobyły doświadczenie w spolonizowanej tam administracji) i teraz objęły większość kierowniczych stanowisk na Pomorzu. Jednak jako nie swoi byli traktowane z niechęcią przez ludność, która znów czuła się wykluczona. Szczególną niechęć – jak się zdaje, podzielaną przez członków sejmowej komisji – budzili urzędnicy-Żydzi, których „bezwarunkowo ze wszystkich gałęzi administracyjnych doszczętnie usunąć trzeba”.

Dodatkowym źródłem zadrzańień był fakt, że władze polskie zachęcały – z konieczności – pracowników niemieckich do pozostania na stanowiskach, głównie w branżach wymagających wiedzy technicznej (jak kolej, poczta, telegraf). Był to konflikt nierozwiązalny: ludność, pamiętająca o antypolskich szykanach, domagała się usunięcia Niemców z państwowych stanowisk. Jeśli to jednak czyniono, pogarszała się jakość usług publicznych, gdyż brakowało na miejscu fachowych polskich następców, a sprowadzanie ich budziło, jak wspomniano, →

Wkroczenie wojsk polskich do Pucka – „zaślubiny Polski z morzem”, 10 lutego 1920 r.



→ niechęć. Tym większą, że urzędnicy-przybysze w administracji poczt i kolei „otrzymują o 2 klasy wyższe pobory aniżeli miejscowi urzędnicy” (zapewne była to zachęta do przenoszenia się na drugi kraniec kraju). Z podobnych przyczyn znaczna część pomorskiego duchowieństwa katolickiego pozostawała wciąż niemiecka, co też było powodem skarg na utrzymywanie na probostwach i władzach diecezjalnych w Pelplinie „księży germanizatorów”.

Jako że administrację polską budowano na Pomorzu od podstaw, władze województwa – poza mianowaniem starostów – jednostronnie narzuciły burmistrzów oraz członków rad miejskich i powiatowych. Ludności o zdanie nie pytano, z obawy o wyniki lokalnych wyborów – w niepewnej sytuacji tuż po przejęciu Pomorza. Członkowie komisji dostrzegali ten problem i doradzali daleko idące zmiany personalne. Równocześnie zaznaczyli, że „wyborów do rad miejskich z powodu przewagi niemieczyzny w wielu miastach nie zaleca się jeszcze obecnie przeprowadzać”.

Wybory do Sejmu, które na Pomorzu odbyły się w maju 1920 r., też wywołały skargi. Szczególnie oburzenie wyrażali robotnicy, których – zapewne ze względu na strach przed bolszewicką agitacją – policja nękała aresztowaniami i zakazami zgromadzeń. Wielu Pomorzan z tych wszystkich powodów uznawało, że traktuje się ich jako obywateli drugiej kategorii.

Jak w podbitym kraju

Najwięcej skarg jednak budziło zachowanie żołnierzy. Prysłane na Pomorze oddziały Wojska Polskiego były formowane głównie w dawnych zaborach austriackim i rosyjskim. Janusz Kutta pisze, że żołnierze nie znali „skomplikowanych dziejów Pomorza, często nie rozumieli naszpikowanego germanizmami języka miejscowej ludności, zwłaszcza zaś języka, którym posługiwała się ludność kaszubska”. W raporcie komisji sejmowej pisano, że wojsko zaczęło „ludność traktować jak naród podbity, zachowywało się jak w okupowanym kraju”.

Szczególnie złe wrażenie wśród głęboko katolickiej ludności kaszubskiej i pomorskiej budziły ekscesy żołnierzy i oficerów. W sprawozdaniu komisji sejmowej czytamy: „Do kwater prywatnych sprowadzali oficerowie prostytutki

z Warszawy pod mianem siostr, kuzynek (...) W hotelach i kwaterach urządzają oficerzy orgie pijackie z podejrzanymi kobietami, które rozbierają się do naga, tańczą, śpiewają”. Co do tego aspektu posłowie wykazali się zresztą pewnym zrozumieniem, zalecając jednak, „by w takich przypadkach zaciągano firanki, zasłony, by uniknąć zgorszenia dla mieszkańców z domów naprzeciw”.

wojnę o przetrwanie (teraz – z bolszewikami) przerzucanie kosztu utrzymania armii na ludność bywało koniecznością, trudno było pogodzić się ze stosunkiem żołnierzy do ludności. Posłowie pisali: „Przy częstych potrzebnych i niepotrzebnych rewizjach w domach prywatnych zachowywali się żołnierze zazwyczaj brutalnie i bezczelnie. Zdarzało się, że młodzicy poturbowali spokojnych obywateli.



Wkroczenie wojsk polskich do Wejherowa, 10 lutego 1920 r.

Wielkie niezadowolenie ludności budziło także zajmowanie przez wojsko kwater i pokoi hotelowych, beceremonialne kwaterowanie żołnierzy po domach prywatnych, a często również w budynkach szkolnych, co uniemożliwiało prowadzenie normalnej nauki.

Źle zaopatrywane i borykające się z ogromnymi trudnościami materialnymi wojsko dopuszczało się częstych rekwizycji. „W powiecie kartuskim żołnierze pewnej formacji (...) udali się z bronią w rękę w nocy o 12-tej do gospodarzy i gwałtem zabierali im siano, słomę, owies, jęczmień, żyto bez zapłaty. Było to w kwietniu. Gospodarze błagali, klękali przed najeźdźcami prosząc, że potrzebują zboże do siewu, lecz nic to nie pomogło”. Nawet jeśli żołnierze zostawiali pokwitowania, często nie były one później honorowane.

Choć w kraju wyniszczonym I wojną światową (czego doświadczyło też Pomorze, jako część głodzonych blokadą aliancką Niemiec) i nadal prowadzącym

teli. Bili ich nawet po twarzy. Przy rewizjach dokonywano najrozmaitszych kradzieży”.

Rekrut ucieka przed służbą

Arogancja wojskowych, pochodzących z innych części kraju, budziła ogromną niechęć mieszkańców. W raporcie komisji pisano: „Pomorzanie, a szczególnie Kaszuba (...) zachował niesłychaną wrażliwość na bezprawie, bo żyjąc w wrogim, lecz praworządnym państwie musiał o każde prawo walczyć i koniec końcem zawsze mu to prawo, choć tylko co do litery przyznano”. Tym dotkliwsze było bezprawie doświadczane teraz ze strony własnego państwa.

Wielu z tych, którzy niedawno stawiali bramy powitalne dla Wojska Polskiego, teraz żałowało. Mąż wspomnianej kobiety, wznoszącej 10 lutego w Pucku okrzyki na cześć ojczyzny, został w październiku 1920 r. ciężko pobity przez żołnierzy, gdy odmówił użyczenia im koni. Nieprzypadkowego i okrwawionego gospo-

darza zabrał z pola sąsiad. Co prawda żołnierze później wrócili z przeprosinami i zwrócili konie, ale krzywda została. Jak pisał Jan Karnowski: „Powiaty nasze graniczne od czasów wojen szwedzkich tak ciężkich chwil nie przechodziły”. Członkowie sejmowej komisji nie wahali się napisać nawet, że nadużycia, brutalność i pogarda ze strony żołnierzy zrodziły „nienawiść do wojska i do wszystkiego, co polskie”.

Ta rosnąca niechęć uwidaczniała się w mizernych niekiedy wynikach poboru do wojska, co było sprawą pilną ze względu na trwającą wojnę z Rosją bolszewicką. Szczególny opór budził pobór wśród tych, którzy przeżyli koszmar I wojny światowej i zdołali wrócić do domu. Jak pisze Janusz Kutta, „zdarzały się wypadki, że na stu rekrutów z Wybrzeża zaledwie trzech wstępowało do Wojska Polskiego, reszta zaś optowała na rzecz Niemiec”.

Istotnie, komisje poborowe traktowały odmowę wstąpienia do wojska jako chęć przyjęcia obywatelstwa niemieckiego i emigracji z Polski. Ze wspomnień Netzla wynika, że miejscowi nie zawsze to rozumieli. Ci, którzy odmówili poboru i potem usłyszeli, że automatycznie wyrzekają się polskiego obywatelstwa, w ogromnej większości starali się odwołać wcześniejsze deklaracje.

Sytuacja budziła niepokój dowództwa armii. W lipcu 1920 r. minister spraw wojskowych gen. Kazimierz Sosnkowski powołał specjalną komisję oficerską. Nadano jej duże uprawnienia: mogła, po stwierdzeniu winy, natychmiast zawieszać w obowiązkach, aresztować i oddawać pod sąd każdego żołnierza do stopnia podpułkownika włącznie. Jednak komisja przebywała na Pomorzu krótko i jej działalność przyniosła tylko chwilową poprawę.

Powolna poprawa

Tymczasem ludność pomorska radziła sobie jak mogła. Jan Netzel wspominał: „Z powodu braku sprzętu połowowego (...) sporo rybaków zajęło się nielegalnym handlem. Jeżdżono nie tylko do Gdańska, ale i na zachód”.

Do Niemiec i Gdańska dostarczano mięso, nabywając tam niezbędne rzeczy. „Najlepiej szedł sprzęt połowowy (...) Pieniędzy nikt nie trzymał, tak markę polską, jak i niemiecką. Szczególnie ta ostatnia traciła na wartości,

Powrót Pomorza do Polski był dla wielkiej części jego mieszkańców szokiem

– i początkowo doświadczeniem bynajmniej nie pozytywnym. Przyszłość w odrodzonej Polsce niejednemu mieszkańcowi wydawała się ponura.

nie tyle z dnia na dzień, co z godziny na godzinę”.

Netzel dwukrotnie wybrał się do Gdańska z mięsem, przywożąc za pierwszym razem zapas sieci. Druga wyprawa do Gdańska-Brzeźna zakończyła się spotkaniem z celnikami i konfiskatą całego towaru, którego mimo protestów nie odzyskał.

Raport komisji sejmowej, sporządzony we wrześniu 1920 r., zawierał liczne zalecenia. Nie został jednak opublikowany ani poddany pod debatę w Sejmie. Najpewniej ze względu na możliwe straty wizerunkowe – wobec trwającej rywalizacji o granice – został on utajniony i odłożony *ad acta* (odnaleźli go dopiero w latach 80. zeszłego wieku historycy Józef Borzyszkowski i Przemysław Hauser). Trzeba jednak przyznać, że wszystkie władze krajowe podjęły wysiłki w celu poprawienia położenia.

Choć raport maluje sytuację na Pomorzu w ponurych barwach, warto pamiętać, że trudności organizacyjne i ekonomiczne musiały być odczuwane szczególnie dotkliwie w byłym zaborze pruskim, gdzie sytuacja gospodarcza była przed I wojną najlepsza ze wszystkich trzech zaborów, a administracja, choć niemiecka, była sprawna (i przestrzegała własnych praw, w razie nadużyć obywatel mógł zaś liczyć na skuteczne odwołanie się do sądów).

W kolejnych latach sytuacja na Pomorzu ulegała stopniowej poprawie. Rozluźniano ograniczenia gospodarcze, dbano o dostarczanie najpotrzebniejszych artykułów. Mianowany dowódcą na Pomorzu gen. Zygmunt Zieliński energicznie przystąpił do zaprowadzenia karności i ukrócenia nadużyć wojska, usuwając

ze stanowisk największych winowajców i mianując delegatów oficerskich przy władzach cywilnych, by uzyskać lepszą wiedzę o sytuacji. Jego działalność – być może w części oparta na wynikach prac wojskowej komisji (jej raporty się nie zachowały) – przyniosła widoczną poprawę w stosunkach między wojskiem a ludnością.

Rozpoczynała się także już dyskusja nad kwestią budowy portu położonego na terytorium Polski. Już w październiku 1920 r. podjęto decyzję o zbudowaniu pierwszego, na razie niedużego. Na jego lokalizację wybrano teren nieopodal ujścia rzeczki Chylonki. Znajdowała się tam dość duża, bo licząca wówczas ok. 1300 mieszkańców wioska. Nazywała się Gdynia.

Praca po latach wykonana

Gdy dziś spoglądamy na powrót Pomorza i Wybrzeża do odrodzonej Polski, myślimy najczęściej o milionie członków Ligi Morskiej i Kolonialnej, o błyskawicznie zbudowanym porcie, o „Białej Gdyni” (zachwycającej modernistycznymi gmachami z nowoczesnym wtedy wyposażeniem), o spektakularnej Magistrali Węglowej i kolejnych obchodach Święta Morza na terenie całego kraju.

Powrót Pomorza do Polski był dla wielkiej części jego mieszkańców wręcz szokiem – i początkowo doświadczeniem bynajmniej nie pozytywnym. Przyszłość w odrodzonej Polsce niejednemu mieszkańcowi wydawała się ponura. Jak pisał w 1922 r. Jan Karnowski: „potrzeba będzie 20-letniej pracy ostrożnej, systematycznej i kierowanej sercem i dobrą wolą, aby przywrócić ten stan psychiczny, który panował przed zajęciem”.

Piękne karty, zapisane przez tak wielu Pomorzan i Kaszubów w czasie kolejnej wojny, świadczą, że mimo krzywd i resentymentów zadanie to w znacznej mierze się powiodło. © JAN SZKUDLIŃSKI

Korzystałem z: J. Kutta „Druga Rzeczpospolita i Kaszubi, 1920–1939”; „Sejm Rzeczypospolitej o Pomorzu w 1920 r. Sprawozdanie Komisji Pomorskiej”, oprac. J. Borzyszkowski i P. Hauser; J. Netzel „Tak było... Wspomnienia rybaka”; J. Karnowski „Moja droga kaszubska”.

DR JAN SZKUDLIŃSKI jest historykiem i tłumaczem.



Cyfrowy „koń trojański”, wystawiony w 2016 r. na Cyberweek w Tel Awiwie.

INŻYNIEROWIE DEDALA

W greckiej mitologii spotkać możemy nie tylko bogów i herosów, ale również roboty. Ich obecność może się wiązać z rozwojem nauki i techniki, który nastąpił w okresie hellenistycznym.

KAMIL KOPIJ

MOGŁOBY SIĘ WYDAWAĆ, ŻE NARODZIŁY fantastyki naukowej wiązać można dopiero z rewolucją przemysłową, która nakarmiła wyobraźnię pisarzy wizją nieograniczonego postępu technologicznego. Czy jednak wcześniejsze ludy i cywilizacje w swoich wyobraże-

niach innych czasów ograniczali się jedynie do magicznego świata bogów i herosów?

A może w odległej przeszłości ludzie – parafrazując pisarza Philipa K. Dicka – również „śnili o elektrycznych owcach”?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy się zastanowić, czy w historii znaleźć możemy okres, który zbliżył się pod względem rozwoju technicznego do nowoczesności. Najwięcej podobieństw możemy znaleźć z czasami hellenistycznymi, w których kultura grecka – dzięki

podbojom Aleksandra Wielkiego – swoimi wpływami ogarnęła ziemie od Półwyspu Iberyjskiego po Indie. Wielu następców macedońskiego zdobywcy, oprócz nieustających bojów o spuściznę po nim, wyróżniało się tym, że byli mecenasami nauki i sztuki.

Pod pewnymi względami był to pierwszy w historii ludzkości wiek rozumu. Sam Aleksander był wszak uczniem Arystotelesa, a jego następcy hojnie wspierali filozofów, matematyków i astronomów. To w tym czasie powstał Muzajon – największy w starożytności instytut naukowy, do którego przynależała Biblioteka Aleksandryjska. Działali w nim tacy uczeni jak Archimedes, Euklides czy Arystarch, czyli najwybitniejszy starożytny inżynier, twórca geometrii oraz pierwszy autor modelu heliocentrycznego.

Geocentryczny komputer

W 1900 r. grecki statek, którego załoga trudniła się połowem gąbek, zatrzymał się u wybrzeży wyspy Anthikitera, położonej w połowie drogi między Kretą a Peloponezem. Jeden z poławiaczy trafił na głębokości 42 m na starożytny wrak wypełniony m.in. rzeźbami z kamienia i brązu. Wśród odnalezionych przedmiotów znalazła się niepozorna skrzyneczka z drewna i fragmentów brązu, która trafiła do magazynów Muzeum Archeologicznego w Atenach.

Dopiero jakiś czas później, gdy drewno wysuszyło się i pękło, oczom archeologów ukazał się niespodziewany widok: koła zębate przypominające mechanizm zegarowy.

Początkowo uznano, że znalezisko jest średniowiecznym lub nawet późniejszym „zanieczyszczeniem”, które dostało się na wrak przypadkiem. Jego konserwacja i dokładne oględziny pozwoliły jednak odkryć na nim greckie inskrypcje. Powoli zaczęło się budzić przekonanie, że odkryty mechanizm wykonano rzeczywiście w starożytności, a na dnie morza znalazł się wraz z całym statkiem prawdopodobnie w drugiej połowie II w. p.n.e.

Równocześnie próbowano rozszyfrować, jaką funkcję pełniło odkryte urządzenie. Niektórzy badacze brali je za astrolabium – czyli dość zaawansowane urządzenie astronomiczne, pozwalające na wyznaczenie położenia ciał niebieskich nad horyzontem, używane również w żegludze do określania pozycji statku.

Jednak mechanizm z Anthikitera – jak nazwano potem znalezisko – wygląda na znacznie bardziej skomplikowany. Dopiero w czasach nowożytnych powstały na świecie bardziej złożone urządzenia.

W 1974 r. Derek de Solla Price z Uniwersytetu Yale, który po 20 latach dokonał rekonstrukcji obiektu, stwierdził, że był to przyrząd astronomiczny, który obliczał ruch Słońca i Księżyca (wraz z jego fazami). Dzięki temu możliwa była łatwa synchronizacja kalendarza słonecznego z księżycowym, oraz przewidywanie zaćmień obu ciał niebieskich. Ponadto mechanizm pozwalał na określanie pozycji znanych planet (Merkurego, Wenus, Marsa, Jowisza i Saturna) na niebie.

Sam mechanizm opierał się na geocentrycznym modelu wszechświata, z Ziemią w jego centrum. Co prawda komplikowało to nieco samą konstrukcję, ale nie zakłócało poprawności przewidywań. Warto przy okazji wspomnieć, że obliczenia prowadzone w ramach stworzonego w II w. n.e. modelu geocentrycznego Ptolemeusza dawały dokładniejsze wyniki niż te z użyciem modelu heliocentrycznego Kopernika. Dopiero wprowadzenie eliptycznych orbit przez Keplera zmieniło sytuację.

Kolejnej rekonstrukcji dokonał w 2006 r. zespół Mike’a Edmundsa z Uniwersytetu w Cardiff. Użycie tomografu komputerowego umożliwiło dokładniejsze rozpoznanie poszczególnych części mechanizmu oraz lepsze odczytanie pokrywającej go inskrypcji. Po kolejnych dziesięciu latach badań udało się zidentyfikować aż 82 podzespoły mechanizmu i odczytać prawie 3,5 tys. wyrytych na nich znaków. Wszystko wskazuje, że był on tworem pitagorejczyków. Cyceiron w „O naturze bogów” wspomina, że podobny mechanizm pokazujący ruch Słońca i Księżyca oraz pięciu planet konstruował w I w. p.n.e. jego nauczyciel Posejdonios. Wydaje się więc, że urządzenia tego typu były w starożytności znane, choć z pewnością nie były powszechne.

System obrony Krety

Talos miał zostać zaprojektowany i zbudowany przez Hefajstosa, czyli boga, którego supermocą była przede wszystkim nadludzka zręczność w obróbce metali. Dlatego też jego dzieła uważa należy bardziej za cuda techniki niż magii. Talosa zamówił sam Zeus jako dar dla swego syna Minosa, króla Krety. Ten zbudowany

wany z brązu gigant miał patrolować wybrzeże wyspy, wypatrując pirackich statków, i ciskać w nie głazami. Talos nie był jednak tylko mitologicznym systemem pocisków ziemia–morze. Potrafił również walczyć w zwarcu. Podnosił wówczas swe ofiary i przyciskał mocno do piersi, którą jednocześnie podgrzewał.

Opowieść o tym automatycznym systemie obrony najlepiej znamy z „Argonautiki” Apolloniosa z Rodos, żyjącego w III wieku. Talos napędzany był ichorem – krwią bogów, która płynęła przez całe jego ciało jedną żyłą zatkaną z jednej strony czopem. W jednej z wersji mitu Talosa do zguby doprowadziła chęć nieśmiertelności. Gdy do Krety dopływali Argonauta, zakochana w Jazonie Medea omamiła Talosa obietnicą wiecznego życia. Przekonała „robotę”, że może to osiągnąć, jedynie usuwając czop w kostce. Kiedy to zrobił, ichor uleciał z jego ciała, a Talos padł martwy.

Wnikliwa analiza mitów o Talosie, której dokonała w książce „Gods and Robots: Myths, Machines, and Ancient Dreams of Technology” Adrienne Mayor z Uniwersytetu Stanforda, pokazuje ich ewolucję w czasie. Wersja Apolloniosa znacznie się różni od tej z kretańskich mitów, w której Talos był jedynie skrzydlatym gigantem. Tak też przedstawiany jest na kretańskich monetach z IV i III w. p.n.e. Choć już przynajmniej od V w. p.n.e. ukazywano go jako wykonanego z metalu, z czasem jego opis coraz bardziej się technicyzował, szczególnie w intelektualnych kręgach związanych z filozofami i wynalazcami.

Nie bez znaczenia było to, że Apollonios kierował Biblioteką Aleksandryjską jako jej drugi dyrektor. Z pewnością śledził więc wszelkie naukowe i techniczne nowinki. Na własne oczy mógł np. widzieć opisywany przez Kalikseasa z Rodos automat Nysy, piastunki Dionizosa, niesiony w tzw. Wielkiej Procesji ku czci boga wina, którą urządził król Ptolemeusz II (panował w latach 283–246 p.n.e.). Wedle opisu przekazanego nam przez Atenajosa z Naukratis ten ruchomy posąg nie tylko automatycznie wstawał i siadał, ale po powstaniu dokonywał libacji, wylewając mleko ze złotej flaszki, mimo że nikt go nie dotykał. Nad realnością takiego automatu zastanawiali się m.in. historyk nauki Teun Koetsier z Wolnego Uniwersytetu w Amsterdamie i inżynier Hanfried Kerle →

→ z Uniwersytetu Technicznego w Brunswicku, którzy opublikowali swoje prześmyślenia w 2016 r. Doszli do wniosku, że ruch Nysy mógł być związany z ruchem samego wozu, na którym był transportowany, a przekazywał go system przekładni. Trudno więc uznać ruchomy posąg Nysy za prawdziwy automat, choć bez wątpienia robił ogromne wrażenie na widzach.

Zapomniana rewolucja

Wiele wynalazków epoki hellenistycznej stało się jedynie kuriozum zadziwiającym gawieź, jednak nie brakło takich, które znalazły bardziej praktyczne zastosowania. Za panowania wspomnianego Ptolemeusza II w Aleksandrii działał Ktesibios. Syn fryzjera stał się jednym z najbardziej innowacyjnych umysłów swojej epoki. Skonstruował nie tylko pompę wodną i wodne organy, ale również napędzany wodą zegar. Szczegółowy opis tego ostatniego możemy znaleźć w traktacie Witruwiusza. Pozwalał precyzyjnie mierzyć upływ czasu w pochmurne dni, a nawet uruchamiać różne mechanizmy o wyznaczonej godzinie.

Włoski historyk nauki Lucio Russo postawił nawet tezę, że w okresie hellenistycznym, szczególnie między końcem IV a końcem II w. p.n.e., doszło do prawdziwej rewolucji naukowej, podobnej do tej, która ponownie nastąpiła dopiero w czasach nowożytnych. W swojej książce „Zapomniana rewolucja” przekonuje, że rozwój nauki, który miał wtedy miejsce, nie był zwyczajnym okresem kumulacji wiedzy, ale czasem systematycznego tworzenia modeli fizycznych, ich weryfikacji i wykorzystania odkryć w praktyce. Upadek rywalizujących ze sobą również na polu nauki królestw hellenistycznych spowolnił ten rozwój i choć okres wynalazczej płodności trwał jeszcze przez jakiś czas pod panowaniem Rzymian, nie wrócił już w pełnej krasie. W połowie I w. n.e. Heron z Aleksandrii skonstruował m.in. pierwszą w historii turbinę parową (tzw. turbinę Herona). Wynalazek ten prawdopodobnie nie znalazł jednak w starożytności praktycznego zastosowania i pozostał jedynie ciekawostką. Na „rewolucję parową” trzeba było poczekać jeszcze 17 stuleci, do czasów Jamesa Watta.

Już w latach 30. XX w., czyli niedługo po ukuciu słowa „robot” przez czeskiego pisarza Karela Čapka, Evan Sage z Insty-



Mechanizm, znaleziony u wybrzeży wyspy Anthikitera. Po latach badań udało się zidentyfikować aż 82 podzespoły mechanizmu i odczytać prawie 3,5 tys. wyrytych na nich znaków.

tutu Pittsburskiego nazwał robotem (właściwie robotką) Apege. Wedle przekazu Polibiusza była to mechaniczna replika żony króla spartańskiego Nabisa (władł w latach 207–192 p.n.e.), której zadaniem było zbieranie podatków od opornych obywateli. Jej sekretem były ukryte pod szatą kolce sterczące z ramion i piersi. Tuląc „trudnych” Spartan, zmuszała ich do oddania królowi albo należnej daniny, albo życia. Trudno uwierzyć, że mechaniczna Apage rzeczywiście tak łudzaco mogła przypominać swój ludzki pierwowzór, niemniej opowieść ta pokazuje, że roboty znajdowały się w imaginariu starożytnych.

Za swoje automaty można też uznać powstałą z zasiewu smoczych zębów armię, którą według Apolloniosa pokonać musiał Jazon, by zdobyć złote runo. „Zaprogramowana” była do automatycznego ataku. Nie można było nią dowodzić, nie mogła się też wycofać. Sprytem znów wykazała się tu Medea, która rozszyfrowała „kod” smoczej armii. Jak się okazało, między żołnierzy wystarczyło rzucić kamień, a ci, myśląc, że to atak, zaczęli walczyć między sobą.

Olympus Prime Air

W grudniu 2013 r. szef Amazona Jeff Bezos ogłosił, że jednym z flagowych projektów jego firmy będzie opracowanie floty automatycznych dronów, które dostarczać będą paczki prosto pod drzwi zamawiającego. Trzy lata później maszyna Amazon Prime Air – jak nazwano usługę – dostarczyła z powodzeniem pierwszą przesyłkę. Choć maszyna nadal jest w fazie testów, a jej wdrożenie w wielu kra-

jach opóźnia prawo, możemy być niemal pewni, że już niedługo wejdzie na rynek i zrówna nas z greckimi bogami.

Dlaczego? Otóż najstarsza wzmianka o automatach w greckiej literaturze mówi o trójnogach, które „mocą swą własną” dostarczały ambrozję i nektar na bankiety olimpijczyków, a następnie wracały do bazy. Te swoiste drony, o których jako pierwszy pisał już Homer, były oczywiście tworem samego Hefajstosa. Według Filostrata (170–245 n.e.) pośród wielu innych cudów podobne urządzenie miał widzieć w Indiach neopitagorejski filozof Apoloniusz z Tiani. Co prawda trójnogi Hefajstosa nie latały, na co wskazuje podkreślenie, że wyposażone były w złote koła, ale nie znaczy to, że Grecy nie wyobrażali sobie również maszyn latających.

W sztuce starożytnej znaleźć możemy wiele przykładów trójnogów wyposażonych w skrzydła, także wyobrażenia skrzydlatych rydwanów. Autorzy antyczni przekazują nam zaś kilka opisów mechanicznych ptaków, które konstruowane miały być już od V w. p.n.e. Przykładem takiego urządzenia może być drewniany gołąb stworzony przez Archytasa z Tarentu (428–347 p.n.e.). Niestety, opis rzymskiego pisarza Aulusa Gelliusza jest niekompletny, nie znamy więc szczegółów konstrukcyjnych.

Nie przeszkodziło to jednak współczesnym badaczom spekulować nad jego budową. Kostas Kotsanas, twórca Muzeum Starożytnej Techniki Greckiej w Katakolon w zachodniej części Peloponezu, uznał na przykład, że ptak mógł być poruszany sprężonym powietrzem. Inni badacze są bardziej zachowawczy i wskazują na mniej zaawansowane rozwiązania zakładające użycie systemu lin i ciężarków.

Pewne elementy charakterystyczne dla dzisiejszej twórczości fantastycznonaukowej nie były obce i starożytnym Grekom. O elektrycznych owcach śnili zaś przede wszystkim ci, którzy mieli kontakt z cudami techniki konstruowanymi w okresie hellenistycznym i wczesnorzymskim. Możemy się tylko zastanawiać, jak wyglądałby świat, gdyby zapomniana rewolucja naukowa doby hellenistycznej trwała nieprzerwanie do dziś. Być może mielibyśmy już latające samochody, a w ciężkiej pracy wyręczałyby nas inteligentne androidy. Oczywiście marzące o prawdziwej wolności.

WOJCIECH

Bonowicz: Szczęście rezygnacji



CI, KTÓRZY NAPRAWDĘ MYŚLĄ, NIGDY SIĘ nie poddają. Ludzie myślący znają oczywiście smak porażki, wiedzą, czym jest regres i apatia. Niemniej ten, kto naprawdę chce myśleć, zawsze wstaje z upadku i – jak to śpiewał Młynarski – klei połamane skrzydła.

Dostałem na urodziny od przyjaciółki tom szkiców Theodora W. Adorno „Przemyśl kulturalny” (w przekładzie Marty Bucholc). Wiadomo, że nic tak nie chłodzi rozpalonej głowy jak szkoła frankfurcka. Jeśli, powiedzmy, wkurzył was ten czy inny program w telewizji, to sobie bierzecie esej Adorna „Telewizja jako ideologia” i od razu spływa na was spokój oświecenia. Jeśli, dajmy na to, niepokoi was odczuwalny – nie tylko w Polsce przecież – nawrót tęsknot autorytarnych, to sięgacie po jego słynny artykuł „Freudowska teoria i model propagandy faszystowskiej” i zaczynacie bać się jeszcze bardziej, a równocześnie umiecie przynajmniej sformułować dobre pytania. A jeśli serce krwawi i głowa jest rozpalona z jakichś innych powodów, to wtedy czytacie sobie na przykład krótki szkic „Czas wolny” i od razu macie mniej wolnego czasu na głupie i bezowocne rozmyślanie. Prawdziwe myślenie bowiem zawsze wypatraje owoców.

Przyznam się, że ja od razu rzuciłem się na zamykający wspomniany tom esej zatytułowany „Rezygnacja”. Jest to bardzo piękny tekst: Adorno broni w nim siebie i innych przedstawicieli szkoły frankfurckiej przed zarzutem, który często bywa formułowany wobec ludzi myślących. Zarzut ma charakter moralny: oto myśliciele przeprowadzili mnie lub bardziej wnikliwą krytykę rozmaitych zjawisk społecznych – ale co z praktyką? Może czas najwyższy przejść od

teorii do działania? Przyjąć odpowiedzialność za to, co się opisało? Stworzyć jakieś programy, napisać scenariusze albo wesprzeć tych, którzy już wzięli sprawy w swoje ręce? Dość słów, niech myśliciele pokażą, co potrafią, na ulicach. A jeśli nie chcą, to niech powiedzą otwarcie, dlaczego. Czy dlatego, że się boją? Czy może wybrali rolę teoretyków, bo nie wierzą, że zmiana tego, co krytykowali, jest w ogóle możliwa?

Powtarzam: Adorno broni się pięknie. „Nie chcę przeczyć – pisze – że istnieje pewien moment subiektywnej słabości, który właściwy jest ograniczeniu się do teorii”. Nie oddala też całkiem „obiektywnej” strony zarzutu. Ale szybko przechodzi do kontrataku, pokazując, jak powstają „wrogie intelektualistom klisze”, a przede wszystkim zwracając uwagę, że postulowana „jedność teorii i praktyki” ma tendencję do przechodzenia w prymat praktyki”. I pisze tak: „W zabsolutyzowanej praktyce już tylko się reaguje, a przez to reaguje się błędnie. Drogę wyjścia może znaleźć wyłącznie myślenie – i to takie, którego wynik nie jest przesądzony z góry, jak to często bywa w owych dyskusjach, w których od początku jasne jest, kto ma mieć rację, wobec czego nic one nie wnoszą do rzeczy, lecz niechybnie wyrażają się w taktykę”.

Jeśli zabarykaduje się drzwi, powiada Adorno, myśl nie może się wydostać. Jednakże tylko myśl nie uznaje zamknięcia za sytuację ostateczną. Nie stara się też uwolnić za wszelką cenę, zaczyna natomiast analizować przyczyny i formułować wnioski. Szybko okazuje się, że „działanie” może stać się tak naprawdę pseudoaktywnością, a „niedziałanie” – prowadzić do wyzwolenia. Szamotanina w pułapce to przejaw rzeczywistej rezygnacji, pogodzenia się z przegraną. Żeby się wydostać z pułapki, trzeba w jakimś sensie już się ponad nią wznieść. Taką możliwość stwarza tylko otwarte, krytyczne myślenie, które nie sprowadza się wyłącznie do „reagowania”.

Filozof używa tu słowa, które w tym kontekście u współczesnych filozofów pojawia się niezwykle rzadko: *szczęście*. „Myśl to szczęście – pisze Adorno – nawet wówczas, gdy określa, czym jest nieszczęście, a to dlatego, że je wypowiada”.

Jest w tych słowach coś bardzo realistycznego i bardzo romantycznego zarazem. Ostatecznie bowiem wysiłek filozofa przynosi owoce nie tylko jemu. Prawdziwe myślenie nigdy nie jest myśleniem dla siebie. „Szczęście wschodzące w oku człowieka myślącego to szczęście ludzkości”. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

BYDGOSZCZ

■ **wtorek, 18 lutego, godz. 18.00**

„Taki mamy klimat”.

Gościem będzie: Ewa Bieńczyk.

Miejsce: Biblioteka Uniwersytetu

Kazimierza Wielkiego

(ul. K. Szymanowskiego 3).

OLSZTYN

■ **środa, 19 lutego, godz. 18.00**

„Duchowe wędrowanie”.

Gościem będzie: o. Tomasz Dostatni OP.

Miejsce: Dom Mendelsohna

(ul. Zyndrama z Maszkowic 2).

POZNAŃ

■ **czwartek, 13 lutego, godz. 18.00**

„Innego cudu nie będzie”.

Gościem będzie: o. Wacław Oszejca SJ.

Miejsce: Festiwal Malta (ul. Ratajczaka 44).

WARSZAWA

■ **czwartek, 13 lutego, godz. 19.00**

„Trudne dziedzictwo. W poszukiwaniu

tożsamości”. Gośćmi będą:

Aleksandra Domańska oraz Paweł

Stachowiak. Miejsce: sala KIK,

II piętro (ul. Freta 20/24A).

ZIELONA GÓRA

■ **środa, 12 lutego, godz. 18.00**

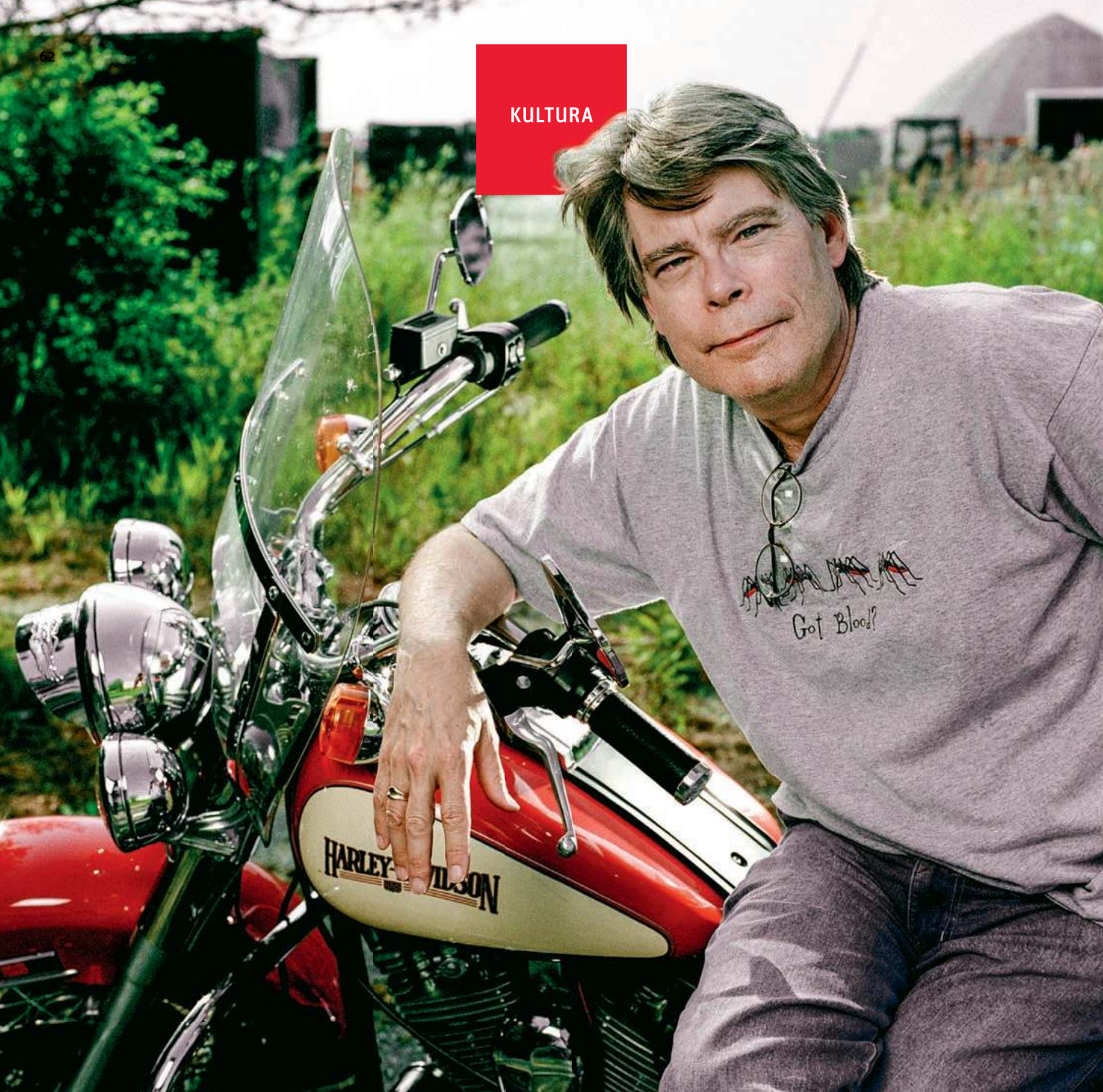
„Rozmowy o wierze i niewierze”.

Gościem będzie:

o. Wacław Oszejca SJ.

Miejsce: Piekarnia Cichej

Kobiety (ul. Fabryczna 13).



KULTURA

KRÓL JEST JEDEN

Stephen King jako niszowy autor nie miałby sensu. Bo potwór spod naszego łóżka, by się wyżywić, potrzebuje milionów przerażonych głosów zjednoczonych w krzyku. Ich chór nie milknie.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ON NIE ISTNIEJE. TO ZNACZY: MOŻE i żyje gdzieś facet o takim imieniu i nazwisku, którego twarz jak przez mgłę kojarzysz ze skrzydełka okładki, ale to nie on napisał te wszystkie książki. To nie na podstawie jego pomysłów nakręcono wszystkie te filmy i seriale. To nie jego wytwory wyobraźni sprawiają, że nie możesz zasnąć w wietrzne, bezksiężycowe noce.

Nie mówię tego po studiach prowadzonych w złowrogiej ciszy biblioteki, setkach przewróconych kartek, dziesiątkach godzin materiału filmowego obejrzanego klatka po klatce. Mam na myśli przede wszystkim inny rodzaj pracy. Ten, który trzeba wykonać przeciw oporowi własnego mózgu. „Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie” – te słowa były jak ciężki kamień, który przez lata wlokłem ze sobą na stromy szczyt. Dziś nareszcie jestem wolny. Mogę wam to już powiedzieć: Stephen King nie istnieje.

Nadzwyczajnie płodny

Kusi mnie, żeby skłamać. Powiedzieć, że okazją do napisania tego tekstu była premiera „Outsidera” – serialu na podstawie jednej z nowszych powieści Kinga, który właśnie zadebiutował na HBO. Ale przecież do napisania o Kingu zawsze jest jakaś okazja. Jego kalendarz premier jest jak rozkład jazdy metra. Nikt do niego nie zagląda, bo i tak wiadomo, że zaraz nadjedzie następny pociąg.

Od 45 lat co roku pojawia się jedna lub, częściej, dwie nowe książki króla horroru. Podobnie jest z filmami. Choć brzmi to niewiarygodnie, od czasu premiery adaptacji „Carrie” (1976) co roku w kinach debiutuje jakiś film na podstawie twórczości Kinga. A przecież są jeszcze produkcje telewizyjne i seriale... Na przykład ubiegły rok przyniósł dwa seriale (trzeci sezon „Mr. Mercedes” i nowy „Creepshow”), ekranizację „Smętarza dla zwierzaków”, drugą część horroru „To”, filmy „W wysokiej trawie” oraz „Doktor Sen” – kontynuację „Lśnienia”. Wśród kilkudziesięciu ekranizacji dzieł Kinga produkcje przerażająco złe przeplatają się z filmami dobrymi, a nawet arcydzielnymi. Wspomniana „Carrie” (reż. Brian De Palma) przyniosła dwie nominacje do Oscara dla aktorek wcielających się w główne role, „Skazani na Shawshank” (reż. Frank Darabont, siedem nominacji do Oscara) to klasyka kina wymieniana w podręcznikach.

„Lśnienie” w reżyserii Stanleya Kubricka nie tylko regularnie wygrywa w konkursach na najlepszy horror wszech czasów, ale jest także przedmiotem niekończących się dociekań i teorii fanowskich. Moja ulubiona głosi, że film zawiera ukryte wiadomości, w których Kubrick przyznaje się do pomagania NASA w sfingowaniu lądowania na Księżycu. Może to dlatego sam Stephen King tak nienawidzi tej adaptacji? A może ma zupełnie inne powody...

To w tym momencie nieistotne. Istotne jest coś innego. Czy to nie dziwne, jak szybko i regularnie publikuje Stephen King? Jak to możliwe, że nigdy nie złapał zadyszki, pisarskiej blokady, spadku formy? A przecież miewał w życiu momenty, w których zatańczyłyby się tryby każdej innej pisarskiej maszyny.

Pośpiech pisarza

Pierwsze opowiadanie fantastyczne napisał w wieku 13 lat. Rok później wydał wraz z kolegą tom krótkich tekstów pod tytułem „Ludzie, miejsca i rzeczy”. Od tego czasu każdego roku powstawało kilka nowych dzieł, aż wreszcie jako dziewiętnastolatek sprzedaje pierwsze z nich do czasopisma „Startling Mystery Stories” – jednego z dziesiątek popularnych wówczas wydawnictw publikujących straszne opowieści dla młodych czytelników. Przez siedem lat King współpracował z tego rodzaju czasopismami, a także z „periodykiem dla panów” – „Cavalier”. Skończył studia, ożenił się i rozpoczął pracę jako nauczyciel języka angielskiego. Jeżeli King uczył tak, jak pisze, to musiały być niezwykle lekcje. Po pierwsze, Szekspir w jego interpretacji był z pewnością naprawdę mroczny. Po drugie, znając jego tempo pracy, w każdej klasie przeprowadzał, sprawdzał i oceniał kilkaset klasówek rocznie.

Aż wreszcie w roku 1974 ukazała się „Carrie”. Na początku nic nie zapowiadało spektakularnego sukcesu pierwszej powieści Kinga. Historia nastolatki mierzącej się z własnym dojrzewaniem, odrzuceniem przez rówieśników i potężnymi telekinetycznymi mocami, które ostatecznie pozwoliły jej zamordować wszystkich prześladowców, spotkała się z umiarkowanym zainteresowaniem (zaliczka w wysokości 2,5 tys. dolarów). Wkrótce jednak potencjał tej prostej, a strasznej historii dostrzegł nowy wydawca, który za

prawo do wydania powieści w miękkiej oprawie zapłacił 400 tys. dolarów. King otrzymał połowę z tej zawrotnej kwoty, co przekonało go do rzucenia Szekspira i klasówek na rzecz pełnoetatowej pracy pisarskiej.

Słowo „pełnoetatowa” nasz bohater traktuje nadzwyczaj poważnie. Cztery do sześciu godzin czystego pisania każdego dnia. King podziela w tym względzie podejście Balzaka (prawie 90 powieści i drobniejsze utwory) czy George Sand (ponad 70 powieści, sztuki teatralne, eseje, sporo dobrej roboty publicystycznej). Pisanie to praca jak każda inna. Kiedy skończysz jedną powieść – po prostu zaczynasz kolejną. Codziennie musi powstać z góry założona porcja tekstu. Dla Kinga ta norma produkcyjna wynosi sześć stron. Rzemieślnik słowa nie czeka na wenę, nie wierzy w natchnienie, nie potrzebuje talentu. A ma po co pisać. Na każdą kolejną jego powieść czytelnicy rzucają się jak zombie na świeży mózg!

Wraz z sukcesem przyszedł jednak nałóg. Złota dekada, w trakcie której powstały m.in. „Miasteczko Salem” (1975), „Lśnienie” (1977), „Bastion” (1978), „Podpalaczka” (1980), „Cujo” (1981), „Christine” (1983) czy „Smętarz dla zwierzaków” (1983), to także czas, gdy Kinga wyniszczało uzależnienie od alkoholu, leków i narkotyków. Niczym jedna z postaci z własnych horrorów – chociażby Jack, bohater „Lśnienia” – King dał się uwieźć w spirali pracy, nałogu i szaleństwa. Po latach przyznawał, że przegapił odchodzenie swej chorej matki, a mowę na jej pogrzebie wygłaszał kompletnie pijany. Nie pamięta też nic z pisania „Cujo”, historii o anty-Lassie – sympatycznym bernardynie, który pod wpływem wirusa zmienia się w żadnego krwi potwora.

Ale Kingowi, z pomocą rodziny, udaje się pokonać nałóg. Ta historia, jak wiele jego opowieści, będzie miała *happy end*. Choć potwór zebrał swoje żniwo, dzięki współpracy całej wspólnoty udało się go pokonać. Więcej nie wrócił. Przypętył za to inne.

Rok 1999 był, jak wspomina sam King, jednym z najlepszych w jego życiu. W rodzinie i w pisaniu wszystko układało się doskonale. Do tego stopnia, że Król Horroru postanowił wyjść poza bezpieczne terytorium fikcji i napisać książkę o swoim życiu i stylu pracy – taki „pamiętnik rzemieślnika”, jak głosił tytuł wydanego potem dzieła. Ale wtedy ➔

→ właśnie nastąpiło kolejne wydarzenie do złudzenia przypominające powieściowy zwrot akcji. Grom z jasnego nieba, który przerywa okres szczęścia, wytrącając bohatera z równowagi. King napisał potem, że nie pamięta dokładnie momentu, gdy uderzyła w niego błękitna furgonetka. Utrwaliła się w jego mózgu chwila bezpośrednio przed wypadkiem, pamięta też, jak przytomny, choć ciężko ranny, dyktował policjantom telefon do swojej żony. Sprawcę wypadku rozproszył jadący z tyłu rottweiler o imieniu Pocisk, który nagle – nie wiadomo czemu – dostał szału i zaczął się miotać po wnętrzu pojazdu. Kierowca furgonetki zeznał potem, że był przekonany, iż potrafił jeleń, dopóki nie zobaczył na ulicy zakrwawionych okularów pisarza. King w porę trafia do szpitala, przechodzi operację, wychodzi z tego cało, choć obrażenia nigdy w pełni się nie zagoją. Co robi?

Wraca do pracy. Maksymalnie 40 minut za jednym podejściem. Na więcej nie pozwala przeszywający ból kręgosłupa. Kończy zaplanowaną książkę „O pisaniu”, której istotnym motywem staje się przeżyty właśnie wypadek, i zaczyna kolejną. Jak gdyby nigdy nic.

Bez wyjaśnienia

Pospiech autora udziela się czytelnikom i bohaterom. Książki Kinga czyta się tak, jak on je pisze – przewracając kolejne strony bez chwili wytchnienia. Narracyjne sztuczki, które autor „Outsidera” stosuje, by rozbudzić w odbiorcy ciekawość, to materiał na osobne obszerne opracowanie. Zmiany punktów widzenia, zapowiedzi i fałszywe tropy, zonglowanie czasem opowieści... King trzyma nas ciągle w biegu, nie pozwala opuścić gardy.

Ten sam los spotyka jego bohaterów. Podobnie jak czytelnicy, nie mają oni chwili, żeby odpocząć, zaczerpnąć oddechu i zastanowić się, co się właściwie dzieje. Są zawsze zwykłymi ludźmi rzuconymi w to, co niezwykle. Przez całą historię piętrzą się przed nimi kolejne znaki zapytania, na koniec zwykle dostają jednak zaskakująco mało wyjaśnień. Pozostają z niedopowiedzianym. A wraz z nimi my – czytelnicy.

To kluczowa różnica między horrorem a *science fiction*. Kinga, jego czytelników, a do pewnego stopnia także bohaterów, wcale nie interesuje, jak właściwie narodziły się moce Carrie, skąd dokładnie



WARNER BROS. / MAT. PRASOWE

Kadr z filmu „Lśnienie” Stanleya Kubricka, według powieści Stephena Kinga, 1980 r.

przybył złowrogi klaun Pennywise i dlaczego sztuczna inteligencja sprawiła, że ciężarówki zaczęły nagle mordować ludzi. W pisarstwie *science fiction* dobre wyjaśnienie uwiarygadnia świat, w horrorze każde wyjaśnienie byłoby ostatecznie rozczarowujące. To złota zasada opowieści grozy i – jak się wydaje – przyczyna sukcesu jednych ekranizacji Kinga i porażek innych: nie można pokazać za dużo. Mniej znaczy w tym przypadku więcej. Im mniej wiemy, tym więcej pozostawione zostaje domysłom. A domysły są najstraszniejsze.

Potwór spod łóżka

Choć King opanował szeroki warsztat i kilka gatunków, choć sporo w życiu eksperymentował z formą i treścią, niemal wszystkie jego powieści i opowiadania to przetworzenia jednego motywu – historii o potworze spod łóżka. Wiesz, że coś jest w pokoju. Czujesz to. Ale nie masz pojęcia, czym jest, czego chce i skąd przybyło. To, co straszne, czai się zawsze tuż poza polem widzenia. Jest ledwie dostrzegalne kątem oka. Kiedy spoglądasz w miejsce, gdzie – jak ci się wydawało – przed chwilą

stał potwór, widzisz tylko stertę ubrań, kłamkę albo powieszoną niestarannie kurtkę. A jednak wiesz, że on tam był.

Powieści Kinga karmią się naszą wiarą, w to, że istnieje coś więcej. Potrzebą mitów, która nigdy do końca nie ustąpiła z naszego życia. Przez tysiąclecia cementowały one wspólnoty i nadawały sens losom jednostek. Wielkie odczarowanie świata, jakie dokonało się w ostatnich stu kilkudziesięciu latach za sprawą postępów nauki i technologii, zepchnęło te dawne mity na margines. Do kultury ludowej, a potem popkultury, do sfery koszmarów, dziecięcych marzeń, starczych bają – tuż poza granicę pola widzenia.

To jeden z głównych tematów „Outsidera”, którego serialowa wersja posłużyła mi za pretekst, by wreszcie usiąść i napisać to wyznanie. Bohater powieści, detektyw Ralph Anderson, skonfrontowany z niewytłumaczalnym, odmawia przyjęcia do wiadomości tego, co się wydarzyło. Gdybym uwierzył w potwory, możliwe byłoby wszystko – rozumuje, parodiując jak gdyby ów słynny cytat z „Biesów” Dostojewskiego: „Jeżeli Boga nie ma, to co ze mnie za kapitan?”. Daw-

niej porządek świata opierał się na istnieniu nadprzyrodzonego. Bóg był gwarantem społecznej hierarchii, praw, moralności, istnienia tego, co widzimy i słyszymy. Dziś umowa społeczna, której ucieleśnieniem jest dla Kinga naukowa metoda prowadzenia śledztwa i udowadniania winy, opiera się na przeciwnej zasadzie.

To właśnie nieistnienie nadprzyrodzonego gwarantuje sprawiedliwość procedur opartych na wykluczaniu sprzeczności. Kiedy okazuje się, że podejrzany był w dwóch miejscach naraz, a dowody i zeznania świadków potwierdzają, że dwa sprzeczne fakty są prawdziwe, detektyw Anderson broni się ze wszystkich sił: „Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie”. Bo gdyby potwory spod łóżka istniały, wszystko byłoby możliwe. Skąd wiedzielibyśmy, co jest iluzją, a co rzeczywistością? Jak odróżnilibyśmy senny koszmar od jawy?

„Ludzie bardzo starzy i bardzo młodzi zawsze widzą najwyraźniej” – mówi jeden z bohaterów „Outsidera”, rzucając światło na kolejny sekret warsztatu Mistrza. Rzeczywiście, ważnymi bohaterami jego opowieści często są albo dzieci, albo osoby bardzo stare, u kresu życia gotowe zobaczyć więcej. W niedawnej rozmowie telewizyjnej ze swym imiennikiem, Stephenem Colbertem, King wspomniał, że lubi pisać o dzieciach, bo łączą one w sobie wyjątkowe spojrzenie na świat i bezbronność. Chętnie opowiada więc historie o tym, jak „dzieci biorą sprawy w swoje ręce i stawiają czoło rzeczywistości stworzonej przez dorosłych”. Bo dzieciństwo i starość to momenty, gdy najslabiej działa umowa społeczna zabraniająca nam widzieć to, co niewidzialne. King podkreśla przy tym, w subtelny, ale uporczywy sposób, że ten pakt przeciw niewidzialnemu, gwarantujący trwałość społecznego świata, jest zarazem fundamentem tego, co w nim złe: przemocy, wyzysku, pogardy, nierówności. Choć oczywiście zaraz przypomina, że poza granicami niesprawiedliwego ludzkiego kosmosu kryje się coś znacznie gorszego...

„Rzeczywistość to cienki lód, po którym jednak większość ludzi ślizga się przez całe życie, ani razu, do samego końca, pod niego nie wpadając” – wtóruje inna postać z „Outsidera”, wygłaszając jak gdyby przepis Kinga na doskonałą powieść i zdradzając sekret jego popularności. Tylko cieniutka zasłona pozorów

King jest wszystkożerny.
Cokolwiek wpada
w tryby tej maszyny
do tworzenia literatury,
**zostaje zmielone
i przetworzone na horror.**

dzieli nas od szaleństwa. Zachwiej nią, uchył ją, lecz jej nie zdejmaj.

„Outsider” to trawestacja starej meksykańskiej legendy o El Cuco – potworze, który karmił się krwią i tłuszczem niegrzecznych dzieci. Taka makabryczna bajka na dobranoc. Klaun Pennywise – złowrogi bohater „To” – jest inkarnacją sepek krążących po świecie opowieści o złowrogim klaunie porywającym dzieci. „Gra Geralda” to ekranizacja popularnej miejskiej legendy o facecie, który skuwa swoją żonę kajdankami w ramach seksualnej zabawy, a potem traci przytomność (w tym przypadku: dostaje zawału). Cała plejada Kingowskich postaci, wszystkie te ożywające samochody, opuszczone motele, tajemnicze sobowtóry i tajne eksperymenty CIA – nic z tego nie jest oryginalne. Zasiadając do czytania czy oglądania, słyszałeś już wszystkie te historie. Zwykle dobrze wiesz, jak to się skończy, jak musi się skończyć.

To oczywiście nic nowego. Jako poszukiwacz folkloru i przepisowywacz miejskich i wiejskich legend King kontynuuje do pewnego stopnia tradycję Mary Shelley, Edgara Allana Poe’go, zwłaszcza zaś H.P. Lovecrafta, twórcy przerażającej mitologii Cthulhu. A jednak wydaje się, że King idzie o krok dalej. Oto bowiem również wspomniani literaccy protoplaści stają się dla niego wyłącznie tworzywem. King jest wszystkożerny. Cokolwiek wpada w tryby tej maszyny do tworzenia literatury, zostaje zmielone i przetworzone na horror.

Stephen King nie istnieje

Istnieje organiczny związek między treścią i formą dzieł Stephena Kinga. W szczególności zaś między szybkością, z jaką one powstają, i zachłannością, z jaką je pożeramy. King nie tworzy. On zapisuje. Jest tylko wrażliwym medium,

które przechwytuje to, co wisi w powietrzu, co wszyscy wiemy i czujemy.

Wszystko to prowadzi nas do nieuniknionej konkluzji. Stephen King nie istnieje. Jest wytworem naszych zbiorowych lęków. Koszmarem, który śni współczesny Zachód. Dlatego właśnie biografia jest w tym przypadku tak dobrym kluczem. Po prostu nie jest rzeczywista. Prawdziwy autor znajduje się zawsze odrobinę poza polem widzenia. Oczywiście istnieje, wedle mej najlepszej wiedzy, facet, który nazywa się dokładnie tak samo. Bywa nawet czasem w telewizji, udziela się też na Twitterze, nie szczędząc razów Donaldowi Trumpowi. Ale to nie ten sympatyczny starszy pan z Nowej Anglii napisał wszystkie te bestsellery. Są one wytworem czegoś znacznie bardziej przerażającego, starszego, czegoś, czego nie sposób nazwać, a gdyby nawet miało imię – z pewnością nie odważyłbym się go wypowiedzieć.

Bo o ile Stephen King nie istnieje, to potwory z jego opowieści – owszem. Współczesne horrory nadają tylko nowe imiona i twarze prastarym bóstwom i demonom. To istoty ze świata znaków i wyobrażeń, które nie mają własnego bytu niezależnego od naszej kultury. Istnieją, dopóki nam się śnią. Znikłyby, gdybyśmy się przebudzili. Przetrwac mogą infekując kolejne umysły. Mnożą się, zarażając lekkiem wyobraźnię coraz to nowych istot. To dlatego niezliczone ekranizacje i spektakularne sukcesy marketingowe nie są zaledwie przyjemnym dodatkiem do prozy Kinga. Są jej esencją. Stephen King jako niszowy autor po prostu nie miałby sensu. Potwór spod łóżka karmi się lękiem. Atakuje nas zawsze, gdy jesteśmy sami, ale by się żywić, potrzebuje milionów przerażonych głosów zjednoczonych w krzyku. Potwory i bogowie nie są zainteresowani niszową renomą, akademickimi publikacjami i półkami antykwariatów. Żyją tylko wtedy, gdy ktoś w nich wierzy, gdy się ich lęka, gdy cementują wspólnotę.

Pamiętacie tę archaiczną i nieco nawiedzoną teorię Carla Gustava Junga o zbiorowej nieświadomości? Jeżeli w jakikolwiek sposób da się ją obronić, to twórczość Kinga byłaby właśnie najbliższa takim wyobrażeniom. Choć oczywiście King używa tylko nazwiska. Jego powieści to tak naprawdę autobiografie naszych koszmarów.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Okrutna czułość

PIOTR KOSIEWSKI

To właśnie piękno, niebywała atrakcyjność wizualna prac Miriam Cahn budzi największy niepokój.

JEST JEDNĄ Z NAJWAŻNIEJSZYCH MALAREK drugiej połowy XX i początku XXI wieku. „Ja, istota ludzka” to pierwsza w Polsce monograficzna wystawa szwajcarskiej artystki Miriam Cahn. W warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej znalazło się na wystawie blisko 200 dzieł z ostatnich 40 lat (najstarsze z 1980 r.): obrazy, prace na papierze, rzeźby, a także niepokazywane dotąd szkicowniki.

Urodziła się w 1949 r. w Bazylei. Z tym miastem też na długo się związała. W latach 70. stała się częścią tamtejszego środowiska młodych artystów, zainteresowanych nowymi mediami oraz performance’em. Tworzyła wielkoformatowe prace w miejscach publicznych. Potem zaczęła wykorzystywać ogromne kalki, które pokrywała rysunkami. Szkic podniosła do rangi ukończonego dzieła. Po latach sięgnęła po ostre, czasami kontrastowe barwy, nakładane warstwami, zamazała kontury, wprowadziła nieostrości. Ta płynność, rozmazania, zacieki

sprawiają, że jej prace od razu są rozpoznawalne.

Dość szybko jej twórczość została dostrzeżona. W 1984 r. reprezentowała Szwajcarię na 41. Biennale w Wenecji. Jednak dopiero niedawno, dzięki m.in. udziałowi w przygotowanych przez Adama Szymczyka documenta 14 w Kassel (2017), szerzej zaistniała w międzynarodowym obiegu.

Straszne piękno

W wielkiej sali siedziby muzeum nad Wisłą nie ma żadnych podziałów, ścian, przepierzeń. Pozostawiono gołe ściany. Prace wiszą bez opraw, niektóre wyglądają, jakby zostały tylko prowizorycznie zawieszone. Są na nich ludzie: kobiety, mężczyźni, dzieci. Sceny w pejzażu, pojedyncze postaci lub tylko ujęcia fragmentów ich ciał. Kwiaty i maszyny. Zwierzęta i fragmenty miejskich pejzaży.

Odnoszą się wprost do rzeczywistości politycznej i społecznej. Cahn określiła nawet swoją twórczość jako miejsce indywidualnego oporu. Uważnie obserwowała konflikty na Bałkanach czy wojny

w Zatoce Perskiej. A w ostatnich latach ruch #MeToo oraz kryzys uchodźczy. Od 2015 r. tworzyła cykl „mare nostrum”, w którym przedstawiła nagich, uciekających, przestraszonych, a także tonących w Morzu Śródziemnym ludzi.

Wiele z tych prac wydaje się całkowicie neutralnych: jakieś portrety czy pejzaże. Podpowiedź dają tytuły. Zaciekawiają, budzą niepokój: „musieć oddychać”, „musieć się śmiać”, „musieć uciekać”, „musieć zabijać”. Głowa smutnego, młodego mężczyzny ze wzrokiem skierowanym na widza okazuje się być „myślącym żołnierzem” (2000). Obraz, na którym znalazły się jedynie wyciągnięte dłonie, to „ręce do góry!” (2018).

Niektóre prace swym wyglądem przypominają negatywy czarno-białych zdjęć, inne mienią się kolorami – artystka sięga m.in. po pastele, technikę zazwyczaj kojarzoną z XVIII stuleciem. Znalazły się na wystawie czarno-białe rysunki przedstawiające m.in. fragmenty miast, a na podłodze sali rozłożono rzeźby, które przypominają ścięte konary drzew. Są też akwarele o subtelnej kolorystyce. Dopiero po chwili można dostrzec, że strugi niebieskiej farby układają się w kształt grzyba po wybuchu bomby atomowej. To właśnie piękno, niebywała atrakcyjność wizualna prac Miriam Cahn budzi największy niepokój.

Kobieta artystka

„Ludzie traktują kobiety tak, jak gdyby nie były one zdolne do obrazowania (...) przemocy” – zauważyła Cahn przed kilkoma laty. I dodała: gdy „pracujesz z własnym ciałem jako kobieta-artystka (...) wówczas zmierzyć się musisz również z przemocą fizyczną”. W jej pracach



Miriam Cahn
– szkice, notatniki



pełno jest lęku, bólu, strachu, choć nie epatuje obrazami przemocy. Pokazuje ją przede wszystkim z perspektywy ofiary, jej doświadczenia.

Ale jest też pożądanie, namiętność, seksualność. Przedstawia pary wchodzące w intymne relacje, cielesność we wszystkich jej wymiarach, afirmację wstydlivych i spychanych w milczenie sfer kobiecego doświadczenia. Określała nawet swe dzieła mianem „prace owulacyjne” czy „prace menstruacyjne”. Cahn wkracza też w obszar męskiej cielesności i seksualności, jeszcze bardziej – okazuje się – stambuizowanej. Widzimy jej dłonie, jak starannie formują ręce, tułowie, genitalia, a następnie je niszczą. I zaczynają od nowa.

Jest także w Muzeum Sztuki Nowoczesnej obraz „musieć oddychać” (2018). To wąski pas płótna, na którym został przedstawiony mężczyzna. Całkowicie nagi. Jedną ręką obejmuje członka. Wygląda, jakby był opadły z sił, wycieńczony. Wszystko, sposób ujęcia, kształt obrazu, przywołuje inne dzieło, przechowywane w bazylejskim Kunstmuseum – „Chrystus w grobie” Holbeina. Obraz, przez który – jak mówił książę Myszkina, bohater Dostojewskiego – „niejeden może utracić wiarę!”. Jednak to być może przypadkowe powinowactwo dobrze ujmuje problem z twórczością Miriam Cahn. Narusza ona *status quo*, przyzwyczajenia, to czego oczekujemy, zwłaszcza od malarstwa z jego wielowiekową tradycją.

Własne, nie własne

Historyczka sztuki i kuratorka Natalia Sielewicz zauważyła, że Miriam Cahn tworzy ramę dla cudzych historii, pragnień i przeżyć. Jednocześnie nieustannie opowiada swoją historię oraz historię swojej rodziny. Mówi o swoim cielesnym, o jego przemianach, starzeniu. O własnych doświadczeniach, pragnieniach, przeżyciach. W prywatnym słowniku napisanym w 2014 r. pod hasłem „wojna” zanotowała: „To tkwi w mojej historii rodzinnej; mój ojciec i matka byli oboje uchodźcami. Dużo się u nas politykowało, wojna do tego po prostu należy. Dorastałam w cieniu zimnej wojny”. Z kolei pod hasłem „żydostwo” zapisała: „Utożsamiałam się z tą historią. Ma to również związek z nazwiskiem Cahn – gdybym nazywała się Müller, wszystko potoczyłoby się być może inaczej”.

→

Powyżej: *Kochanie*, lata 2008–2018,
poniżej: *Myślący żołnierz*, 2000 r.

Obie prace reprodukowujemy dzięki uprzejmości artystki oraz Galerie Jocelyn Wolff (Paryż) i Meyer Riegger (Berlin/Karlsruhe).



→ Siłą jej twórczości jest właśnie podwójna perspektywa: indywidualne spojrzenie, ale też opowiadanie o uniwersalnych doświadczeniach. W jej pracach mogą się przejrzeć inni. Więcej, mogą odnaleźć własne doświadczenie. Często są dziś przywoływane słowa Olgi Tokarczuk z jej wykładu noblowskiego o potrzebie spontanicznej i bezinteresownej czułości, wykraczającej poza empatyczne współodczuwanie. Ta czułość musi się łączyć, jak podkreślała pisarka, „z głębokim przejściem się drugim bytem, jego kruchością, niepowtarzalnością, jego nieodpornością na cierpienie i działanie czasu”. Miriam Cahn zapewne dodałaby: z bacznym przyglądaniem się rzeczywistości. Nie ma bowiem złudzeń – w los mniejszości jest wpisane doświadczanie przemocy.

W swych obrazach ucieka zazwyczaj od jednoznacznych powiązań z bardzo konkretnymi osobami czy wydarzeniami. A jednak jest praca szczególna, jak sama

Po prawej:
Zamalować pięknego nazistę,
technika własna, 2018 r.
Dzięki uprzejmości artystki
oraz *Galerie Jocelyn Wolff*
(Paryż) i *Meyer Riegger*
(Berlin/Karlsruhe).

Poniżej: *ekspozycja Miriam Cahn,*
na pierwszym planie praca
Pole bitwy / dzieło wykonane
pod koniec życia, 2012 r.

Miriam Cahn,
JA, ISTOTA LUDZKA, Warszawa,
Muzeum Sztuki Nowoczesnej,
kuratorka Marta Dziewańska

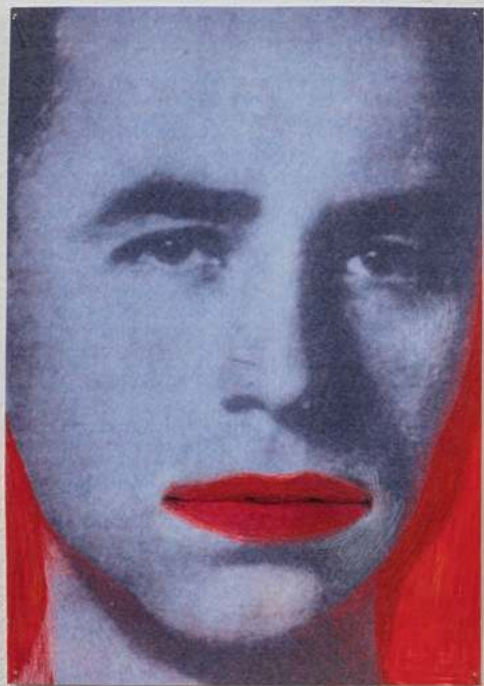
podkreśla, dla niej wyjątkowa. W 2013 r. z jednego z programów telewizyjnych zaczerpnęła sławne ujęcie Adolfa Eichmanna. I częściowo zamalowała kredkami. Powstał dziwny, odrealniony, upiorny portret. Do tego ujęcia potem wracała. Na wystawie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest wersja, w której zamalowywała na czerwono jedynie tło i usta nazisty. Patrzy na nas atrakcyjny, młody mężczyzna – bez informacji o tytule „Zamalować pięknego nazistę” (2018) nie domyślilibyśmy się, że patrzymy na jednego z największych zbrodniarzy ubiegłego wieku.

Ostatecznie jej twórczość jest, jak sama podkreśla, archeologią obrazów. Odnajdywaniem wizerunków i przywracaniem lub ujawnianiem ich znaczeń. Zanotowała: „Pamiętam, co mogę. Moja pamięć jest czasowa. Pamięć obrazów trzeba pielegnować jak ogród. Nigdy nie wiesz, co z tego może wykiełkować!”.

© PIOTR KOSIEWSKI



DANIEL CHROBAK / MATERIAŁY PRASOWE MSN X2





MATERIAŁY PRASOWE HBO

Serial „Opowieść wigilijna” pokazywany przez BBC i HBO

Co o nas mówią wiktorianie

JAKUB MAJMUREK

W nowej serialowej adaptacji zobaczymy bohatera „Opowieści wigilijnej” na miarę czasów katastrofy klimatycznej i zaciskania pasa. Z Sherlockiem Holmesem i Draculą jest podobnie.

EPOKA KRÓLOWEJ WIKTORII SKOŃCZYŁA się 119 lat temu, wiktoriańskie wartości dawno temu odesłane zostały do lamusa, nostalgię za wiktoriańską polityką żywią tylko najbardziej zacięci konserwatyści, do stosunków społecznych z epoki nie tęskni chyba nikt. Zupełnie inaczej rzecz ma się z wiktoriańskim światem w kulturze popularnej. Ten ciągle ma się świetnie i wraca w kolejnych odsłonach: w kinie, grach wideo, telewizji.

W zeszłej dekadzie mieliśmy w telewizji dwie uwspółcześnione ekranizacje przygód Sherlocka Holmesa, amerykańskie „Elementary” (2012-19) i brytyjskiego „Sherlocka” (2010-). Początek tego

roku zaczął się w telewizji od nowej wersji dickensowskiej „Opowieści wigilijnej” oraz kolejnej adaptacji „Drakuli” Brama Stokera, wyprodukowanej przez BBC wspólnie z Netflixem. W marcu światową premierę ma nowa, osadzona we współczesnych czasach wersja „Niewidzialnego człowieka” H.G. Wellsa. Skąd te nieustanne powroty postaci i motywów sprzed ponad stu lat?

Człowiek, który wynalazł Boże Narodzenie

Odpowiedź jest prosta. To właśnie wiktoriańskie narracje ciągle w dużej mierze organizują to, jak opisujemy sobie świat

– przynajmniej w zachodnim kręgu kulturowym. Weźmy „Opowieść wigilijną” i Boże Narodzenie. Brytyjscy historycy lubią powtarzać, że to właśnie opowiadanie Dickensa, opublikowane we wczesnej epoce wiktoriańskiej, w grudniu 1843 r., stworzyło Boże Narodzenie, jakie dzisiaj znamy.

Dickens miał skromniejsze ambicje. W 1843 r. jego dobrze rozwijająca się kariera spowolniła, żona oczekiwała kolejnego dziecka, wydatki rosły. Młody pisarz szybko potrzebował kolejnego literackiego hitu. Zdecydował się więc na dwie rzeczy szczególnie interesujące publiczność początków lat 40. XIX w.: historię o duchach i bożonarodzeniowy temat.

To czas, kiedy pierwsza fala rewolucji przemysłowej w Anglii jest już w zasadzie zakończona. Kilka poprzednich dekad radykalnie zmieniło gospodarkę i życie społeczne kraju. W tym również sposób podchodzenia do organizujących niegdyś kalendarz chrześcijańskich świąt. Stare sposoby świętowania, praktykowane w wiejskich społecznościach, okazywały się coraz mniej praktyczne w świecie powstającym wokół fabryki – w epoce, w której niespotykanej w historii ekspansji sił wytwórczych towarzyszył masowy wyzysk i nędza.

Wcześni wiktorianie mieli poczucie, że święta, w tym Boże Narodzenie, trzeba wymyślić na nowo, jeśli nie mają wkrótce zmienić się w kolejny zwykły dzień roku. Na początku lat 40. ukazują się kilka popularnych książek opowiadających o zapomnianych w uprzemysłowionej Anglii bożonarodzeniowych tradycjach. Dickens wstrzelił się w ten trend, a jego książka natychmiast okazała się wydawniczym hitem. Skutecznie zaproponowała wiktoriańskiemu społeczeństwu nową bożonarodzeniową narrację.

Jej sednem jest nie tyle religia i tajemnica Wcielenia, ile celebrowanie międzyludzkich więzi, zwłaszcza tych rodzinnych. Dickens zdefiniował Boże Narodzenie jako rodzinne – a nie, jak wcześniej, wspólnotowe – święto. Jako moment, gdy każda rodzina, niezależnie od codziennych problemów i finansowych trudności, siada razem przy stole, by celebrować łączące ją więzi. Opisując przemianę Ebenezera Scrooge’a – starego skąpca i zgorzkniałego mizantropa – który nawiedzany przez duchy w świąteczny czas odkrywa znaczenie przyjaźni, miłości i braterstwa, Dickens stworzył model bożonarodzeniowej opowieści, jaki powraca regularnie we współczesnej kulturze popularnej w kinie i telewizji.

W zasadzie każdy współczesny film bożonarodzeniowy opowiada o tym samym, co dzieło z 1843 r. O bohaterach, którzy dzięki „magii świąt” wychodzą poza własny egoizm i uprzedzenia, przekonują się, jak bardzo potrzebują swoich najbliższych, w tym tych, którzy na co dzień wydawali się wyłącznie uciążliwi i irytujący. O tym mówią najpopularniejsze w Polsce świąteczne hity. „Kevin sam w domu” – gdzie chłopiec marzący, by uwolnić się na chwilę od licznej rodziny, w święta przekonuje się, jak bardzo jej potrzebuje. Albo „Szklana pułapka”, w której przeżywające poważny kryzys małżeństwo McClane’ów, uwięzione w Wigilię w opanowanym przez terrorystów wieżowcu, uświadamia sobie ponownie wartość łączącej je relacji.

Scrooge ery austerity

A przy tym „Opowieść wigilijna” otwarta jest na różne współczesne odczytania. Pokazuje to nowa adaptacja opowiadania, trzygodzinowy serial pokazany przez BBC i HBO.

Jego autorem jest Steven Knight, specjalista od odważnej artystycznie telewizji w historycznym kostiumie. Jego najsłynniejszy serial „Peaky Blinders” (2013-) to historia tytułowego gangu z Birmingham, który sprytem i przemocą próbuje wywalczyć sobie pozycję w brytyjskim społeczeństwie międzywojnia. W innym projekcie twórcy, napisanym wspólnie z aktorem Tomem Hardym „Tabu” (2017), bohaterem jest młody mężczyzna, awanturnik i odkrywca James Delaney, który pod koniec wojen napoleońskich wraca z Afryki do Londynu, gdzie rzuca wyzwanie wszechwładnej, faktycznie rządzącej Imperium Brytyjskim Kompanii Wschodnioindyjskiej.

W obu produkcjach Knight portretuje bohaterów skonfrontowanych z brytyjskim establishmentem i jego instytucjami, rzucających im wyzwanie ze społecznych dołów lub pozycji outsiderów. Choć Delaney i gangsterzy z „Peaky Blinders” stawiają raczej na twardą walkę o własny interes, nie na oddolną solidarność uciśnionych i polityczny opór, to obie produkcje pokazują brytyjską historię z krytycznej perspektywy, eksponując obecną w niej przemoc i niesprawiedliwość.

Tym tropem idzie też przygotowana przez Knighta „Opowieść wigilijna”. Wystrza motywy już obecne u Dickensa, autora patrzącego z wielką empatią na wszystkich tych, których wiktoriański kapitalizm spychał na dno nędzy i rozpacz. Scrooge jest u Knighta nie żalosnym starcem, ale potężnym i niebezpiecznym człowiekiem interesu – lepiej nie stawiać na jego drodze. W Scrooge’a wciela się ze świetnym efektem australijski aktor Guy Pearce – młodszy, „bardziej męski”, energetyczny i agresywny niż zwyczajowe filmowe reprezentacje tej postaci.

Spotkanie z duchem przeszłości pokazuje skalę biznesów Scrooge’a. Scrooge i jego partner w interesach, Jacob Marley, są wszędzie. W Manchesterze kupują fabrykę od młodego, niedoświadczonego przedsiębiorcy, który odziedziczył po ojcu zadłużony majątek, i zwalniają pracowników, by z zyskiem sprzedać maszyny i ziemię. W Walii wchodzi w posiadanie przynoszącej straty kopalni, by natychmiast zmienić ją w zyskowne przedsięwzięcie – oszczędzając na bezpieczeństwie górników. Scrooge i Marley reprezentują w serialu cały dwuznaczny, jednocześnie twórczy i skrajnie destruk-

cyjny potencjał kapitalizmu. Wszędzie tam, gdzie się pojawiają, wywracają do góry nogami dotychczasowe sposoby życia, spędzania czasu wolnego i pracy, zastępując tradycję racjonalną kalkulacją, a społeczne więzi logiką zysku. Akumulując kapitał, zostawiają za sobą zgłiszczoną, nie ma też żadnej katastrofy, na której nie potrafiliby zarobić. Taki obraz Scrooge’a wydaje się bardzo współczesny. To Scrooge stworzony na miarę czasów zbliżającej się katastrofy klimatycznej i dekady polityki zaciskania pasa, która po wielkim kryzysie roku 2008, zamiast pomóc gospodarce, zubożyła brytyjskie społeczeństwo, zwłaszcza jego najsłabsze warstwy.

Bardzo współczesny jest też obecny w serialu motyw przemocy seksualnej. Scrooge jest tu jednocześnie sprawcą i ofiarą. Wiktoriańskie społeczeństwo układa się w adaptacji Knighta w błędne koło, gdzie władza pieniądza nad ciałem – w wymiarze ekonomicznym i seksualnym – niszczy życie kolejnych pokoleń. Tę sztafetę nieszczęść przerywa dopiero przemiana Scrooge’a w Boże Narodzenie – choć kwestią otwartą pozostaje, czy swój zakumulowany na nieszczęściu i katastrofach kapitał będzie on teraz w stanie zmienić w narzędzie służące dobru.

Socjopatyczna osobowość naszych czasów

Prawicowa prasa w Wielkiej Brytanii zaatakowała produkcję Knighta jako przykład „lewicowego skrzywienia BBC”. „Nawet świątecznej klasyki nie da się obejrzeć bez współczesnej polityki” – narzekali zawiedzeni. Jednak to właśnie ten współczesny wątek czyni „Opowieść wigilijną” Knighta tak istotną i ciekawą, prowadząc nas przez znaną wszystkim historię i kompensując często nieznośny sentymentalizm oryginału.

Podobnie uwspółcześnione podejście podjęli autorzy innej świąteczno-noworocznej adaptacji wiktoriańskiej klasyki – „Drakuli”, koprodukcji BBC i Netfliksa. Także za tym trzygodzinkowym projektem stanęli doświadczeni autorzy: Mark Gatiss i Steven Moffat. Ta dwójka znana jest przede wszystkim ze wspomnianej uwspółcześnionej adaptacji przygód Sherlocka Holmesa, przeniesionych do współczesnego Londynu, także wyprodukowanej przez BBC.

Choć Wielka Brytania drugiej dekady XXI wieku wydaje się być w zupełnie

→ innym miejscu niż w czasach Arthura Conana Doyle'a, Holmes okazał się figurą doskonale pasującą do naszych czasów. Być może wynika to z tego, że postać słynnego detektywa można uznać za jedną z emblematycznych figur całej nowoczesnej kultury popularnej. W swojej książce „Énigmes et complots”, poświęconej analizie kryminału i powieści szpiegowskiej, francuski socjolog Luc Boltanski zwraca uwagę, że wiktoriańska proza detektywistyczna rodzi się mniej więcej w tym samym momencie, co socjologia jako nauka. Obie łączy przekonanie, że społeczeństwo jest czymś, co daje się racjonalnie pojąć. Detektyw w typie Holmesa, tak jak socjolog, bada to, co kryje się za społeczną fasadą. Uczony chce odkryć rządzące społeczeństwem prawidłowości, niedostępne oku nieuzbrojonego w naukową metodę. Detektyw posługując się osiągnięciami nauki i racjonalnym rozumowaniem wyjaśnia zbrodnie, by wszystko znów mogło działać prawidłowo. Przekonanie o pewnej minimalnie racjonalnej pojmowalności społeczeństwa ciągle wiąże nas z wiktoriańczykami na tyle, że postaci typu Holmesa przemawiają także do naszej wyobraźni.

Zwłaszcza że w literackim oryginale Conana Doyle'a Holmes to również zaskakująco współczesna nam postać. Słynny detektyw to przecież seksualnie niejednoznaczny stary kawaler mieszkający z przyjacielem, pracoholik, wspomagający się w pracy silnie uzależniającymi substancjami (głównie nikotyną i kokainą), osoba całkowicie nastawiona na cel (wyjaśnienie zbrodni), społeczne normy traktująca w najlepszym wypadku z obojętnością. Gatiss i Moffat nie musieli wiele dopisywać, by aktor Benedict Cumberbatch stworzył z Holmesa fascynującego, niezwykle inteligentnego socjopatę, typowości szczególnie chętnie celebrowany

przez współczesną popkulturę: od doktora House'a, przez Iron Mana z uniwersum Marvela, po finansowego geniusza Bobby'ego Axelroda z serialu „Billions”.

Czy kiedyś przestaliśmy być wiktoriańscy?

W „Drakuli” postać tytułowego wampira nie zostaje uwspółcześniona – ale twórcy konfrontują go w końcu z Anglią XXI wieku. Odtwarzający transylwańskiego hrabiego Claes Bang przypomina w wielu miejscach – zwłaszcza ubrany w czarną pelerynę z czerwonym podbiciem – najsłynniejszego brytyjskiego odtwórcę tej roli, Christophera Lee. Drakula w kreacji Lee z serii filmów kręconych dla wytwórni Hammer w latach 50. i 60. jest przede wszystkim symbolem nieskrępowanej seksualnej energii, rozsadzającej wszelkie społeczne normy, zwiastunem rewolucji obyczajowej, która w latach 60. odmieni nie tylko brytyjskie społeczeństwo.

Drakula w kreacji Banga tylko marginalnie przywołuje te konteksty. Nawiedzający współczesny Londyn rumuński arystokrata jest w produkcji Netfliksa przede wszystkim symbolem władzy i przywileju, skoncentrowanym i reprodukującym się w kolejnych pokoleniach na bogactwie, którego siła jest równie odporna na wszelkie przemiany społeczne, co wampir na upływ czasu. Gdy hrabia budzi się we współczesnej Anglii po latach śpiączki, jego majątek okazuje się być ciągle nienaruszony, sprawnie zarządzany przez działającą nieprzerwanie od czasów królowej Wiktorii szacowną kancelarię prawniczą. W nowej ojczyźnie zachowuje się jak poradziecki oligarcha albo szejek znad Zatoki Perskiej, wykupujący kolejne nieruchomości w zamożnych zachodnich demokracjach.

Być może ten trop to kolejny klucz do popularności wiktoriańskiej prozy w kinie i telewizji. W epoce, gdy społeczne nierówności w krajach Zachodu znów szybują ku tym znanym sprzed I wojny światowej, gdy socjalne zdobycze XX wieku są coraz częściej kwestionowane – coraz więcej z nas czuje, że mimo wszystkich kluczowych zmian ostatnich stu lat z kawałkiem, być może przestaliśmy być wiktoriańscy w znacznie mniejszym stopniu, niż się nam to wydawało.

Joker z Korei

ANITA PIOTROWSKA

Nieczęsto się zdarza, by to, co namaszczone Złotą Palmą przez snobistyczne Cannes, triumfowało również na Oscarach w Hollywood. Tak się stało w tym roku z „Parasite” Bonga Joon-ho.

IO CO TYLE HAŁASU? ZNÓW ZAMIERZALICIE celebrować globalną hegemonię amerykańskiego przemysłu filmowego?!” – usłyszałam w trakcie oczekiwań na tegoroczną galę oscarową. Tym razem warto było zarwać noc i przeżyć to na własnej skórze. Nieoczekiwane zwycięstwo koreańskiego „Parasite” przełamało wiele stereotypów związanych z najbardziej pożądaną, ale coraz chętniej dyskredytowaną nagrodą filmową. Ożywiło nie tylko monotonną ceremonię. Pokazało język hałaśliwie i kosztownie promowany pewniakom, udowadniając przy okazji, że serce współczesnego kina bije niekoniecznie w Hollywood.

Z bezczelnością mu do twarzy

Obraz Bonga Joon-ho, nagrodzony też Oscarem za reżyserię, scenariusz oryginalny i najlepszy tytuł międzynarodowy, w pełni na te wszystkie laury zasłużył, bo mało który współczesny film potrafi tak brawurowo unieważnić granice między rozrywką i sztuką. Satyra społeczna, rozpięta między designerską willą a podmkłą suterena, co chwila łapie widza w wielopoziomą pułapkę. Dworuje sobie z pobożnych oczekiwań, nicuje w nieskończoność sympatię i empatię, moralne oburzenie i społeczny gniew. Lecz choć współcześni biedni i bogaci wydają się tu warci siebie nawzajem, a tytułowe pasożytnictwo mieni się dialektycznymi odzieniami, nie mamy wątpliwości, po której stronie bije serce reżysera. Kry-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

© JAKUB MAJMUREK



MATT PETIT / AFP / EAST NEWS

Twórcy filmu „Parasite” podczas ceremonii wręczenia Oscarów. Hollywood, 9 lutego 2020 r.

tyczna diagnoza pogłębiających się nierówności ekonomicznych uzewnętrznia się także w samym kształcie filmu – „Parasite” to majstersztyk w kreowaniu realnej i symbolicznej przestrzeni filmowej. A także wielki triumf niedocenianej dotychczas kinematografii południowokoreańskiej.

I to Bong właśnie jest prawdziwym Jokerem współczesnego kina. Nie Todd Phillips, którego film o komiksowym bohaterze uosabiającym neurotyczną naturę naszych czasów bardzo chciałby być antysystemowym koktajlem Mołotowa. Ciekawsze od samego „Jokera” jest z pewnością to, co robi on ze swoim widzem. Phillips czerpie garściami z komiksowej serii o Batmanie i filmów Scorsesego z psychopatycznym bohaterem w roli głównej. Karmi się traumami wywołanymi przez uzbrojonych szaleńców, jak i pojedynczą frustracją seksualną tzw. inceli. Wreszcie, odwołuje się do zbiorowego gniewu obywateli zdanych na samych siebie w sytuacjach kryzysowych. Pozostawia jednak po sobie jedynie efektowny grymas, rozpaczliwy śmiech w ciemności; zbyt łatwo przemienia się w opowieść wariata. I choć nagrodzony

za tytułową rolę Joaquin Phoenix, czarny koń w tej konkurencji, pozwala zobaczyć w swojej masce twarz i Donalda Trumpa, i Jarosława Kaczyńskiego, i rzeszę innych antyestablishmentowych zbawców, a fenomenalna muzyka Hildur Guðnadóttir odtwarza narastające szaleństwo, rozbudzając demony miasta Gotham, czegoś jednak zabrakło temu efektownemu filmowi. Być może właśnie tej beczelności i świeżości, która eksplodowała w „Parasite”.

Nagrodzenie młodej islandzkiej kompozytorki, znanej już choćby z serialu „Czarnobyl”, to zresztą jeden z bardziej wymownych akcentów oscarowej ceremonii. Również w kategorii reżyserskiej przegrali weterani i mistrzowie. Taki np. Quentin Tarantino ze swoim „Pewnego razu... w Hollywood” musiał zadowolić się statuetkami dla Brada Pitta za rolę drugoplanową i za scenografię dla Nancy Haigh i Barbary Ling. A szkoda. Nakręcił bowiem własne „Przeminęło z wiatrem” – nostalgiczną, lecz na swój sposób krytyczną opowieść o zmierzchu starego Hollywood, czego symbolem było zabójstwo Sharon Tate. Przepisał historię podług własnych fantazji: poodwracał bieg

wydarzeń, wskrzesił zmarłych, z oprawców uczynił ofiary, a ofiarom przywrócił utraconą sprawczość. Bo kino to dla twórcy „Pulp Fiction” magiczny wehikuł zmiany, przestrzeń nieograniczonej wolności, którą mało który ze współczesnych reżyserów potrafi zagospodarować ręką tak pewną i czułą.

Ale kino!

Totalnym przegranym okazał się jednak Martin Scorsese ze swym „Irlandczykiem”. Też niesłusznie. Komentatorzy ściągający się w geriatrycznych metaforach dostrzegają w tym dziele jedynie aktorско-reżyserski lifting, prześlepiając jego głęboką samoświadomość. Mistrz nadal opowiada ze swadą, ale i nie ukrywa swego zmęczenia. Również zmęczenia samym sobą, powielanymi przez siebie kliszami męskości i narracyjnej potencji. Oglądanie filmu na Netflixie dodatkowo utrudnia zanurzenie się w ekranowym świecie – ta gangsterska historia o zdradzie, wpisana w wielką historię USA, to w jakimś sensie film o upływającym czasie. Gawęda pensjonariusza domu starców, który przegrał samego siebie i swój amerykański sen, okazuje

→ się także zmierzchem pewnego modelu kina. Scorsese niepostrzeżenie stał się klasykiem – obficie cytowanym w filmie Phillipsa i uczczonym na scenie Dolby Theatre przez zwycięskiego Bonga.

„Torba pocieszenia”, czyli pakiet prezentów wręczany twórcom nominowanym, lecz nienagrodzonym, wart – bagatela – 215 tysięcy dolarów, przypadła również Samowi Mendesowi. Jego „1917” z aż dziesięcioma nominacjami miał rozbić bank, otrzymał jednak tylko nagrody za zdjęcia, dźwięk i efekty specjalne. Ów werdykt potwierdził wcześniejsze opinie, jakoby film był dziełem przede wszystkim operatora Rogera Deakinsa. Odtwarzając epizod z czasów I wojny światowej w jednym dwugodzinny ujęciu, twórcy chcieli najwyraźniej, abyśmy poczuli się niczym mityczni „pierwsi widzowie”, którzy ponad 120 lat temu uciekali w popłochu widząc na ekranie nadjeżdżający pociąg. I tak się dzieje w tym przypadku.

Odpalona na ekranie machina wojenna przybiera kształt imponującej ekranowej dioramy, tworzy iluzję totalnego uczestnictwa, zamienia się w szarpiącą trzewia wirtualną przygodę. Równocześnie film Mendesa, zanurzony w klasyce kina wojennego, zarówno tej hollywoodzkiej, jak i radzieckiej, stawia pytania odwieczne i znane – o sens wojny jako takiej, o jej wymiar jednostkowy, o cenę odwagi czy odpowiedzialności, ale też o wartość samego przetrwania. Otrzepawszy się jednak z bitewnego pyłu, można zastanowić się, czy nie jest to kolejna, jeszcze bardziej sugestywna próba sprzedawania wojny jako widowiska. Stałoby to w sprzeczności z antywojennym przesłaniem filmu, wychylonym przecież nie tylko w przeszłość, ale i w przyszłość.

Twarze eskapizmu

Zupełnie inną drogą poszedł Taika Waititi w „Jojo Rabbit” (Oscar za scenariusz adaptowany). Jego opowieść o czasach Zagłady celowo pomniejsza swoją skalę, odchodzi od widowiskowej tragedii na rzecz naiwnej baśniowości i „taniego” slapsticku. Historia przyjaźni chłopca z wyimaginowanym Hitlerem bywa przy tym ryzykownie trywializowana, pełna dziwacznych stylizacji i ornamentów. Ale reżyser o żydowsko-maoryskich korzeniach wychodzi z tej próby zwycięsko. Jego film, rozgrywający się niby w hitlerowskich Niemczech, lecz tak naprawdę w jakimś ahistorycznym wsze-



Renée Zellweger w filmie „Judy” Ruperta Goolda

dzie, ośmiesza nazizm w każdej postaci – jako aberrację, która chwilami wieje przeciw autentyczną grozą i tylko umownie zostaje rozbrojona przez dziecięcą wyobraźnię.

Pozorny eskapizm cechuje także „Małe kobietki” Greta Gerwig. Eklektyczny kostium z XIX wieku, zaprojektowany przez nagrodzoną Oscarem Jacqueline Durran, skrywa osobistą wypowiedź reżyserki na temat kobiecej emancypacji. Do niedawna Gerwig znana była przede wszystkim jako aktorka amerykańskiego kina niezależnego i życiowa partnerka reżysera Noah Baumbacha. Od czasu nakręconej przez siebie „Lady Bird” z powodzeniem toruje sobie drogę w wielkim przemyśle filmowym. W tym roku konkurowała ze swym partnerem w głównej kategorii oscarowej. Baumbach za „Historię małżeńską” musiał zadowolić się też tylko jedną statuetką – za drugoplanową rolę Laury Dern. Był to jeden z bardziej oczywistych werdyktów tej ceremonii. Członkowie Akademii lubują się bowiem w rolach „cielesnych”, wyrazistych, wręcz przerysowanych – jak wspomniany Phoenix w „Jokerze” czy Renée Zellweger w „Judy”. Ta ostania kreacja nabiera w dzisiejszych czasach wymiaru wręcz symbolicznego: aktorka z dużym poświęceniem gra tutaj postać Judy Garland, czyli cudownego dziecka i zarazem ofiary systemu hollywoodzkiego, również nagrodzonej ongiś Oscarem.

A o tym, że to system wciąż mocno niedoskonały, przypomina słaba reprezentacja kobiet w tegorocznym rozdaniu.

Jedna Gerwig i jej „Kobietki” wiosny nie czynią. Już przy okazji ogłoszenia nominacji sporo mówiło się o salonie odrzuconych. Znalazł się w nim nie tylko film „Nieoszlifowane diamenty” braci Safdie z iście oscarową rolą Adama Sandlera, ale także Céline Sciamma i jej „Portret kobiety w ogniu” czy Lulu Wang ze swoim „Kłamstwem” i rolę Awkwafiny, które mogły spokojnie startować w czołowych kategoriach. Ich znaczącą nieobecność zmanifestowała na czerwonym dywanie aktorka Natalie Portman, występując w płaszczu, na którym złotą nicią wyhaftowano nazwiska pominiętych reżyserów. Podobnych deklaracji równościowych nie mogło zabraknąć na tegorocznych Oscarach. Laureaci w mniej lub bardziej płomiennych wystąpieniach upominali się o mniejszości rasowe i seksualne, o robotników, zwierzęta i o klimat. Chwilami brzmiało to groteskowo na tle konsumpcyjnego przepychu, choć miała to być uroczystość w stylu eko – bez plastiku, z przewagą wegetariańskiego menu, w strojach przeznaczonych do ponownego użytku.

I inni

Najważniejsze jednak nie są deklaracje, ale to, że spektakularny triumf „Parasite” pomieszał te najbardziej zwarte i oczywiste szyki w dzisiejszym przemyśle filmowym. Przypomnił też, że Oscary to wypadkowa gustów i guścików AMPAS (Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej), a często efekt znaczącego rozproszenia głosów



Joaquin Phoenix w filmie „Joker” Todda Phillipsa

bądź ich nazbyt wykalkulowanej dystrybucji. Nie mówiąc o skutecznej machinie promocyjnej.

92. edycja Oscarów, w przeciwieństwie do ubiegłorocznej, należącej do „Romy” Alfonso Cuaróna, nie przyniosła spodziewanego triumfu Netflixu. Wyprodukowane przez platformę tytuły: „Irlandczyk”, „Historia małżeńska” czy „Dwóch papieży” Fernando Meirellesa, miały skromniutki udział w gali. Ciekawym przypadkiem jest kategoria dokumentu, gdzie wygrała „Amerykańska fabryka” Stevena Bognara i Julii Reichert, czyli kolejny produkt streamingowego giganta. Był to zdecydowanie najsłabszy tytuł, zalutujący dokumentalną „ustawką”. Niby politycznie poprawny, ale jednak propagandowy, podszyty lękiem przed „żółtą” ekspansją i „obcym” modelem biznesowym. Wykupienie przez chińskiego miliardera upadłego zakładu General Motors w Ohio staje się tu okazją do stereotypowych zderzeń kulturowych, choć jednocześnie z całych sił stara się nie zaszkodzić stosunkom gospodarczym z Chinami. Tymczasem wojna w Syrii, sportretowana z szokującą detalicznością w „For Sama” Waad Al-Khateab i Edwarda Wattsa oraz w „The Cave” Ferasa Fayyada, nie zdołała przebić się do wrażliwości jurorów. Podobnie jak macedońska „Kraina miodu” Tamary Kotewskiej i Ljubomira Stefanowa, kino najsłabsze formalnie w tej stawce i nominowane także w kategorii najlepszego

filmu międzynarodowego, wspólnie z „Bożym Ciałem” Jana Komasy.

Polski film nie zdobył statuetki pożądanego rycerzyka, jakkolwiek przegranie z „Parasite”, najlepszym filmem całego oscarowego rozdania, trudno uznać za klęskę. Zwłaszcza że w tych samych szrankach stało *opus magnum* Pedro Almodóvara „Ból i blask” czy „Nędznicy” Ladjy Ly, chwytający za gardło oraz wieloetnicznych przedmieść Paryża. Dodajmy, że wiele świetnych filmów nieanglojęzycznych w ogóle nie zostało nominowanych, by wymienić tylko „Atlantyk” Mati Diop, wspomniany „Portret kobiety w ogniu” czy „Wysoką dziewczynę” Kantemira Bałagowa.

Zwykle, już po zwinięciu czerwonego dywanu, wypada na Oscary tradycyjnie ponarzekać – że to hermetyczny zbiorowy rytuał, w którym środowisko namaszcza „swoich”. Że to tylko gra towarzysko-biznesowa, w której karty są znaczone i zostały dawno rozdane. W tym sensie zaskakujący triumf „Parasite” jest niczym wtargnięcie Azjatów na salony. Bong co prawda nie wziął się znikąd, ma jednak na koncie netfliksową „Okje” czy „Snowpiercera: Arkę przeszłości” – oba zrealizowane po angielsku i z gwiazdorską obsadą. Teraz zdobywa sam szczyt filmem *stricte* koreańskim, który lada chwila doczeka się przeróbki na serial produkcji HBO. Najważniejsze jednak, że w takich momentach twórcy z krajów uchodzących dotąd za peryferyjne czy egzotyczne mogą nabrać wiatru w żagle. © ANITA PIOTROWSKA

WARTO ZOBACZYĆ W TV [15 – 21 II]

1. The Cave: szpital w ogniu



Dokumentalny, reż. Feras Fayyad, Dania/ Niemcy/USA/Syria/ Katar 2019, National Geographic, 16 II, 21.00

Twórca „Ostatnich z Aleppo” tym razem towarzyszy z kamerą pracownikom podziemnego szpitala w bombardowanej Ghucie. Nominowany do Oscara dokument pokazuje ofiarną pracę personelu na czele z nieustraszoną Amani Ballour – pediatrą, która zмага się nie tylko z koszmarnymi warunkami i ludzkim nieszczęściem, ale także z lokalnymi uprzedzeniami wobec swojej płci.

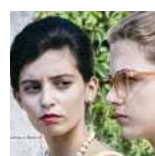
2. Słodki koniec dnia



Dramat, reż. Jacek Borcuch, Polska 2018, Canal+, 16 II, 21.30, Canal+ 1, 16 II, 22.30

Stonieczna Toskania, kryzys uchodźczy w tle, a na pierwszym planie świeżo upieczona polska noblistka, która spektakularnym gestem rzeka się nagrody. Nagrodzona na festiwalu Sundance Krystyna Janda przekonująco wciela się w postać niepokornej intelektualistki, która łamie stereotypy i kwestionuje polityczną poprawność.

3. Genialna przyjaciółka 2



Serial, reż. Saverio Costanzo, Włochy/USA 2020, HBO GO, odcinki 1 i 2 (kolejne dwa co wtorek)

Adaptacja drugiego tomu tetralogii Eleny Ferrante, zatytułowanego „Historia nowego nazwiska”, przedstawia dalsze losy neapolitańskich nastolatek wpisane w przemiany społeczno-obyczajowe swoich czasów. Pisarka raz jeszcze wzięta aktywny udział w powstawaniu scenariusza. Drugi sezon będzie liczył osiem odcinków, stacja HBO zacznie je emitować 24 marca.

4. Nieoszlifowane diamenty



Sensacyjny, reż. Bennie i Josh Safdie, USA 2019, Netflix

Prawdziwy diament kina akcji, iskrzący się humorem i wyszlifowany w najdrobniejszych szczegółach. Opowiadając o nowojorskim jubilerze, który kocha kłopoty, bracia Safdie wciągają widza w zakamarki Nowego Jorku, z jego wieloetniczną społecznością i szemranymi biznesami. W roli głównej fenomenalny Adam Sandler.

JAN

Klata:

Spowity całunem



GDZIE JEST CHRYSZTUS? JESZCZE CIĄGLE, CZĘSTO, bardzo często ludzie zadają sobie najważniejsze z pytań, najważniejsze nawet wtedy, gdy dochodzą do wniosku, że nigdzie albo po prostu „gdzieś indziej”. Krzyża w centrum chrześcijaństwa też

przecież bardzo długo nie było, żeby nie ploszył pierwszych pokoleń owieczek etykietą loosera, mało – przynajmniej – twarzową. Ludzie lubią zwycięzców, w przeciwieństwie do prawdy. Prawda lubi się zwycięzcom wymykać, zwłaszcza tym seryjnym.

Znam aktora szczycącego się faktem, że tak sobie wytrenował synka, żeby malec na widok krucyfiksu pytał: „A co to jest? Tatusiu, kim jest ten pan?”. Pytanie skądinąd ciekawe, ale liczy się intencja. Znam widzów (swojskich, polskich) chwalcących się, że nie znają „Ojczyzny”, bo prze-

cież pierwszy wyraz patriarchalny, a drugi opresyjny, więc po co wiedzieć, co dalej, skoro pijemy latte na sojowym, c'mon, hello? Egzultanci z rzeczywistości nie znają i nie chcą wysłuchać, tolerancja im nie pozwala, skoro czują się u siebie na splachetku Warszawy, a wokół czarna burza, nie ma wolności dla wrogów wolności, bo wiadomo, dokąd zmierzają Polska.

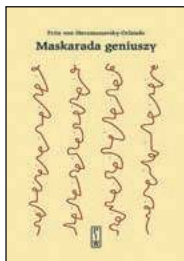
Zaiste, trochę niestety wiadomo. Polska wyciera sobie gębę Chrystusem, przybija Chrystusa, masowo ciula głosy na Chrystusa, zbiera hajs na Chrystusa, w jego imię samozwańczo chamsko suwereni, broni Chrystusa przed Europą, zasłania Chrystusowi oczki, wskazując pod kołderkę z piętnastolatka/piętnastolatkiem. Straszliwe nadużycie Chrystusa a la discopolonaise, wszyscyśmy jego świadkami. I świadkami też.

A zatem Chrystus umarł z tego wszystkiego, w męczarniach. Nie dziwota przeto, ludkowie, że miał dość, kto by nie miał. Skamieniał ze zgrozy, bo przecież wszystko widział, zamknął powieki, przykrył się przezroczyście. I leży. Nie w Licheniu, niestety.

W Neapolu. W kaplicy Sansevero. Straszliwy czarodziejski mason go sprokurował, kazał wykuć niezmiernie. I rzeczywistość, nie z tego świata postać się jawi nieprawdopodobnie. Cristo velato. Leży. Spowity. Całunem. Na coś czeka. Na coś w nas. ©

Lektor:

Sen Cyriaka



■ Fritz von Herzmanovsky-Orlando
MASKARADA GENIUSZY
Przekład i komentarz Ryszard Wojnakowski, posłowie Piotr Paziński.
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2019, ss. 536

„PSEUDONIM?”, POMYŚLAŁEM, znalazłszy przed blisko 40 laty w księgarni powieść, której tytuł, „Straszykoń w różanych siłach”, był równie osobliwy jak nazwisko autora. Ale Friedrich Josef Fritz Ritter von Herzmanovsky-Orlando (1877–1954) istniał naprawdę. Z wykształcenia był architektem, jednak gruźlica przerwała jego zawodową karierę. W 1918 r. osiadł w Meranie, w Tyrolu

południowym przyłączonym wtedy do Włoch, a rodzinny majątek pozwolił mu nie tylko zajmować się prawdziwymi pasjami – pisarstwem i rysunkiem, ale też nie dbać o publikację swoich utworów. Wprawdzie wspomniany „Straszykoń...” (przełożony u nas pięknie przez Sławomira Błautę) ukazał się już w 1928 r., większość jednak dzieł Herzmanovsky'ego-Orlando wydano po jego

śmierci w opracowaniu innego pisarza, Friedricha Torberga. Także „Maskaradę geniuszy”, uważaną za jego najważniejszy utwór. W literaturze austriackiej nie brak ekscentryków, ale Herzmanovsky zajmuje w tej konkurencji miejsce wyjątkowe. „Maskarada geniuszy”, opowieść o przygodach niejakiego Cyriaka von Pizzicoll i jego wędrownie do Tarokanii, to zapierająca dech groteska, w której – jak pisze Ryszard Wojnakowski – „rozszała wyobraźnia znajduje odbicie na dwóch planach: konstrukcyjnym, sankcjonującym nagle zwroty akcji i *deus ex machina* jako (a)logiczną zasadę twórczą, oraz językowym, słowotwórczym, niemiłosiernie zacierającym granice między językiem wysokim i potocznym”. Tarokania, państwo buforowe pomiędzy terytoriami germańskimi, słowiańskimi i romańskimi,

królestwo wymyślone jakoby na kongresie w Laibach w 1821 r., zaludnione postaciami z komedii dell'arte i rządzone wedle zasad gry w taroka – stanowi oczywistą parodię c.k. monarchii, ale też dziwaczną utopię. Jest – zauważa Piotr Paziński – „snem i grą nieświadomości, tyleż satyrą społeczną w historycznych kostiumach, eksploatującą absurdalność nieistniejącego już austro-węgierskiego świata, co podróżą w głąb mrocznego ja głównego bohatera”. Paziński przypomina dwóch przyjaciół Herzmanovsky'ego – Alfreda Kubina, genialnego rysownika i grafika, autora jednej, za to arcydzielnej powieści, przynoszącej wizję Państwa Snu, oraz Gustava Meyrinka, w którego „Golemie” klaustrofobiczne praskie getto przypomina „wnętrze znękanego, dręczonego koszmarami ludzkiego mózgu”. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Ciężar namiętności



CZTERNAŚCIE TON. MNIEJ WIĘCEJ TYLE WAŻYŁY „klódkki miłości” odczepione w zeszłym roku od barierki z okazji remontu mostu Tumskiego we Wrocławiu. Solidna niemiecka robota, wytrzymał ruskie tanki podczas oblężenia Festung

Breslau, to co miałby nie unieść polskich amorów! Nie wiem, czy ktoś zważył sentymentalny złom zdjęty z krakowskiej kładki ojca Bernatka parę lat temu, nie dokopałem się takich danych, a szkoda, bo to byłby ważny przyczynek dla rozwoju współczesnej inżynierii lądowej. Specjaliści od statyki powinni brać pod uwagę nie tylko szacowany ruch kołowy i dwunożny (mając z tyłu głowy fakt, że przeciętny pieszy waży dziś o jedną trzecią więcej, niż określają normy konstrukcyjne sprzed kilku dekad), ale też naddatek w postaci metalicznego śladu eterycznych uczuć.

Po remoncie kładka znów obrosła klódkami – kiedy sumienie próbuje mi grozić konkretną, bolesną pokutą, przychodzi mi na myśl kara w postaci starannego policzenia, ile ich teraz wisi. Dlatego dotkliwa, że poręcze wieńczące barierki mają w zagłębieniach od spodu lampki, przez co gnieźdzą się tam setki dorodnych pajaków utuczonych owadzią biomasą przyciąganą co noc przez światło. Panicznie się ich boję. W dzień drzemią ukryte sprytnie w szczelinach (arachnofob dojrzy pajaka nawet przez metal!), jak Wartownicy Serc z piosenki Okudźawy, a ja przebiegam regularnie kładkę czując tyleż strachu, co zdumienia.

Jak bowiem można świętować przyciąganie umysłów, wdzięczność oczu, czułość dłoni, mrowienie skóry szczękiem twardego skobelka? Wyrazić wyjątkową, choć znaną prawie każdemu grę w kotka i myszkę z niespełnieniem, coś kapryśnego, opornego wobec planów kwartalnych, kodeksów i przepisów sanitarnych – symbolem niewoli i uziemienia? Dobrowolnie, własnoręcznie, ponosząc wymierne koszty (w internetowym sklepie ok. 30 zł, łącznie z laserowym grawerunkiem, gwarantowana „wieczysta trwałość napisu”)? Nie wiem, czy to kwestia pokoleniowa, czy ukąszenia Broniewskim, ale metalowe akcesoria z kluczem kojarzą mi się raczej z Ludwikiem Waryńskim w szlisselburskiej twierdzy niż z zakochaniem.

Ludzie, owszem, mają też skłonność do zawiązywania trwałych aliansów w celu płodzenia potomstwa i obsługi kredytu, z nadzieją opieki na starość oraz gwarancją ulg w podatkach. Ale takiego rodzaju miękkie kajdany zapina się w stosownym urzędzie lub świątyni, nie na pajęczej kładce, zwłaszcza na połowie ze ścieżką rowerową. Że ludziom się jedno z drugim pomieszało, to jest oplakana spuścizna przewrotu pojęciowego w kwestii miłości, jakim roman-

tyzm zwieńczył proces budowy jednostki ludzkiej wszczęty przez oświeceniowe głowy. Obie epoki to jak nierozdzielne rodzeństwo psujów, dwie fazy jednego spazmu, choć w szkołach nam kładli do głów, że są wzajemnie sprzeczne. Odcięcie głowy króla z czubka konstrukcji państwa i dalszy rozwój liberalnej praktyki politycznej musiały zapewnić ludziom zastępcze *sacrum* w życiu publicznym – czyli pieniądź – oraz świeży obiekt dewocji prywatnej, do czego sentymentalnie pojęta miłość (podszyta rozkiełzanym przez pewnego francuskiego markiza Erosem) nadawała się znakomicie.

Mając umiarkowanie liberalne sympatie i konserwatywny szacunek dla faktów już – niestety – dokonanych, przyjmuję bez marudzenia absurdalność miłosnego sztafażu. Idą wielkie walentynkowe żniwa branży gadżeciarskiej i gastronomicznej! Powiadam wam, kto nigdy nie uratował budżetu swojej knajpy w ten jeden wieczór, zapewniając płynność w kasie aż do świąt, ten nie wie, co to prawdziwa Power of Love.

Myśleliście kiedyś o tym na spokojnie? Zamiast codziennie dawać sobie po kropki miłości, żeby starczyło na długo, zanim błysnie dno w naczyniu – ludzie leją wiaderem w jeden szczególny dzień, jakby gwarantowało to cudowne rozmnożenie napoju. Namiętność w cenie rezerwacji, stuprocentowa gwarancja „igraszek” dzięki afrodyzjakom w menu – prawdziwym lub rzekomym. Jest w ogóle jakaś różnica? Mnie można np. postawić mata w trzech ruchach, podając ptibery z serkiem topionym, ale tylko dlatego, że ten smakołyk złożony z tego, co zostało w plecaku podczas pewnych wakacji, mam zakodowany w najczulszych prętach reaktora mózgu. Nie będę tłumaczył kelnerce, czemu składam takie dziwne zamówienie. Wątpliwe zresztą, by lokale, w których lubiłbym spędzić wieczór (niekoniecznie 14 lutego), miały serki topione na stanie. Dlatego raczej schowam się w domu, o ile w drodze powrotnej kładka nie zawali mi się pod ciężarem lekkomyślnych przysiąg. ©P

Gdybym jednak wyszedł i chciał podkreślić zmysłowość chwili, poprosiłbym kucharza o pewien deser, do którego mam sentyment, bo wymyślił go moi cudowni druhowie z Kuchni Dantego, a ja do niego dodałem od siebie nazwę – Crema Beatrice. To tak naprawdę tzw. krem dyplomatyczny, tylko zamiast mleka ma sok z mandarynek.

Podgrzewamy około 400 ml **soku mandarynkowego** (można samemu wycisnąć) w rondelku prawie do zagotowania. Ucieramy 4 **żółtka** ze 100 g **cukru pudru**, potem wkręcamy 30 g **skrobi kukurydzianej**. Ostrożnie przekładamy na powierzchnię gorącego soku tę masę. Lekko mieszamy, podgrzewamy, kiedy pojawi się pierwszy bąbel, zdejmujemy z ognia i energicznie mieszamy trzepaczką przez co najmniej minutę, aż krem dobrze zgęstnieje. Chłodzimy (np. na balkonie). Ubijamy ok.

150 g **śmietanki** z odrobiną **cukru** i szczyptą **solu**. Kiedy krem już będzie chłodny, delikatnie łączymy go z bitą śmietaną. Krem dobrze podać z częstkami karmelizowanej mandarynki – na grubej patelni brązowimy 4 łyżki **cukru**, dodajemy łyżkę **masła**, dolewamy 100 ml soku i dziesięć części mandarynki, delikatnie mieszamy przez dwie minuty i gotowe.



SŁODKIE OBLĘŻENIE

Średniowieczne Walentynki?

W rycerskich romansach miłość może i przedstawia się jako pochłaniająca i szlachetna – ale na pewno nie jako „czysta”.

MAGDALENA ŁANUSZKA



Oblężenie Zamku Miłości, na marginesie Psalterza Luttrell, ok. 1325–1340, British Library

W ROKU 1214 W TREVISO, JAK ZANOTOWAŁ RONALDINO z Padwy, odbyła się popularna zabawa w Oblężenie Zamku Miłości. Zbudowano sztuczną fortecę, w której zabarykadowały się najpiękniejsze damy z Padwy. Następnie natarli na nią młodzieńcy, atakując za pomocą owoców, kwiatów oraz perfum. W tym przypadku jednak zabawa nieoczekiwanie przerodziła się w prawdziwą walkę, ponieważ zamek szturmowali także goście z Wenecji, którzy po kapitulacji fortecy triumfalnie ozdobili ją swym sztandarem św. Marka. To nie spodobało się miejscowym – sztandar został zerwany i podarty, a panowie z obu stron przeszli do walki między sobą.

Zapewne właśnie z powodu tego incydentu Ronaldino wspominał o owej zabawie – i tak się składa, że notka ta jest najstarszą zachowaną wzmianką o Oblężeniu Zamku Miłości.

Szturm po nagrodę

Uważa się jednak, że zabawa ta była popularna w Europie już wcześniej. Zachowało się też sporo jej średniowiecznych przedstawień: w luksusowych wyrobach z kości słoniowej, w rękopisach oraz tapiseriach. Za każdym razem chodziło o to, że zamek musiał w końcu się poddać, a pokonane damy prawdopodobnie wykupywały się z niewoli, płacąc pocałunkami.

Wiadomo, że zabawa ta była popularna w XVI w. na dworze Tudorów; tak się składa, że pierwsza zanotowana obecność Anny Boleyn na królewskim dworze dotyczyła właśnie jej roli jako jednej z dam z oblężonego zamku. Było to 4 marca 1522 r. w pałacu kardynała Wolseya – w Zielonym Zamku (Château Vert) broniły się damy wystę-

pujące jako personifikacje cnót; Anna Boleyn grała Cierpliwość. Atakowali zaś panowie (w tym także król), których do boju wiodła personifikacja określona jako Pałace Pragnienie (Ardent Desire).

Nikt nie miał wątpliwości, że panowie w ramach nagrody za zdobycie zamku pragnęli czegoś więcej niż tylko pocałunku.

W kolekcji British Library znajduje się rękopis z ostatniej ćwierci XV wieku, zawierający m.in. średniowieczny „poradnik” dla kochanków („Les demandes en amours”: 18 pytań wierszem i 87 prozą, zawierających wskazówki miłosne), który otwiera miniatura ukazująca młodzieńca zwracającego się do trzech dam u wrót Zamku Miłości. Intencje tego pana są wyjątkowo czytelne: jego saczek („klapka” między nogawicami, pełniąc funkcję rozporoka) zaraz chyba sam mu się rozepnie – jak się domyślamy, w wyniku entuzjazmu młodzieńca wobec pięknych pań. Damy doskonale wiedzą, w czym rzecz. Nie wyglądają na zgorszzone, lecz raczej z zacie-



Miniatura na pierwszej stronie „*Les demandes en amours*”,
XV w., British Library

kawieniem spoglądają na zalotnika, przy czym wzrok ich nie jest skupiony na jego twarzy.

Z kolei w różnych muzealnych zbiorach znajdziemy oprawy lusterek wykonane w Paryżu z kości słoniowej w XIV w.; niektóre reliefy przedstawiają moment zdobycia Zamku Miłości. Zwycięscy rycerze otrzymują od dam uściski – powtarza się przy tym gest chwytania pod brodą, który w średniowiecznej sztuce pojawiał się w przedstawieniach kochanków. Możemy się zatem domyślać, że damy są gotowe zaoferować rycerzom więcej niż tylko przytulenie.

Feudalna gra

Zabawa w Oblężenie Zamku Miłości jawi się jako kwintesencja późnośredniowiecznej kultury dworskiej, której bardzo ważnym aspektem miało być zagadnienie miłości dwornej (*fin'amor*; w 1883 r. mediewista Gaston Paris określił ją mianem *amour courtois*), choć część badaczy krytykuje to pojęcie jako wywodzące się nie tyle ze źródeł średniowiecznych, ile z romantycznej, XIX-wiecznej wizji tej epoki. To gra o ustalonych regułach: wielbiący damę młody rycerz stara się spełnić jej pragnienia, okazać swą miłość poprzez bohaterskie czyny i symboliczne gesty, przy czym dama zazwyczaj pozostaje niedostępna, najczęściej jako żona seniora: władcy, którego wasalem jest zakochany rycerz.

Zabawa w Oblężenie Zamku Miłości, jak często zaznaczają badacze, uosabia ideę wojny płci, walki o dominację w związku, również w relacji erotycznej. Rzuca to też więcej światła na pojęcie dwornej miłości: rola damy w średniowiecznych romansach – obiektu uwielbienia, a nie rzadko władczyni nakazującej rycerzowi nieustannie dowie-

dzić swego oddania – według badaczy wynikała z emancypacji kobiet w pełnym i późnym średniowieczu.

Damy z ówczesnych wyższych sfer były wykształcone, mogły wydawać rodowe pieniądze na rozrywki kulturalne i mecenat artystyczny, a ponadto nieobecność mężczyzn (np. w czasie krucjat) dawała im poczucie niezależności. Najsłynniejsze dzieła świeckiej literatury średniowiecznej powstawały w XII w. – a to właśnie wtedy żyły dwie wielkie opiekunki artystów: Eleonora Akwitańska oraz jej córka, Maria z Szampanii. Wśród ówczesnych słynnych twórców miłosnych rycerskich opowieści ważną rolę odgrywała kolejna kobieta: poetka Marie de France.

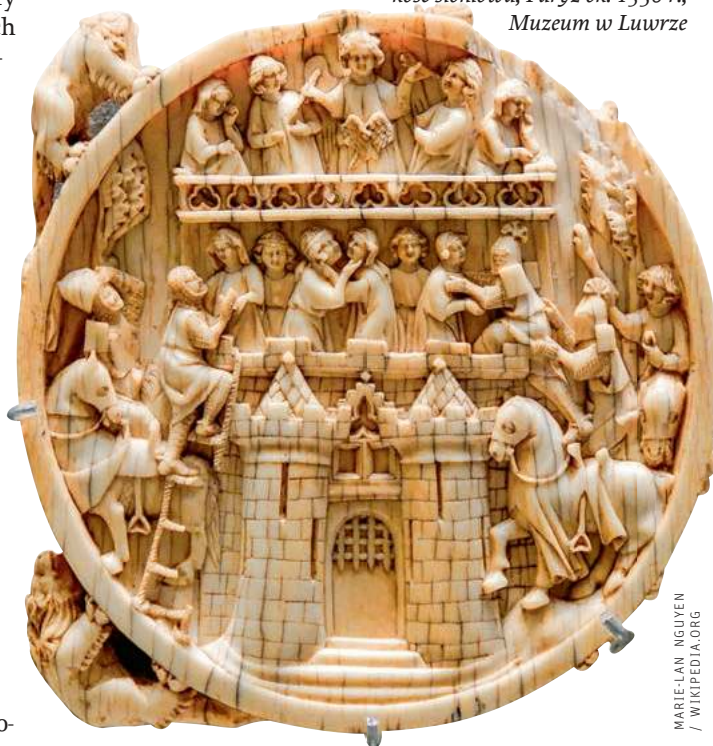
Jak jednak uważał francuski mediewista Georges Duby, choć na pierwszy rzut oka romansowa literatura średniowieczna wydaje się odwracać społeczny porządek (gloryfikować kobietę, zaprzeczać ważności przysięg małżeńskich), to w rzeczywistości ukazuje ona całkowicie męską grę między wasalem a seniorem. Dama – żona seniora – jest w tym układzie tylko pozornie obiektem uwielbienia; tak naprawdę stanowi narzędzie, za pomocą którego

mąż kontroluje swoich młodych rycerzy, wiąże ich z dworem i pozbawia szans na niezależność.

Tym bardziej że młodszy synowie szlacheckich rodów najczęściej byli wyłączeni z dziedziczenia i nie mogli zakładać rodzin. Znaleźcie miejsce dla tych rycerzy na dworze seniora i przekucie ich seksualnej frustracji w pełną oddania



Zdobycie Zamku Miłości, oprawa lusterka,
kość słoniowa, Paryż ok. 1350 r.,
Muzeum w Luwrze



→ służbę żonie tegoż seniora mogło zapobiec kryzysom w relacjach feudalnych hrabstw i księstw.

Tylko czy przy tej grze dama rzeczywiście pozostawała „niedostępnym” obiektem westchnień?

Jak ukryć cudzołóstwo

Najbardziej popularne średniowieczne pary literackich kochanków to Tristan i Izolda oraz Lancelot i Ginewra. Schemat trójkąta w obu przypadkach jest zbliżony: dama jest żoną króla (Izolda króla Marka, a Ginewra – Artura), który nie jest złym mężem, lecz niestety jej serce wybiera rycerza (odpowiednio: Tristana i Lancelota).

Lancelot zdobył w końcu przychyłność Ginewry i został nagrodzony: królowa przyjęła go w swoim łóżu! Z kolei Tristan i Izolda w zasadzie zaczęli swój romans od jego konsumowania: jeszcze na statku, w drodze do narzeczonego, po wypiciu miłosnego napoju Izolda oddała Tristanowi swoje dziewictwo. To zresztą był dość duży problem – w końcu król Marek powinien był w noc poślubną stwierdzić, że jego małżonka jest dziewicą. Izolda wykorzystała jako kamuflaż swoją służkę Brangien, która oddała własne dziewictwo, zastępując swoją panią w małżeńskim łóżu.

Średniowieczne damy miały jednak inne sposoby na tak trudną sytuację. XII-wieczny traktat „De curis mulierum” („O leczeniu kobiet”), przypisywany lekarce Trocie z Salerno, zawiera m.in. przepisy na to, jak zamarkować dziewictwo. Można np. przed nocą poślubną umieścić w pochwie pijawki, dzięki czemu powstanie niewielki krwawy skrzep, który będzie dobrze udawał błonę dziewiczą. Skoro owemu kłopotowi uwagę poświęca medyczny traktat, to znaczy, że nie dotyczył on wyłącznie Izoldy.

Co ciekawe, romanse są tak skonstruowane, że czytelnik kibicuje wiarodolnym kochankom – choć zdradzani mężowie wcale nie są tu postaciami negatywnymi czy groteskowymi. Nawet gdy cudzołożne żony uciekają się do oszustw

Zabawa w Oblężenie Zamku Miłości,

jak często zaznaczają badacze,
uosabia ideę wojny płci,
walki o dominację w związku,
również w relacji erotycznej.

i krzywoprzysięstw, byle utrzymać romans w tajemnicy, nadal uważamy je za pozytywne bohaterki.

Interesującym przykładem ambivalencji moralnej w ilustracji legendy o Tristanie i Izoldzie są paryskie XIV-wieczne skrzyneczki z kości słoniowej, dekorowane scenami romansowymi – do grupy takich zabytków należy tzw. skrzyneczka królowej Jadwigi ze skarbcza katedry na Wawelu.

Na jednym z boków widzimy Tristana i Izoldę rozmawiających pod drzewem, na którym ukrył się król Marek próbujący przyłapać żonę na gorącym uczynku. Kochankowie jednak dostrzegli odbicie króla w strumieniu przepływającym pod drzewem; toczyli zatem niewinną rozmowę, która uspiła czujność męża. Co ciekawe, w tych przedstawieniach Izolda trzyma małego pieska – symbol wierności. Rozumiemy, że bohaterka jest wierna – tyle że nie mężowi, lecz ukochanemu Tristanowi.

Nawet jeśli jest to wierność jedynie w uczuciach, bo przecież musiała spełniać małżeńskie obowiązki wobec króla Marka. Cieleśnie nie była więc wierna żadnemu z mężczyzn.

Zerwana Róża

Jednym z najważniejszych literackich zabytków w odniesieniu do dworskiej miłości jest XIII-wieczny poemat alegoryczny „Powieść o Róży” („Roman de la Rose”). Dzieło to, dziś nieco już zapomniane, było w średniowieczu powszechnie znane i masowo kopiowane – do naszych czasów zachowało się około 300 rękopisów. Dwa iluminowane egzemplarze przechowywane są w Polsce: jeden w Bibliotece Narodowej w Warszawie, drugi zaś w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie.

„Powieść o Róży” składa się z dwóch zupełnie odrębnych części, napisanych wierszem w języku starofrancuskim. Pierwsza liczy nieco ponad 4 tys. wersów i została napisana

przez Guillaume’a de Lorrise, zapewne w latach 1225-30 – nie wiemy, kim był autor, ale być może wywodził się z wyższych sfer; w każdym razie jego poemat wpisuje się w ideały kultury dworskiej. Guillaume opisał swój sen, w którym wystąpił jako Kochanek (*Lamant*) przybywający do zamkniętego Ogrodu, w którym ujrzał Różę, uosabiającą dziewczynę. Przeszyty strzałą Amora, bohater staje się jego sługą (tak jest, chodzi o antycznego boga Miłości; nie jest to zresztą jedyna mitologiczna postać w tym poemacie); przysięga wierność jego przykazaniom i zaczyna dążyć do zerwania Róży.

*Tristan i Izolda, fragment dekoracji
tzw. skrzyneczki królowej Jadwigi, XIV w.,
Muzeum Katedralne w Krakowie*



Miniatura z „Powieści o Róży”, ok. 1400 r.,
Biblioteka Uniwersytetu w Walencji

Część drugą, ponad czterokrotnie dłuższą, dopisał Jean de Meun, prawdopodobnie w latach 1268-82. O Jeanie wiemy znacznie więcej: był mieszczaninem, erudytą, tłumaczem dzieł filozoficznych i moralnych. Dla niego przygody Kochanka były w zasadzie jedynie pretekstem do stworzenia traktatu filozoficzno-społecznego. W tej drugiej części pojawia się także nieco cyniczna dyskredytacja romantycznych dworskich ideałów.

Miłość jest tu raczej wyrazem popędu, autor kwestionuje też pojęcie wierności, i to w odniesieniu do obu płci: „Powtarzam więc, zalotnik zawsze / oszukać stara się niewiastę; / niechże i ona mu odpłaca / tą samą miarką i niech nigdy / serca jednemu nie oddaje, / lecz niech ma wokół siebie wielu / i tak się stara ich omotać, / aby się dla niej zrujnowali”.

Mężczyźni i kobiety znajdują w „Powieści o Róży” osobliwe rady: oto obie strony powinny się nauczyć, jak oszukiwać, aby osiągnąć egoistyczny cel, czyli cielesną rozkosz. Młodzieńcy oczywiście chcą mieć wiele kochanek naraz; szkodził w tym, że należy zadbać, aby ich damy się o sobie nawzajem nie dowiedziały. W razie wypadki najlepiej wypierać się do upadłego, a gdy zaprzeczać już nie można, kochanek powinien powiedzieć, że zdradził tylko raz, i to dlatego, że go ta droga przymusiła...

Damy z kolei muszą nauczyć się sztuki manipulacji, aby utrzymać zainteresowanie kochanka. W poemacie znajdziemy szereg porad, jak za pomocą kosmetyków i strojów uwypuklać swe zalety i maskować wady (w tym celu zaleca się także przyjmowanie kochanka w półmroku). A że mężczyźni – czytamy – lubią dreszczyk emocji, warto wmawiać ukochanemu, że każde spotkanie jest dla damy (i jej reputacji) wielkim niebezpieczeństwem, choćby kochankom nic nie groziło.

Następnie zaś natrafiamy na instrukcje dotyczące... organizmu:

„Poczekać czasem też wypada, / aby do portu razem wpłynąć. / Nie opuszczając się wzajemnie, / oboje wspólnie niech żeglują, / aż jednocześnie znajdą przystań, / wtedy ich rozkosz będzie pełna. (...) / Gdyby zaś dama nic nie czuła, / i tak powinna udać rozkosz, / w wiadomy sposób dając znaki, / które spełnienie objawiają. / Kochanek wtedy jej uwierzy, / choć ona ma to wszystko za nic”.

Pod koniec poematu następuje – a jakże! – szturm na zamek, w którym przetrzymywana jest dziewczyna, a właściwie personifikacja jej przychylności względem starań Kochanka. Forteca oczywiście pada, a Kochanek zrywa upragnioną Różę. W tym miejscu następuje jednak zmiana metafory i natrafiamy na opis działań pielgrzyma, który dotarł do okienka sanktuarium wyposażony przez Naturę w sztywny kostur i sakiewkę zawierającą dwa młoteczki.

Cel pielgrzyma jest jasny: chce on „kostur w to okienko wsadzić, / tak, by sakiewka zeń zwiślała”, lecz niestety nie jest to takie proste, bo panna okazuje się (prawdziwą!) dziewicą.

Ostatecznie, po wielu wysiłkach, Kochankowi udaje się jednak wpakować kostur do celu („musiałem kijem zgnieść przegrodę (...) i wreszcie cały wszedł do końca”).



Mit o pruderii

Wciąż jeszcze w powszechnej świadomości funkcjonują mity na temat kultury średniowiecznej: że były to „wieki ciemne”, że ówczesni żyli w brudzie i zabobonach, że zapomniane zostało dziedzictwo antyku (rzekomo odkryte na nowo dopiero w renesansie). Że był to czas dyskryminacji kobiet, absolutnej dominacji Kościoła, a ówczesna sztuka była głównie religijna. Wszystko to oczywiście nieprawda.

Negatywny obraz średniowiecza to jedno. Drugim zaś problemem jest wizerunek wyidealizowany, zakorzeniony w romantycznych legendach z XIX wieku, gdy pewne aspekty dziedzictwa wieków średnich zwyczajnie cenzurowano.

Pamiętać także musimy, że nasz odbiór tamtej epoki w dużej mierze wynika z tego, co wybiórczo zachowało się z ówczesnej kultury wizualnej. Tak się składa, że dzieła sakralne były po prostu przechowywane z większym pietyzmem niż przedmioty codziennego użytku czy dekoracje świeckie. Nie przetrwała do dziś np. kolekcja książek królowej Jadwigi, a wiemy, że miała ona biblioteczkę pełną przekładów różnych dzieł na język polski. Zachowała się za to należąca prawdopodobnie do niej wspomniana skrzyneczka z kości słoniowej, zdobiona scenami z romansów – ale trzymano ją przez stulecia w skarbcu krakowskiej katedry nie dla jej walorów artystycznych czy treści przedstawień, lecz dlatego, że już w XVI w. służyła jako relikwiarz.

Tymczasem średniowiecze było epoką barwną i tętniącą życiem; ówczesna sztuka i literatura były wielokrotnie bardziej swobodne, dosadne i bezpruderyjne, niż przypuszczamy na podstawie tego, czego uczono nas w szkołach.

Miłosne zabawy naszych przodków mogłyby wręcz zawstydzić niejednego dzisiejszego zwolennika najbardziej nawet bezpruderyjnych Walentynek.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

Autorka jest doktorem historii sztuki i mediewistką. Prowadzi blog o poszukiwaniu ciekawostek w sztuce: poszukiwania.pl. Stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

Fragmenty „Powieści o Róży” w przekładzie M. Frankowskiej-Terleckiej i T. Giermak-Zielińskiej (Warszawa 1997).

STANISŁAW

Mancewicz:

O rozmawianiu



DWA RAZY W OSTATNIM TYGODNIU PODJĘLIŚMY próbę porozmawiania sobie z robotem. Jeden pracuje w firmie telekomunikacyjnej, drugi w kurierskiej. Z pierwszym gwarzyliśmy przez telefon. Było miło, choć mówił głównie on. Był ograniczony branzowo. Nie łapał np. wątków osobistych, nie zareagował więc na pytanie, na kogo głosował. Trudno. „Miło mi było” – zakończył i każdy powie, że był to robot kulturalny. Rozmowa sprawiła nam przyjemność, przyniosła nadzieję, ale i inspirację. Dlaczego? O tym za chwilę.

Drugi robot uruchomił sam z siebie okienko do pogaduszek, gdyśmy na stronie firmy kurierskiej zajmowali się śledzeniem paczki, co jest poza aktualizowaniem profilu na FB główną dziś, jakże frapującą ludzkość rozrywką. Zaczepił nas bezpośrednim „Cześć”, czym ośmielił nas do nawiązania bliższej relacji. Odpowiedzieliśmy więc grzecznie „Cześć” i ruszyło. Zaczęło się obiecująco. „Potrafię odpowiadać na różne pytania i rozmawiać na różne tematy” – zapowiedział może trochę zbyt buńczucznie i wkleił wesołą buźkę. Skoro tak, skoro lody obcości przełamały się tak szybko i łatwo, zapytaliśmy wprost: „Jak się czujesz?”. Zaczął od „Hmm”. To zawsze, w każdym języku, oznacza zastanowienie. Zdążyliśmy się minimalnie i krótkotrwale zaniepokoić. To „Hmm” mogło przecież oznaczać, że czuje się kiepsko. Niewiele jednak z jego namysłu wynikło, rzekł bowiem zaraz i szczerze: „Niestety, nie rozumiem o co chodzi (smutna buźka). Spróbuj napisać dokładniej, czego chciałbyś się dowiedzieć”. Jak to można opisać „dokładniej”? Może chodzi mu o więcej empatii? Troski? „Brzuch?” – zapytaliśmy, zakładając, że robot może mieć wprowadzony do swej bazy danych kontekst, czyli np. słowo „boli”.

I że go teraz użyje. Niestety. „Potrafię odpowiadać na różne pytania” (wesoła buźka) – rzekł bez namysłu. Uzналиśmy, że trochę przesadza, ale może tak naprawdę chce zmienić temat? Że to zbyt intymne? Zapytaliśmy zatem: „Skąd jesteś?”. A on swoje: „Hmm. Niestety, nie rozumiem o co chodzi” (smutna buźka). „Dobranoc” – napisaliśmy. Był rozbrajający: „Hmm, nieestety nie rozumiem” (smutna buźka).

Nastroj wyniesiony z tych dialogów zdefiniowaliśmy prędko. Były to chwile bardzo przyjemne. Owszem, byle sceptyk powie, że istota tych konwersacji była jak dieta zwana wątrobową. Wodniście i bez smaku. Po co jednak – pytamy – wybrzydać? Tłumić w zarodku nadzieję? Przekreślać szanse i pochopnie mniemać? Fakty są twarde. Oto przywołane tu dialogi – popatrzmy – były uprzejme, bezpretensjonalne, pozbawione egzaltacji, napięcia, chamstwa i księżycowych opinii na jakikolwiek temat. Poczuliśmy powiew z przyszłości, że dożyjemy chwili, w której znalezienie towarzysza do kulturalnej i pożywnej pogawędki będzie proste. Że – popatrzmy – mozolne szukanie rozmówcy czytanego i bystrego będzie o niebo prostsze niż dzisiaj. Że paniczny slalom pomiędzy ludźmi skłonny do nieustającego monologu, w stanie permanentnego odlotu, mającymi elementarne kłopoty z racjonalnym definiowaniem rzeczywistości, będzie męką zbędną. Doprawdy, wysłuchiwanie osobników będących memami samych siebie, nierozróżniających poglądu od odruchu, będzie zajęciem wyłącznie dla psychoterapeutów.

Ktoś przywiązany do uprawiania tradycyjnych kontaktów międzyludzkich, przejęty zgrozą nowoczesności, podniesie teraz palec i powie, że oto człowiek przestanie rozmawiać z człowiekiem. Zapewne. Zresztą są to już teraz zdarzenia na wymiar. Na pocieszenie rzecz można, że przecież każdy będzie miał bota na miarę swych potrzeb. Ktoś inny – ze zmysłem zabawnego prognozowania – rezolutnie zauważy, że to się skończy władzą robotów, że bot zostanie kiedyś prezydentem. Wydaje się, że to jest perspektywa piękna, że oto prezydent kraju będzie umiał porozmawiać z każdym obywatelem nie lżąc go, choćby miał takie możliwości, ot, jak ów robot pracujący już teraz ku chwale firmy kurierskiej. Doprawdy, tyle by wystarczyło i dzisiaj, by każdy poczuł się szanowanym obywatelem swego kraju.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Premiera — nowe wydanie specjalne!



”

Siłę dawały mi inne kobiety. Pamiętam uwagi Ewy Lassek jeszcze ze studiów. Mówiła: „Niczego nigdy nie udawaj, jesteś po prostu, jaka jesteś, widać taka jesteś potrzebna, nie mizdrz się, mów prosto, o co ci chodzi, wyglądem zajmij się inni”.

Anna Dymna



„Moc kobiet” – w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

WYDAWCA



WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY

ZaiKS

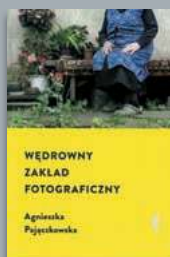
SIEMENS

Ingenuity for life

NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA MIASTA BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

Książki nominowane
do nagrody za 2019 rok

• **w kategorii najlepsza książka roku**



„Wędrowny zakład fotograficzny”
Agnieszka Pajętkowska
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec 2019

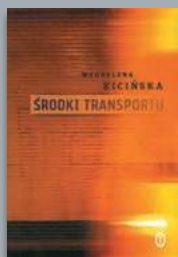


„Wszystkojedność”
Grzegorz Sobaszek
Wydawnictwo Szafa
Warszawa 2019



„Drobie”
Natalia Suszczyńska
Korporacja Ha!art
Kraków 2019

• **w kategorii najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku**



„Środki transportu”
Magdalena Kicińska
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2019



„Transparty”
Nina Manel
Biuro Literackie
Stronie Śląskie 2019



„Czarny organizm”
Juliusz Pielichowski
Instytut Mikołowski
Mikołów 2019



„Wtracenie”
Przemysław Suchancki
Biuro Literackie
Stronie Śląskie 2019



„Godzina wychowawcza”
Tomasz Ważny
Wydawnictwo j
Wrocław 2019

Nagroda Literacka Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego przyznawana jest corocznie, od 1991 r., za dokonania w dziedzinie literatury żyjącym twórcom, w dwóch kategoriach:

- **za najlepszą książkę roku**, spośród wszystkich gatunków literackich, twórcom, którzy są związani ze środowiskiem literackim Białegostoku i regionu lub też się tu urodzili czy zamieszkują albo których

twórczość wykazuje związki z miastem i regionem, oraz twórcom, których książki wydano w Białymstoku. Z udziału wyłączone są antologie, opracowania, publikacje naukowe oraz albumowe;

- **za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku**, rozumiany jako pierwszy wydany tom danego autora.

Laureatów Nagrody poznamy 27 marca 2020 r.